

Conan i mgły świątyni

Green Roland



calibre 0.9.27

RONALD GREEN

CONAN I MGŁY ŚWIĄTYNI

PRZEKŁAD: Adam Łuszczak

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN AND THE MISTS OF DOOM

PROLOG

Dolina wbijała się w zbocza gór Kezankian jak wycięta mieczem. Wejście do niej, będące wąską szczeliną w odnodze góry Goadel, mogło zmylić niedoświadczone oko. Przyczyniała się do tego mgła kłębiąca się na wzgórzach. Gęste opary nadawały szczelinie atmosferę miejsca nienaturalnego i niesamowitego, skrywającego rzeczy, których obawiają się zwykli śmiertelnicy.

Często zrywał się wiatr i rozpędzał mgłę, ale gdy krążył wśród skał, niósł z sobą wycie demonów i potępionych dusz. Ów przeraźliwy jęk wiatru odstraszał od doliny nazbyt ciekawskich wędrowców. Minęło już wiele lat od chwili, gdy ostatni podróżny zainteresował się nie tylko doliną, ale bodaj czymkolwiek w tej części gór Kezankian. Rejon Goadel, odległy od siedzib cywilizowanych ludów, stanowił znakomite schronienie dla bandytów i rozmaitych wyrzutków. Krążyły nawet opowieści o plemionach ludzi-małp, podobnych tym, którzy mieszkali powyżej linii śniegu na szczytach Himelian w Vendhii.

Mężczyzna prowadzący w kierunku szczeliny kolumnę żołnierzy wiedział o dolinie najwięcej. W rzeczy samej, była domem bandytów i wyrzutek. Niektórzy z nich szli teraz za nim, zmuszani do posłuszeństwa — o ile nie lojalności — albo złotem, albo biczem. On sam wraz ze swym oddziałem zabili niepokornych, a kilku innym udało się uciec. Wkrótce uporają się z nimi sępy, pozostawiając tylko bielejące kości.

Kapitan Muhbaras niewiele wiedział o ludziach — małpach i niezbyt się nimi interesował. Dopóki nie sprawiają mu kłopotów, niech sobie żyją spokojnie w swych górskich kryjówkach. Osobiście wątpił, by jakiegokolwiek żyjące wśród wiecznych śniegów i lodów stworzenie miało bodaj tyle rozumu, co wesz. On sam wyrósł pośród studni obfitujących w wodę i drzew uginających się pod ciężarem dojrzałych owoców, w posiadłości khorajańskiego arystokraty.

Długonogi Muhbaras, odziany w nie krępującą ruchów krótką vendhiańską kolczugę oraz lekki otwarty hełm typu nemediańskiego pierwszy dotarł do szczeliny. Teraz obrócił się i liczył głowy ludzi wchodzących na zbocze, wypatrując tych, którzy mogli oddalić się lub uciec. Właściwie nie spodziewał się dezercji, ponieważ wszyscy bali się Pani Mgieł, która potrafiła dotrzeć spojrzeniem na kraniec świata. Niemniej w każdym oddziale trafiali się głupcy.

Trudno byłoby odróżnić bandytów od Khorajańczyków lub od nomadów. Wszyscy nosili takie same szaty i zawoje w kolorze piasku lub przybrudzonej bieli, a strój ten uzupełniały buty i pasy z surowej wielbłądziej skóry, za którymi zatknięte były miecze i sztylety.

Niektórzy nieśli łuki i kołczany, ale bystre oko szybko dostrzegłoby, że łuki mają spuszczone cięciwy, a kołczany są przewiązane mocno ściągniętymi rzemieniami.

Nikt nie zbliżał się do wejścia do Doliny Mgieł z łukami gotowymi do strzału, w każdym razie nie bez zgody Władczyni, a zgoda taka nigdy jeszcze nie nadeszła.

Tych zaś, którzy odważyli się zlekceważyć wolę czarodziejki, spotykały surowe kary.

Tortury tak okrutne, że każdy, kto miał ich doświadczyć, wolałby być w skórze więźniów prowadzonych w środku kolumny. Czekalaby go śmierć daleko mniej bolesna i o wiele szybsza.

Jeńców było dziesięcioro. Szli gęsiego, związani mocnymi powrozami krępującymi ich w pasie. Ręce i nogi mieli wolne, co wymagało od strażników wzmożonej czujności. Pani Mgieł nie lubiła ścigania zbiegów za pomocą zaklęć, gdyż mogłoby to narazić jej sekrety na ujawnienie. Nie było jednak wyboru — żaden człowiek ze związanymi rękoma nie zdołałby wejść na to zbocze, ani też niewielki oddział nie mógłby nieść jeńców przez skały i parowy. Co prawda, dzięki wywarowi znachora Pani Mgieł ucieczki były rzadkie. Jeśli wlało się do gardła więźnia dostateczną ilość mikstury, to mężczyzna, kobieta lub dziecko było łagodne jak baranek nawet przez trzy dni. Muhbaras wyczuł w wywarze zapach kilku znanych mu ziół oraz aromat innych, których nie potrafił nazwać. Podejrzewał, że żaden zwykły człowiek nie mógłby poznać tajemnicy napoju.

Tym razem wśród pojmanyh jeńców było siedmiu mężczyzn, w tym jeden młodzieniec, któremu ledwo co pokazała się broda, oraz trzy kobiety. Pozostała trójka — dwóch jeńców z ciężkimi ranami i ten, który walczył do ostatka, nie chcąc wypić wywaru — stanowiła już żer sępów, a także ostrzeżenie dla każdego, kto chciałby ścigać oddział.

Muhbaras dwukrotnie przeliczył więźniów, choć tak daleko w głębi gór nie było już szansy ucieczki dla nikogo, kto nie potrafiłby fruwać jak ptak albo zniknąć jak duch w litej skale. Ostatnia myśl sprawiła, że wykonał gest chroniący przed urokiem — niektóre z okolicznych plemion władały potężną magią i gdyby pojмали jednego z czarowników bądź ich krewnych, sprawy miałyby się kiepsko.

Obrócił się twarzą ku skalnej wyrwie, wyciągnął miecz (tak jak i hełm, był nemediańskiej

roboty) i uniósł go rękojeścią do góry. Nie słyszał nic prócz odgłosów wiatru owiewającego sąsiednie wzgórza i nikogo nie widział, ale był świadom, że obserwują go czujne oczy.

Z wyrwy strzeliła wiązka szkarłatnego światła i spoczęła na klejnocie wprawionym w rękojeść miecza. Kamień rozjarzył się niby lampa oliwna, ale żadna lampa nie dawała takich barw — przeszło dziesięć różnych odcieni szkarłatu, ze śladami błękitu, zieleni i bursztynu.

— Wróciliśmy — oznajmił kapitan. — Wzięliśmy dziesięcioro jeńców. Będący w służbie Pani Mgieł proszą o błogosławieństwo.

Światło wystrzeliło powtórnie. Tym razem szkarłatny blask tańczył po ziemi, póki nie zatoczył kręgu wokół kolumny. Muhbaras wołał nie myśleć, że bardzo mu to przypominało gotową do zaciśnięcia szubieniczną pętlę. Wprawdzie zarówno on, jak i jego ludzie przeszli przez rytuał dziesiątki razy, a nikomu nie spadł z głowy bodaj włos, jednak rozum i pamięć nie na wiele mogły się zdać przeciwko mrocznej, budzącej lęk starej magii. Ów lęk zwijał w supeł ludzkie wnętrza i nadgryzał wolę niczym szczur zwłoki. Kapitan poczuł, jak pod wyściółką kolczugi zaczyna mu spływać po skórze zimny pot.

— Będący w służbie Pani Mgieł, zostaliście pobłogosławieni — rozległ się głos.

Muhbaras po raz dziesiąty spróbował wychwycić w tym głosie coś, co pozwoliłoby mu rozpoznać mówiącego. Właściwie gdyby nawet mu się udało, wartość tego odkrycia byłaby znikoma; przekonałby się jedynie, iż pewne sekrety czarodziejki można przeniknąć.

Żołnierze spojrzeli na niego, ale i tak pamiętał, że przyszła pora na kolejną rytualną formułę.

— Będący w służbie Pani Mgieł błagają o pozwolenie wejścia do Doliny Mgieł! — zawołał.

Co by się stało, gdyby zamiast „błagają” użył jakiegoś innego, mniej pokornego słowa? Do tej pory, ze względu zarówno na los żołnierzy, których przyprowadził z Khorai, jak i na swój

własny, nie znalazł w sobie dość odwagi, by się o tym przekonać. Muhbaras zastanawiał się, czy ci z nich, którzy przeżyją, otrzymają obiecane złoto i majątki. Ale jeśli nawet nie do końca ufał władcom Khorai, nie powinien był narażać życia swoich ludzi. Już od dawna, zanim w ogóle usłyszał o Pani Mgieł czy nawet zwrócił wzrok ku górom Kezankian, sprawował miłe swemu sercu obowiązki kapitana.

— Będącym w służbie Pani Mgieł zostaje ofiarowane prawo wejścia do Doliny Mgieł!

Usłyszał teraz lekkie kroki, które szybko utonęły w rumorze potrącanych kamieni; to dudnienie zawsze brzmiało dla niego tak, jakby wydobywało się z wnętrzości samych gór. W końcu stukot kamieni ucichł, w wyrwie rozbłysły pochodnie i ukazały się dwie postacie. Były to kobiety, jedna wysoka i smągła, druga nieco niższa. Nosiły posrebrzane hełmy, ozdobione złotymi ornamentami w kształcie ogona skorpiona, brązowe skórzane pancerze wzmocnione stalowymi płytkami i luźne spodnie o turańskim kroju, uszyte z ciężkiego jedwabiu w odcieniu tak ciemnym, że niemal przechodził w czerń. Kroju butów kapitan nie rozpoznał. Każda miała miecz, sztylet i nosiła turański łuk refleksyjny, a do niego kołczan pełen znakomicie wykonanych strzał. Przyjemnie było patrzeć na ich zgrabne sylwetki i piękne twarze. Jednak pełne godności ruchy i nieruchome zimne spojrzenie dawały jednoznacznie do zrozumienia, że żaden mężczyzna nie może liczyć na nic więcej. Tylko głupiec zaryzykowałby bliższy kontakt z niewiastami tak uzbrojonymi i umiejącymi się tą bronią dobrze posługiwać.

Wśród ludów Północy krążyły legendy o noszących tarcze Pannach — wojowniczkach, córkach bogów, które przemierzały ziemię w poszukiwaniu dusz martwych wojowników. Opowieści te nieraz słyszał kapitan. Niegdyś mniemał, że są to tylko wymysły barbarzyńców, ale teraz nie był tego taki pewny. Wszystkie Panny Pani Mgieł wyglądały tak samo — jakby miały wejść w duszę człowieka i go osądzić. Ten właśnie wygląd oraz świadomość, że to, co

Pani Mgieł zrobiła z nieposłusznymi łucznikami, było ledwie dziecinną igraszką w porównaniu z tym, co uczyniłaby w obronie wojowniczek, sprawiały, że Panny pozostawały nietknięte.

— Są jakieś dzieci? — spytała smagła Panna.

— Żadnego.

— Też dobrze. Mglę trzeba karmić silnym duchem.

— Najsilniejszego duchem uwolniliśmy wcześniej obok wioski. Nie mogliśmy zmusić go do wypicia wywaru, nie ryzykując obrażeń naszych ludzi, a wydawało się, że pościg jest bliżej niż zazwyczaj — wyjaśnił kapitan.

Dlaczego właściwie tłumaczył się przed tą szaloną kobietą, która służyła innej, jeszcze bardziej szalonej? Być może dlatego, że widywał ją częściej niż inne i wyglądała na mniej nieprzystępną niż pozostałe. Na przykład ta druga... No cóż, gdyby jakiś mężczyzna chciał jej dotknąć, nie zdążyłby wykonać nawet gestu.

— To niedobrze.

— Nie wydawało mi się, bym miał prawo decydować o poświęceniu sług Pani Mgieł.

— Bardzo rozsądnie.

Rozmawiali, a żołnierze w pojedynczym szeregu przechodzili obok nich.

Niektórym więźniom pozostało jeszcze na tyle przytomności, że otwierali oczy i rozglądali się dokoła. Jednak dość było dotknąć pleców czubkiem miecza, by popędzić opieszałych. W końcu tył kolumny zniknął między skałami i Muhbaras wraz z dwiema Pannami pozostali sami na zboczu góry.

— Ufam, że czujesz się dobrze? — zapytała niższa.

Nie pierwszy raz pytała o zdrowie kapitana tak, że zabrzmiało to jak wyrok śmierci!

— Czuję się dobrze i mogę wejść do środka — odpowiedział, używając rytualnej frazy. A

w myślach dodał:

— Nie zrobiłbym tego, gdybym nie był pewien, że wasza mistrzyni potrzebuje moich ludzi bardziej, niż oni potrzebują jej!

ROZDZIAŁ I

Pustynia leżała na północ od Zambouli, na południe od Koth i na zachód od królestwa Turanu, którego potęga wzrastała pod rządami nowego i zuchwałego władcy Yezdigerda. Nie należała jednak do żadnej z tych krain. Tak naprawdę nie należała do nikogo.

Tylko niektóre miejsca, głównie oazy, w ogóle miały jakieś nazwy, a nomadzi byli podzieleni na kilkanaście zajętych wzajemnymi waśniami plemion. Każde nadawało własne miana pustynnym dolinom i wzgórzom.

Gorejące na rozpalonym niebie słońce wysysało z tej ziemi wszystkie kolory. Piasek nabrał barwy bladej ochry i ambru, skały bieli wypalonych słońcem kości, a zakurzona skąpa roślinność miała odcienie chorobliwie blade i matowe.

Na północy, ponad horyzontem, ciągnęły się pasma wzbitego w powietrze kurzu, a jeszcze dalej ciemniały plamy zieleni. Szlaki karawan i ziemie uprawne, widoczne tylko dzięki czystemu jak kryształ powietrzu pustyni, w rzeczywistości były odległe o dzień jazdy na dobrym koniu.

Obserwator stojący na górującej nad otoczeniem wydmie dostrzegłby nieco bliżej inną wznoszącą się ku niebu chmurę kurzu i sylwetki przeszło tuzina jeźdźców. Zapewne wzięłby ich za oddział koczowników, odziani byli bowiem w sięgające stóp luźne szaty i dobrze uzbrojeni, głównie w łuki i długie, zakrzywione miecze.

Przyjrząwszy się im jednak bliżej, ten kto zna plemiona Wschodu zwątpiłby, czy

podróżnicy rzeczywiście są synami pustyni. Zauważyłby tatuaże na ich smagłych twarzach, inkrustowane srebrem rękojeści mieczów oraz inne drobne różnice w wyglądzie siodeł i uprzęży. Mimo to prawie wszyscy jeźdźcy i ich wierzchowce mogliby wjechać do obozu koczowników, nie ściągając ku sobie zaciekawionych spojrzeń.

Wszyscy, z wyjątkiem jednego — dowódcy. Na pustyniach rzadko rodzili się mężczyźni tak potężni jak ten. Niebieskooki olbrzym dosiadał konia większego niż pozostali, a za pasem zatknięty miał miecz tak prosty, jak jego szerokie plecy.

Conan z Cymmerii jechał do Koth wraz z czternastoma oddanymi mu Afghuli, którzy przysięgli, że doprowadzą go bezpiecznie do celu. Być może mieli też nadzieję na bogaty łup, jaki mogliby zdobyć w ogarniętym wojną Koth.

Obserwator mógł stać na wydmie i przyglądać się im tak dopóty, dopóki ostatni z jeźdźców nie znalazłby się poza zasięgiem wzroku. Gdyby jednak rzeczywiście tak uczynił, dostrzegłby wkrótce, że na horyzoncie wyłania się nowa chmura pyłu i szybko się porusza, idąc śladem oddziału Conana.

Conan jechał na przedzie, nie mógł więc zobaczyć podążającego za nimi oddziału.

Spostrzegł go jeździec z plemienia Batari imieniem Farad. Dźgnął swego wierzchowca ostrogą i znalazłszy się obok Cymmerianina, krzyknął mu prosto do ucha:

— Jadą za nami! Sądząc z kurzu, jaki wzbijają, jest ich o wiele więcej od nas.

Conan obrócił się w siodle i spojrzał na wschód. Oczy Farada okazały się bystre, a jego przypuszczenia rozsądne. Z tyłu musiało być przynajmniej pięćdziesięciu jeźdźców, choć prawdopodobnie nie więcej niż stu. Właściwie nie miało to znaczenia, skoro nawet pięćdziesięciu i tak prawie czterokrotnie przewyższało siłę jego oddziału. Nie miało też znaczenia, kim są, chyba że jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności byłaby to

zabłąkana karawana albo oddział Zaumbolańczyków. Jednak w tej części pustyni należało się spodziewać raczej spotkania z koczownikami lub Turańczykami, a z pewnością ani jedni, ani drudzy nie potraktowaliby ich przyjaźnie.

W pewnych narzeczach koczowników słowo „obcy” oznacza również „wróg”. Dla nomadów każdy, kto posiada coś cennego i nie ma krewnych, którzy mogliby go pomścić, staje się obiektem ataku. Same konie i broń oddziału Conana były wystarczająco wartościowe, by koczownicy, o ile tylko okażą się dość liczni, zechcieli je zdobyć. Nie mówiąc już o tym, co Cymmerianin nosił przy sobie w sakiewce.

Mały woreczek klejnotów był wszystkim, co Conanowi udało się zdobyć podczas dwuletniego pobytu pośród Afghuli. Barbarzyńca sądził jednak, że pełna sakiewka plus cała skóra to i tak o wiele więcej, niż udało się zyskać wielu innym, którzy zawędrowali w tę górską krainę.

Zjednoczenie rozproszonych i skłonnych do waśni plemion Afghulistanu w jeden organizm wydawało się z początku dobrym pomysłem. Conan znał swe umiejętności oraz biegłość wojowników tej krainy, podobnie jak i słabości każdego z sąsiednich królestw. Ten lud, gdyby został zjednoczony, mógłby na tym bardzo skorzystać.

Ale Afghuli nie przejęli się zbytnio tą świetlaną wizją. Jeśli miałyby ona oznaczać walkę ramię w ramię z człowiekiem, którego pradziadek znieważył ich pradziadka, to walczyliby raczej właśnie z tym człowiekiem (a być może i z potężnym cudzoziemcem, który nieopatrznie zasugerował im, by przebaczyli dawną zniewagę).

Conan miał szczęście, że wyszedł z tego cało. Posiadając niewiele więcej niż to, co miał na sobie, uciekł z gór z ludźmi, którzy zaciągnęli u niego dług krwi. Wyrabując sobie wolną drogę przez szeregi rozbójników i stada niedźwiedzi, usłyszeli w końcu pogłoski o wojnie w Koth.

Afghuli byli tak samo jak Conan żądni łupów i sławy. Uznali, że w ogarniętym wojną kraj u mają szansę na zdobycie jednego i drugiego. Jechali więc na zachód, trzymając się jednak z dala od granic Turanu, ponieważ w tym królestwie wyznaczono nagrodę za głowę Cymmerianina. Pod rządami łagodnego króla Yildiza niewielu Turańczyków zaryzykowałoby próbę zabicia Conana, ale Yezdigerd bardzo się różnił od swego ojca. Wiedział, że strach oraz chciwość wyzwalają w ludziach zuchwałość, a nawet głupią brawurę.

Conan powtórnie spojrział na wschód. Zdało mu się, iż na horyzoncie pojawiła się druga chmura kurzu, ale po chwili zorientował się, że to tylko piaskowy diabeł — twór wiatru.

Tymczasem pierwsza chmura urosła i teraz dostrzegł blask słońca odbity od stali.

Koczownicy nie nosili zbroi. W tym kraju pancerni jeźdźcy mogli być tylko

Turańczykami. Conan spojrział na zachód, badając teren doświadczonym okiem. Walczył już w różnych miejscach, od lodowców po dżunglę, i wiedział, co każde z nich może zaofiarować uciekającej grupie.

Na zachodzie jak okiem sięgnąć rozciągała się rozświetlona słońcem pustynia, na której nie było nic oprócz piasku i kolczastych krzaków. W tej pustce oddział byłby zewsząd widoczny, niczym groszek na talerzu. Zbliżywszy się do nich na odległość strzału z łuku, nieprzyjaciel miałby łatwą zdobycz. Mogliby się wymknąć jedynie pod osłoną nocy, ale było dopiero wczesne popołudnie.

Szczęśliwie na północy wznosiła się ponad piachem rozległa szara masa. Gdyby udało im się dotrzeć do tego skalnego grzbietu, mogliby przycziąć się w jego szczelinach i pęknięciach, dopóki noc nie osłoniłaby ich przed wzrokiem nieprzyjaciół. Jeśli zaś szansę ucieczki będą niewielkie, znaleźliby wśród skał schronienie dla łuczników czy przygotowaliby zasadzkę.

Conan wyszczerzył w uśmiechu zęby na myśl o tym, że wkrótce da królowi Yezdigerdowi okazję do wypłacenia jeszcze paru zasiłków dla wdów. Nie bez przyczyny imię

Cymmerianina stało się sławne nie tylko we wszystkich krajach hyboryjskich, ale i w wielu innych. Nierówność sił wymagająca i siły, i sprytu, walka ramię w ramię z zaprawionymi w bojach towarzyszami broni, którzy, jeśli taki będzie wyrok losu, dotrzymają mu towarzystwa w chwili śmierci — oto co kochał.

Na bitwę, która czekała Conana, nie powinien skarżyć się żaden wojownik wart tego miana.

Teraz pozostawał mu już tylko jeden problem — musiał się upewnić, że walka zostanie stoczona na terenie wybranym przez niego, a nie przez Turańczyków. Pomiędzy ludźmi Conana a skalnym grzbietem rozciągał się rozległy pustynny teren, otwarty i pozbawiony osłony, lecz z pewnością pełen dziur i szczelin, które mogły uwięzić nogę konia i stać się zgubą dla jeźdźca.

Conan przeczytał parę książek o sztuce wojennej i uznał, że większość ukazuje jako umiejętności niemal czarnoksiężskie to, co wynika po prostu ze zdrowego rozsądku. W żadnej natomiast nie znalazł stwierdzenia, o którego prawdziwości był zawsze przekonany: Koń, który nigdy wcześniej się nie potknął, potknie się, gdy będziesz na nim jechał, ratując swe życie.

Machnął ręką w kierunku grzbietu i obrócił się w siodle, krzycząc do Afghuli:

— Dotrzemy tam przed nocą. Łucznicy — do tyłu! I wypruję flaki z każdego, kto zmarnuje strzały.

Wprawdzie Afghuli nie byli tak dobrymi łucznikami jak konni strzelcy z Turanu, których śmiało można było zaliczyć do najlepszych na świecie, ale ścigający utworzą z czasem duży cel. Łucznicy ściągnęli nieco wodze, podczas gdy reszta popędziła konie ostrogami. Dookoła oddziału zawirował kurz, gdy zmieniali szyk przed ostatnią galopadą. Kurz zawirował też za ich plecami, gęstszy i wyższy niż poprzednio. Conan rzucił za siebie ostatnie spojrzenie.

Wydawało mu się, że rozpoznaje turańskie sztandary. Pochylił głowę, uderzył konia piętami i rozpoczął wyścig, w którym stawką było życie.

W komnacie o nagich skalnych ścianach, ulokowanej w zboczu Doliny Mgieł, siedziała kobieta. Spoczywała na niedźwiedziej skórze rzuconej na turański dywanik, a przed nią stał puchar na wino wykonany z połączanego brązu. Miał cztery uchwyty i szeroką podstawkę. Widniały na niej starodawne, wręcz archaiczne runy, które znali tylko czarodzieje i o których nawet oni mówili tylko szeptem.

Pani Mgieł była tak naga jak komnata, w której się znalazła. Miała na sobie tylko naszyjnik, bransolety i wieniec z górskiego kwiecica. Jedna z Panien zerwała je w nocy i przyniosła tutaj jeszcze przed świtem, gdzie pozostawało w chłodnym cieniu. Wieniec wciąż był tak świeży, że z pomiętych szarozielonych liści spływały na piersi kobiety ostatnie krople rosy.

Pani Mgieł — nigdy nie wybrała sobie jakiegось innego imienia — sięgnęła pod niedźwiedzią skórę i wydobyla spod niej ciężki, pociemniały ze starości brązowy dysk. Pod patyną stuleci ledwo można było rozpoznać pieczęć Kuli w Atlantis.

Nie wiedziała, czy w brązie tkwi jakiś potężny czar. Wiedziała tylko, że w jej ręce nigdy nie trafiło nic równie przydatnego. I to wystarczyło. Parający się magią czynią najlepiej i żyją najdłużej (o ile troszczą się o to tak jak Pani Mgieł), jeśli zajmują się tą magią, którą poznali i opanowali — podobnie jak każdy śmiertelnik, który może rozkazywać mocom pochodzącym z królestwa mroku.

Zmieniła pozycję, by sięgnąć pucharu. Uczyniła to z leniwym wdziękiem na wpół przebudzonego kota. Położyła brązowy dysk na pucharze, tak że spoczął nieco poniżej brzegu i całkowicie zakrył kielich.

Gdy Pani Mgieł poruszyła się, na jej piersi spadły kolejne krople rosy. Żaden mężczyzna nie potrafił patrzeć na te piersi obojętnie, a przecież i reszta jej ciała nie była niemiła dla oka. Gdyby tylko zechciała dzielić z kimś łożę, znalazłaby kochanka znacznie łatwiej niż większość kobiet. Gdyby zechciała i gdyby jej oczy były inne. Choć kształtem i rozmiarem nie różniły się od oczu ludzkich, miały złoty odcień, jakiego nie można było ujrzeć u żadnego człowieka. W dodatku źrenice były pionowe jak u kota. Ich głęboka czerń, kontrastująca ze złotymi tęczęwkami, sprawiała koszmarnie wrażenie.

Każdy, widząc jej ciało, uznałby Panią Mgieł za człowieka. Gdyby jednak spojrział w te niesamowite oczy, zmieniłby zdanie i uciekał tak szybko, że mógłby go dogonić tylko jej śmiech lub czary.

Władczyni Mgieł przycisnęła palec do pucharu, by sprawdzić, czy brązowa pieczęć mocno się trzyma. Nie rozległ się żaden szcęk. Uśmiechnęła się, a jej oczy zwęziły się w kocie szparki — jak zawsze, gdy zaczynała patrzeć nimi na świat rozciągający się poza granicami wiedzy, jaka przystoi człowiekowi. Potem oparła delikatnie obie dłonie na pucharze i zaczęła śpiewać. Puchar lekko zadrżał, po czym znieruchomiał, ale wokół niego i śpiewającej kobiety pojawiło się i rosło szkarłatne światło.

Conan, niczym prowadzący szarżę aquiloński rycerz, starał się nie patrzeć do tyłu. Nie czynił tego bynajmniej z tych powodów co rycerze, którzy nie oglądają się wstecz, by zmanifestować swą odwagę i zapał bitewny. Kierował wzrok do przodu bądź na boki, ponieważ właśnie tam znajdowały się grzbiety skał, dających jedyną nadzieję na ocalenie i zarazem kryjących liczne niebezpieczeństwa. Nory gryzoni, ruchome piaski, gniazda rozdrażnionych żmij — wszystko to mogło zakończyć ten wyścig równie dobrze jak doścignięcie przez turańską pogoń.

Ponadto gdzieś wśród skał mogli czyhać na uciekających pustynni koczownicy.

Wprawdzie nomadzi nigdy nie przepadali za Turańczykami — tym bardziej teraz, w obliczu rosnącej potęgi Yezdigerda. A jednak gdyby tylko pomyśleli, że mogą kupić sobie życzliwość turańskiego kapitana za cenę głowy Conana i jego towarzyszy, nie zastanawialiby się nawet przez chwilę.

Z pewnością nie był to kraj dla kogoś, kto nie dba o to, by mieć oczy z tyłu głowy, a dłonie zawsze blisko rękojeści miecza. Conan żył właśnie w taki sposób od wielu lat, a Afghuli, synowie krainy targanej rodowymi waśniami, mądrość wojenną wysysali z mlekiem matki.

— Conanie! — przebił się okrzyk ponad grzmiotem kopyt. — Turańczycy wysyłają do przodu oddział, który porusza się szybciej niż reszta!

Conan rozpoznał głos. To był Farad, pierwszy pośród Afghuli. Odkrzyknął mu, nie odwracając głowy.

— Myślę, że chcą przeprowadzić manewr wilczego stada. Czas na łuczników! Niech zmuszą Turańczyków, by przemyśleli to sobie jeszcze raz!

— Albo żeby przestali myśleć w ogóle! — zawołał Farad. W jego głosie słychać było radość wywołaną zbliżającą się walką.

„Manewr wilczego stada” polegał na tym, że ścigający wysyłali jeden oddział za drugim, aby zmusić uciekających do takiego tempa, 1 którego ich wierzchowce nie mogły wytrzymać.

Po pewnym czasie konie zaczynały utykać, pokrywać się pianą i padać, a ścigani byli zdani na łaskę ostatnich, nie utrudzonych jeźdźców pogoni.

Bez wątpienia ścigający ich Turańczycy byli albo regularnym oddziałem, albo dobrze wyszkolonym oddziałem nieregularnej kawalerii — takim, jakim Conan sam dowodził, gdy służył w turańskiej armii. Ani jednych, ani drugich nie spotykało się często w głębi pustyni,

lub raczej nie spotykało się, zanim Yezdigerd nie wstąpił na tron i nie zaczął realizować swych ambicji, zagarniając wszystko, na czym tylko mógł położyć rękę.

Teren przed nimi zaczął się wznosić. Conan rozejrzał się bacznie. Czyżby tam na prawo znajdował się jar prowadzący na grzbiet wzgórza i chroniący przed strzałami? Zwolnił do kłusu, poklepując uspokajająco szyję spienionego konia.

— To już niedaleko — wymruczał do wierzchowca.

Już za chwilę będą bezpieczni, bodaj na krótko, albo... wkrótce zginą. Na tej pustyni nie znajdą nic innego.

Jar był wąski, a jego dno wprost naszpikowane wielkimi głazami o ostrych krawędziach.

Wyglądały tak, jakby porzrzucał je szalony olbrzym. Nie sposób było szybko tamtędy przejść, a Turańczycy mogli w każdej chwili stanąć na szczycie i posłać w dół grad strzał.

Stało się jasne, że albo oddział dotrze do skał idąc przez otwartą przestrzeń, albo nie dotrze do nich w ogóle.

Conan powtórnie ukłął konia ostrogami. Klacz zarżała w proteście, z pyska buchnęła jej piana i ugięły się pod nią nogi.

— No dalej, chodźcie tu, psie syny! — ryknął Conan. — Czy zamierzacie rozłożyć się plackiem i czekać na parszywych Turańczyków?!

Na ustających koniach, z których część pozostawiała za sobą ślady krwi, Afghuli jechali dalej. Conan zaryzykował spojrzenie w tył i zobaczył, że pierwszy oddział tworzący „wilcze stado” już odpadł. Co więcej, cofnął się na teren już pokryty skrajnie wyczerpanymi ludźmi i padłymi ze zmęczenia końmi. Niektórzy żołnierze jeszcze się poruszali, gdy reszta Turańczyków przejechała tuż obok, a kilku nawet po nich.

Z przodu rósł skalny grzbiet. Conan wbił mocniej ostrogi i klacz zareagowała resztką sił.

Jeszcze jedno spojrzenie do tyłu. Turańczycy, którzy do tej pory pędzili za nimi w jednej

zwartej grupie, teraz zmienili szyk. Z obu stron oderwały się oddziały skrzydłowe.

Niewątpliwie zamierzali otoczyć skały. To zaś mogłoby się nie udać tylko głupcowi, a ci nie przewodzili zbyt często turańskim jeźdźcom. Niejeden kapitan i niejedna traktująca o wojnie księga nauczyła Conana tego, co już wcześniej podpowiadał mu rozsądek: Nigdy nie licz na to, że wróg da się wystrychnąć na dudka.

Stukot kopyt klaczy zmienił ton. Podłoże stawało się twardsze, tuż pod piaskiem i żwirem zalegała skała. Inni jeźdźcy także już tu dotarli i teraz przeszło pół setki końskich kopyt bębniło w drodze ku skałom.

Z tyłu rozległ się odgłos turańskich rogów wojennych. Tym razem towarzyszył mu warkot bębna. Conan splunął przez wysuszone i pokryte kurzem usta. Wiedział, że Turańczycy używali bębna do wzywania posiłków. Niech wezwą wszystkie zastępy Turanu — pomyślał. — Wciąż możemy wydać im bitwę, jakiej nigdy nie zapomną ci, którzy ją przeżyją.

Turańska awangarda dotarła już do zbocza. Promienie słoneczne zatańczyły na rękawach kolczug, gdy pół tuzina łuczników jednocześnie naciągnęło i puściło cięciwy.

Szkarłatne światło wydobywające się z pucharu wypełniało całe pomieszczenie. Gdyby ktoś zajrzał do komnaty, pomyślałby, że Pani Mgieł jest zatopiona w sercu ogromnego rubinu. Poruszały się tylko szepczące zaklęcia wargi i unoszone płytkim oddechem piersi. Bystre oko dostrzegłoby również drżenie palca lub mięśni obnażonego kształtnego uda, lecz mniej uważny obserwator mógłby sądzić, iż ma przed sobą posąg przedstawiający czarodziejkę oddającą się swym zajęciom.

Rozległo się niskie brzęczenie, z początku odległe, a potem coraz wyraźniejsze, zupełnie jakby w stronę jaskini zbliżał się człowiek z wielkim bębniem, w który delikatnie uderzał. Dźwięk narastał i wkrótce można było rozpoznać warczenie kilku bębniów.

Potem dał się słyszeć odgłos cichych kroków i stłumiony kaszel. Do komnaty weszły dwie Panny, prowadząc ze sobą jeńca. Był to mężczyzna w średnim wieku, o grubych rysach twarzy i zadartym nosie, typowym dla zamieszkujących Kezankian górali. Jego prawie całkiem łysa głowa miała barwę pergaminu.

Ręce skrupowano mu na plecach grubym mocnym powrozem z bagiennej trawy. Prócz tego nie miał na sobie nic. Nie wykonał najmniejszego gestu świadczącego o tym, że jest czegokolwiek świadomy. Oczy, rozbiegane i bez wyrazu, tylko przypadkiem spoglądały niekiedy jednocześnie w tę samą stronę. Nie ożywiły się nawet wtedy, gdy ich spojrzenie padło na wspaniałe kształty Pani Mgieł.

Panny zrzuciły już z siebie strój wojowniczek i nosiły tylko białe jedwabne przepaski na biodra oraz luźno przewieszane przez ramiona długie sznury, również wykonane z bagiennej trawy. W trawę wplecione były pędy roślin o bursztynowym odcieniu oraz różnobarwne wełniane nitki.

Pani Mgieł płynnym ruchem uniosła w górę obie ręce. Z koniuszków palców spłynął wodospad iskier, napełniając szkarłat blaskiem srebra. Pieczęć na przykrywce pucharu ścigała iskry, tak jak magnes przyciąga żelazo — spadały nań i znikwały wewnątrz.

Kolejny gest długopalcych smukłych dłoni i przykrywka uniosła się z pucharu. Wewnątrz spoczywał szkarłatny ogień, jaśniejszy jeszcze od blasku wypełniającego komnatę.

Wyglądało to na rozgrzane do granic możliwości palenisko kuźni. Jednak z pucharu nie unosił się ani dym, ani płomień, ani nie wydobywało się ciepło.

Czujne oczy Panien dostrzegły ogień w pucharze. Więzień nie zobaczył nic i tylko bogowie wiedzą, czy jakiegokolwiek myśli przeszły przez resztkę umysłu, która nie poddała się działaniu wywaru. O ile, oczywiście, wszyscy bogowie nie zapomnieli o tej jaskini, przywołującej starożytne moce i urągającej prawom boskim i ludzkim.

Naznaczona pieczęcią przykrywka uniosła się wyżej. Dryfowała ku sufitowi komnaty tak swobodnie, jakby była unoszonym wiatrem puchem, choć ważyła więcej niż wykonany ze stali hełm bojowy. Pani skinęła ręką i jeniec zrobił krok do przodu. Potem następny gest i kolejny krok.

Mężczyzna zatrzymał się prawie dokładnie nad pucharem. Ogień z wnętrza kielicha zabarwił mu skórę i teraz jeniec wyglądał niczym odlany z brązu posąg. Po trzecim geście więzy same się rozwiązały i upadły na podłogę, skąd podniosła je jedna z Panien.

Wyprostowała się, a czarodziejka wykonała ostatni gest. Więzień zgiął się wpół i włożył obie dłonie prosto w szkarłatny ogień. Nie było dymu, płomienia ani też swądu spalonego ciała, a jednak mężczyzna zeszywniał, jakby zmienił się w kamień. Jego oczy i usta otworzyły się i strzelił z nich ten sam szkarłatny płomień, a na głowie stanęły dęba nieliczne pozostałe włosy.

Pani Mgieł wstała z pełnym godności wdziękiem i delikatnie oparła obie ręce na czole jeńca. Ten zadygotał, jakby odpowiadając na ostatnie ludzkie dotknięcie, i nim minął czas potrzebny do nabrania oddechu już go nie było. Po chwili przed czarodziejką pojawiła się kolumna srebrnego pyłu w kształcie człowieka.

Teraz Pani Mgieł opuściła ręce, wskazując palcami puchar. Kolumna pyłu skoczyła, tracąc ludzką postać, po czym uniosła się pod sufit i zanurkowała do pucharu. Szkarłatny ogień wewnątrz zamrugał krótko, jakby zmieniając kolor, ale uspokoił się na gest Pani Mgieł i jej dwa ciche słowa.

Czarodziejka usiadła znowu, rzucając krótkie spojrzenie na unoszącą się w górze przykrywkę i jeszcze krótsze na Panny. Przez chwilę jej usta poruszały się, nie było jednak słyhać żadnego dźwięku. Wydawało się, że jakieś niesamowite istoty nie z tego świata przysłuchują się bezgłośnym zaklęciom. Jednak nie. Władczyni Mgieł wydała po prostu polecenie Pantom. Przyklęły, a ona dotknęła dłońmi ich gładkich młodych skroni. Kobiety

przeszło drzenie, jakby dotknięcie mistrzyni wywoływało lekką gorączkę. Następnie podniosły się z gracją i opuściły komnatę.

Pani Mgieł wzięła głęboki oddech i wymówiła pięć słów. Każde z nich zabrzmiało ostro. Był to rozkaz w języku shemickim, skierowany do Panien oczekujących na zewnątrz przy drzwiach komnaty.

— Wprowadźcie następną ofiarę — brzmiał.

ROZDZIAŁ II

Do tej pory oddziałowi Conana wiodło się znakomicie. Ale gdy tylko Afghuli wspięli się na zbocze, jeden z nich wpadł w skalną rozpadlinę. Nazywał się Rastam i był na tyle stary, że jego dorosły syn jechał w kawalkadzie obok niego.

Conan tylko tyle wiedział o tym człowieku, ale było to dość, by nie pozwolić mu umrzeć bezimiennie pośród obcych. „Nawet wróg nie zasługuje na taki los, a tym bardziej człowiek, który idzie za tobą” — brzmiało motto Khadjara, kapitana nieregularnej jazdy turańskiej i nauczyciela, który przed laty przekazał wiele mądrych rad pewnemu młodemu Cymmerianinowi pełniącemu służbę w armii Turanu.

Koń Rastama padł, ale jeździec był tylko ranny. Wyczołgał się spod ustrzelonego wierzchowca, pozostawiając na piachu krwawą smugę, wstał, odrzucił złamany łuk i wyciągnął handzar.

Kurz oślepił turańskich jeźdźców bardziej niż Rastama, zobaczył ich, zanim oni dostrzegli jego. Koń jadący na przedzie zarżał i wyskoczył w górę czterema kopytami, gdy Afghuli sięgnął handzarem jego ścięgien, a chwilę później czysto wykonane cięcie pozbawiło głowy spadającego jeźdźca. Tymczasem nadjechał drugi Turańczyk. Rastam doskoczył i ściągnął go

z siodła. Obaj mężczyźni upadli. Gdy wstali, Afghuli owinał jedną rękę wokół szyi przeciwnika i trzymał go przed sobą, osłaniając się nim przed strzałami jak tarczą.

Zdołał jeszcze ściągnąć z siodła dwóch wrogów i okaleczyć trzy konie, zanim w końcu ktoś puścił mu strzałę w plecy. Jednak nawet wtedy miał dość sił, by podciąć gardło swej żywej tarczy.

Cymmerianin dojrzał po lewej stronie wysoki wąski przesmyk między skałami. Afghuli dostrzegli go również i skręcili ostro w tym kierunku. Jeden z koni zgubił krok na ścieżce, pokrytej leżącymi luźno kamieniami. Jeździec upadł i nie poruszył się więcej. Koń obsunął się po jego nogach, po czym utykając powlókł się za resztą.

Conan w furii przeklinał wszystko i wszystkich, nie wyłączając siebie. Gdyby zdecydował się rozstać z częścią swych klejnotów i kupić za nie wielbłądy, jego oddział mógłby przejść przez pustynię na południu, z dala od turańskich patroli. Ale co się stało, to się nie odstanie.

Conan nie miał zwyczaju tracić zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie pomyłek. Tym bardziej że i na południu czyhały różne niebezpieczeństwa. Wszak klejnoty barbarzyńcy mogły zainteresować nie tylko handlarzy wielbłądów. A choć na południe nie zapuszczali się Turańczycy, było tam wielu wojowniczych nomadów. Aby uniknąć spotkania z nimi, musieliby iść poza ostatnie oazy i przekroczyć Diabelskie Kowadło lub inne miejsca, w których wielu podróżnych pozostawało już na wieki.

Conan rozejrzał się uważnie, wypatrując wśród skał lepszego schronienia niż szczelina. Lecz choć był doświadczonym wojownikiem, a w jego żyłach płynęła krew człowieka gór, jego oczy nie znalazły tego, czego szukały.

— Z koni! — krzyknął.

Użył dialektu Afghuli, który znał cały oddział i bardzo niewielu Turańczyków. Ścigający wstrzymali konie, zachowując stałą odległość, ale wciąż jeszcze byli w zasięgu słuchu.

— Z koni! — powtórzył Conan i wskazał gestem szczelinę. — Wpędźcie tam konie, a potem wejdźcie gdzieś wyżej, tak żebyście widzieli ich z góry. Łucznicy, na stanowiska! Kilku Afghuli skinęło głowami na znak, że zrozumieli plan Conana. Skoro nie dało się ukryć koni, to najlepiej użyć ich na przynętę. Chcąc zagarnąć wierzchowce, Turańczycy będą musieli albo wspiąć się po stromym zboczu, albo wejść do szczeliny. W pierwszym przypadku zajmą się nimi łucznicy, w drugim jeden człowiek zdoła zagrozić przejście dwudziestu.

Cymmerianin doskonale wiedział, kto będzie tym człowiekiem. Zsuwając się z siodła, wyciągnął szeroki miecz, potem sięgnął po krótki topór i klepnął klacz po zadzie. Kłusem dołączyła do reszty koni.

Jeden czy dwu głupców pozostało jeszcze na koniach, gapiąc się dokoła. Conan nie wątpił, że lada moment ich gardła przeszyją strzały. Otworzył już usta, by ich zgromić, ale Farad był pierwszy.

— Synowie bezrogich baranów i łysych owiec! — zaryczał jak wściekły lew. —

Zsiadajcie i wchodźcie do góry. Ściągniemy tu Turańczyków, by spotkali swą śmierć! Oni są jak baby i ledwo co przestali się żywić wymiocinami chorych psów. Jeśli zginie jeszcze paru, podkulą pod siebie ogony!

Conan, który dobrze znał Turańczyków, wątpił, by Farad wierzył w to, co mówi. Niemniej po chwili ostatni Afghuli zsiadł z konia i zaczął się wspinać. Jakiś odważny Turańczyk podjechał pod szczelinę i wyskoczył z siodła, ale był martwy, zanim ciało uderzyło o ziemię, a Druga strzała ugodziła w gardło jego wierzchowca i końska krew zmieszała się z krwią niedoszłego bohatera. Przynajmniej jeden łucznik Afghuli znalazł bezpieczne stanowisko i wykorzystał wysokość, by nadać swym strzałom dodatkowy, skuteczny zasięg. Postępująca linia Turańczyków zachwiała się, a potem zatrzymała, jakby zionął przed nimi rów głęboki na

sążeń. Nikt nie chciał umrzeć następny, nikt też nie wątpił, że przed nimi jest jeszcze dość łuczników, by mogli trafić, kogo zechcą. Być może turańskich żołnierzy da się zmusić do działań typowych dla nędznych stworzeń, o których wspominał Farad, jeśli tylko dostatecznie naszpikuje się ich strzałami.

Turańczycy powinni raczej otoczyć skały w bezpiecznej odległości i pchnąć posłańców po pomoc. Jeśli ich nie otoczą, zanim nadejdą posiłki, to...

Conan wyrzucił wszelkie „jeśli” z głowy, gdy zobaczył, że kilkunastu jeźdźców zsiadło z koni i pieszo zaczyna wchodzić na zbocze. Inni, mierząc we wspinających się Afghuli, strzelali z wysokości siodeł. Strzały łamały się i ciosały iskry wśród skał, ale żaden Afghuli nie upadł, a jeden zebrał podwójny pęk strzał i machnął nimi w wulgarnym geście do łuczników na dole.

Z mieczem w dłoni Cymmerianin popędził ku wejściu do szczeliny. W odpowiedzi gwizdnęły mu koło uszu strzały wypuszczone z turańskich szeregów. Żadna nie trafiła szybko poruszającego się barbarzyńcy, a gdy dwie padły w szeregi własnej piechoty, ostrzał raptownie ustał. Zamiast strzał powietrze napełniły przekleństwa i Conan przez chwilę miał nadzieję, że Turańczycy pobiją się między sobą. Wprawdzie nadzieja okazała się płonna, ale tymczasem zdążył dobiec do wejścia i policzył konie. Niektóre były ranne, ale wszystkie żyły. Teraz szybko znalazł miejsce, w którym powinien oczekiwać na Turańczyków. Nie kazali mu czekać na siebie długo.

Pani Mgieł wpatrywała się w stojący przed nią puchar. Odnosiło się dziwne wrażenie, wywołane być może jakąś złowrogą magią, że puchar wpatruje się w nią. Dziesięciu jeńców — dziesięć naczyń z esencją życia byłoby tutaj lepszym określeniem — stało przed nią.

Wszyscy oddali esencję życia temu, co znajdowało się w pucharze. Nawet sama czarodziejka

nie zadawała sobie specjalnego trudu, by znaleźć nazwę właściwą dla tego czegoś.

Jeśli chodzi o magię, to zazwyczaj znajomość czyjegoś prawdziwego imienia daje władzę nad tą osobą. Pani Mgieł uznała, a szczerze powiedziawszy, wręcz się przestraszyła, że jeśli pozna imię tego, co znajdowało się w pucharze, da temu bytowi moc, by sięgnął na zewnątrz i jej rozkazywał.

Nie wiedziała wprawdzie, co mogłoby z tego wyniknąć, ale nie miała najmniejszej ochoty się tego dowiedzieć.

Przyklękła, skłoniła głowę, skrzyżowała na piersiach palce rąk i dotknęła swym umysłem noszącej pieczęć pokrywy pucharu. Ta zachybotała się, uniosła lekko jak puch i bez najmniejszego szcęknięcia zajęła swoje miejsce. Rozległo się westchnienie, przypominające dźwięk musującego wina, jak gdyby wydane przez jakąś ogromną, nie należącą do tego świata istotę w ostatnich chwilach życia. Dość głośne, by obudzić echo, choć nie było nikogo, kto by je usłyszał. Resztki szkarłatnej poświaty wnikały w kamienną podłogę komnaty, co wyglądało tak, jakby na piasku przewrócono puchar z winem.

Do komnaty wróciły normalne kolory, ale umysł Pani Mgieł nie powrócił jeszcze do tego świata — nie mogła sobie na to pozwolić, dopóki rytuał nie zostanie zakończony.

W miarę jak Mgła przejmowała esencję życia, stawała się coraz bardziej świadoma.

Wkrótce będzie mogła dotknąć umysłu Pani, a przynajmniej spróbuje to zrobić. Pani Mgieł wiedziała dobrze, co by się stało, gdyby Mgle udało się tego dokonać, i nie miała najmniejszego zamiaru do tego dopuścić. Z czasem mogłaby opanować ją na tyle, by połączenia między ciałem i umysłem oraz między umysłem i Mgłą były bezpieczne i przewidywalne, ale ten czas był jeszcze odległy.

Teraz wstała i uniosła przed siebie obie ręce w geście przyzwania. Do komnaty weszły dwie Panny, które wniosły puchar. Za nimi dwie inne, podobnie ubrane. Dwie ostatnie

przyniosły długie drążki, z których zwieszała się mocna skórzana sakwa. Wydawało się, że jest pozłacana, ale tak naprawdę owo „złocenie” było śladem po zaklęciu tak starym, że już nikt nie potrafił powiedzieć, jaki lud rzucił je po raz pierwszy. Sakwa wiązała zawartość pucharu i w jakiś podobny sposób esencję życia, można więc było przenosić ją bezpiecznie, tam, dokąd powinna trafić.

Panny stanęły naprzeciw siebie i oparły drążki na ramionach. Gdy czarodziejka uniosła rękę powtórnie, tym razem cicho śpiewając, zamknęły oczy.

Puchar przechylił się w powietrzu, choć tym razem bez lekkości puchu, raczej jak najedzony sęp, który w locie szuka schronienia przed zbliżającą się hieną. Bujał się, chybotął, gdy Pani wydała mu rozkaz. — Huk! — powiedziała. Nie było to ani jakieś słowo, ani zaklęcie. Brzmiało raczej jak splunięcie króla wszystkich żmij. Puchar raz jeszcze zachybotął się, po czym osiadł w sakwie.

Nikt nie uniósł ręki, nie mówiąc już o dotknięciu sakwy, ta jednak sama zacisnęła się na pucharze tak ciasno, że nie została uroniona ani jedna kropla zawartości. Nie było innego sposobu posługiwania się pucharem, gdy pieniała się w nim esencja życia. Pani Mgieł pamiętała pewną głupią Pannę, która nie tak dawno temu spróbowała ustawić puchar gołymi rękoma. Gdy cofnęła dłoń, pozostał z niej tylko zwęglony kikut, a gdy przysunęła te resztki do oczu i one zatliły się płomieniem bez dymu i spaliły na węgiel. Jednak nie umarła i był z niej pewien pożytek, nawet jeśli nie mogła oddać swojej esencji życia Mgle. Choć obrażenia zbyt mocno zraniły esencję, Panna wciąż żyła, a nim wydała ostatnie tchnienie, wielu żołnierzy zdołało się tak gruntownie zaspokoić, że na pewien czas porzucili wszelkie myśli o kobietach.

Dźwigające puchar Panny nie zapomniały zapewne swej nieszczęsnej siostry, stały bowiem nieruchomo jak posągi w świątyni, oczekując zaklęcia, które tchnie w nie życie.

I raz jeszcze Pani Mgieł uniosła ręce. Zaklęcie zostało rzucone. Mała procesja opuściła jaskinię. Panny, maszerując niczym żołnierze na paradzie, skręciły w prawo. Na ścieżkę, która wiodła przez zbocza doliny do jaskini zwanej Okiem Mgły.

Na skałach otaczających wejście do szczeliny łamały się strzały, gdy Conan zmieniał pozycję. Poszukiwał miejsca, z którego mógłby patrzeć i uderzać, sam nie będąc widzianym lub atakowanym. Jak dotąd, nie znalazł dogodnej pozycji.

Strzały spadały nadal. Cymmerianin zbierał te, których mógł dosięgnąć nie wystawiając się na cel. On i jego wojownicy z plemienia Afghuli rozpoczęli ten wyścig o życie z pełnymi kołczanami, ale do skał dotarli już w połowie je opróżniwszy. Niemniej chętnie podtrzymywali tę wymianę strzał, toteż na zboczu padło kilku ludzi i nieco więcej koni. Pozbawione jeźdźców wierzchowce krążyły bezładnie, wichrząc szeregi wroga. Afghuli może i nie byli łucznikami równie dobrymi jak Turańczycy, ale wzgórze, które zajęli, osłaniało ich i ułatwiało celowanie do znajdujących się na otwartym terenie przeciwników.

W turańskich szeregach nie padła żadna komenda wycofania się, jednak na pierwszej linii zapanowała powszechna zgoda, że jak na jeden dzień walczyli już dość. Jeźdźcy zeszli ze zbocza, tak jak w Argos podczas odpływu cofa się morze. Stawiając czoło niewidzialnemu wrogowi, Turańczycy utracili dziesięciu towarzyszy.

Kilku obdarzonych śmielszym duchem zsiadło z koni, by zająć stanowiska za martwymi wierzchowcami, ale już po chwili zapłacili za swą odwagę. Trzech innych zginęło z ręki Farada, który po każdym celnym strzale wydawał dziki okrzyk triumfu.

Fala Turańczyków odpłynęła na tyle daleko, że łucznicy Afghuli przestali strzelać. Conan zastanawiał się nawet, czy nie użyć zebranych przez siebie strzał, by odpędzić przeciwnika jeszcze dalej, ale po chwili wpadł na inny pomysł.

Wcześniej czy później Turańczycy zobaczą konie i będą się starali do nich dotrzeć, mając nadzieję, że schwytanie wierzchowców przytrzyma przeciwnika na miejscu, dopóki nie przybędą posiłki. Wtedy zaś staną się znakomitym celem dla łuczników z góry, a potem będą musieli stawić czoło Conanowi, i to na zasadach z góry przez niego ustalonych. Po takiej potyczce Turańczyków ubędzie, a pozostali staną się bardziej ostrożni.

Cymmerianin rozlokował tuzin strzał tak, że łatwo mógł po nie sięgnąć. Następnie, by poruszać się cicho, ściągnął buty. Wystawione na promienie słoneczne skały były tak nagrzane, że mógłby upiec na nich nie tylko chleb, ale i własne, pokryte twardą skórą podeszwy stóp. Jednak tu, w zacienionej szczelinie, podłoże było chłodniejsze. Z sakwy zawieszanej u pasa Conan wyciągnął osełkę i nasączony olejem kłębek mchu. Spiłował osełką ostrze swego szerokiego miecza, robiąc kilka szczerb, które dostrzegłby tylko doświadczony wojownik, będący zarazem synem kowala.

Przygotowawszy broń, przekradł się do plamy cienia między dwoma głazami i tam przykucnął, cicho jak czający się lampart i gotów uderzyć równie szybko jak on. Zobaczył, że Turańczycy rozchodzą się, zaczął więc to stawać, to przysiadać w zasięgu strzału z łuku. Pilnował jednak, by chować się za dającymi jakąś osłonę skałami lub karłowatymi drzewami. Tymczasem nieprzyjaciel wycofał się dość daleko, pozostając na otwartym terenie. Ze sposobu, w jaki dawano znaki trąbami i wywijano flagą, Conan wywnioskował, że spora część oddziału znajduje się poza zasięgiem wzroku, tworząc pierścień wokół skał. Dowódca Turańczyków zamierzał otoczyć Afghuli tak szczelnie, jak szczelnie żelazna obroża otacza szyję niewolnika.

Wierzchem dłoni Conan starł pot i kurz z pokrytej bliznami szyi, która w swoim czasie poznała zarówno niewolniczą obrożę, jak i jedwabne szaty oraz złote łańcuchy dygnitarza. Jeśli nadciągną nowi: jeźdźcy, by zastąpić poległych i rannych, plan Turańczyków może się

powieść.

Jak w takim razie sprowokować ich do ataku, który zmniejszy ich liczbę i osłabi ducha?

Conan zbadał skały przy wejściu do szczeliny tak troskliwie, jakby poddawał oględzinom ciało kobiety czekającej na niego w łożu. A może nawet dokładniej — skały przecież nie zniecierpliwi jego przydługa beczynność.

Policzył leżące luzem okruchy, zapamiętując te, które można było podnieść lub rzucić.

Powtórnie spojrzął na zbocze, po czym ułożył się za skałą, której nie poruszyłyby nawet taran, zwinął dłonie przy ustach i zawołał do Farada:

— Jak wam idzie?

Powiedział to w języku używanym w północnej Vendhii, znanym Faradowi i wielu Afghuli, a niemal zupełnie nieznanym w Turanie.

— Zupełnie dobrze, Conanie. Brakuje nam tylko turańskich psów, bo mogliśmy łatwo ich zabić.

Farad, tak jak każdy wojownik z plemienia Afghuli, wolałby raczej umrzeć, niż przyznać się do słabości. Był to jeden z wielu powodów, dla których Cymmerianin odnalazł w Afghuli pokrewne mu dusze. Skały na górze musiały być bardziej nagrzane niż zbocze, a oni mieli tylko po jednym bukłaku z wodą na głowę. Conan przyrzekł sobie, że poszuka w rozpadlinie jakichś śladów źródła, gdy tylko Turańczycy wykrwawią się na tyle, by stali się ostrożni.

— Mam nadzieję, że uda mi się coś na to poradzić, nim się zestarzejemy. Ilu ludzi mają po drugiej stronie skał? — spytał Cymmerianin.

Zanim Farad odpowiedział, słońce przesunęło się nieco niżej. Wyglądało na to, że nikt wcześniej nie zatroszczył się, by policzyć przeciwników na tyłach. Conan miał nadzieję, iż jego ludzie na górze wystawili przynajmniej jedną, a może dwie straże obserwujące tyły.

Jedyną wadą Afghuli i zarazem przyczyną tego, że nie rządzą w Vendhii, a przynajmniej w

Iranistanie, był ich lekceważący, o ile nie wręcz pogardliwy stosunek do wszystkich, którzy nie byli mieszkańcami gór. Możliwe więc, że po prostu nie uwierzyliby, iż Turańczyk potrafi wspinać się po skałach, dopóki taki by się nie znalazł i nie poderżnął im gardła ostrym nożem. Sądząc z odpowiedzi Farada, nieprzyjaciel stracił w pościgu trzecią część swych sił.

Gdyby Turańczycy jeszcze raz ponieśli tak duże straty, to raczej nie byłiby w stanie utrzymać się tutaj wystarczająco długo, czyli do chwili przybycia pomocy.

A jeśli nawet pozostaną, będą musieli zostać rozmieszczeni w bardzo cienkim pierścieniu.

Zbyt cienkim, by powstrzymał nowy atak, przypuszczony znienacka i przeprowadzony przez ludzi będących mistrzami walki w ciemności.

Conan czekał cierpliwie, bez ruchu, jakby sam zamienił się w skałę. Chciał, by

Turańczykom dało się we znaki słońce, pragnienie, rany i strach. Dzięki temu ich umysły i ciała staną się jeszcze bardziej znużone.

Gdy uznał, że przeciwnik jest już gotowy do uchwycenia przynęty, słońce chowało się za grzbietem górskim. Odłożył łuk i kołczan i z mieczem w jednej, a sztyletem w drugiej ręce podkradł się w głąb rozpadliny, bliżej koni. Chociaż nie miały wody, to sam cień trochę im pomógł. Stały spokojnie, patrząc na Cymmerianina. Jego klacz podniosła łeb w niemal ludzkim geście ciekawości i znużenia. — Czas na śpiew — powiedział do siebie.

Oстрыm, podniesionym głosem wydał bezsłowną komendę, jaką powinien zrozumieć każdy koń urodzony na tych terenach. Klacz potrząsnęła łbem, z którego spadła zeszcła piana, i wydała ostre rżenie. Inne konie, po dwa i po trzy, dołączyły do niej. Conan wyszczerzył zęby w uśmiechu i chyłkiem powrócił na swoje stanowisko. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy ujrzał reakcję Turańczyków. Niektórzy wręcz podskoczyli do góry, jakby leżeli na mrowisku. Afghuli wciąż ostrzeliwali wrogów.

Turańczycy spostrzegli już przynętę. Teraz należało ich skłonić do tego, by ją połknęli.

ROZDZIAŁ III

Cztery Panny niosące puchar maszerowały o krok przed swą mistrzynią, Nie było to łatwe, bo stopy miały bose, a ciała nagie, ale żadna się nie potknęła ani nie zmyliła kroku.

Jeśli Panny jakoś zawiniły, kary dla nich nie były tak surowe, jak te stosowane wobec prostego ludu. Pani wiedziała, że potrzebuje rozumnych dziewczyc, by strzegły jej przed wrogami. One zaś, świadome faktu, że są cenione, bardziej cieszyły się z nagród, niż obawiały kar.

Zgoda pomiędzy Władczynią Mgieł a tymi, którzy jej służyli, była od pewnego czasu chwiejna jak rzadko, ale przez ostatnie trzy lata nie zburzyły jej żadne niepokoje. Nikt też nie spodziewał się jakichś zamieszek w dolinie, gdyż plotka głosiła, że marzenia czarodziejki są już bliskie spełnienia. A spełnienie tych marzeń oznaczałoby, iż wszyscy jej przyjaciele staną się potężni i bogaci, wrogowie zaś będą cierpieć niewyobrażalne męki.

Pani Mgieł szła z Pannami, oparłszy złączone dłonie na szczupłej talii. Ubrana była jak w chwili, gdy napełniała puchar wydobytą z jeńców esencją życia. Kroczyła z godnością, nie zważając na to, że skały ranią jej bose stopy, a wiatr kąsa zimnem nagie ciało.

Panny maszerowały z nie mniejszym dostojeństwem, jakby kwestia braku ubrania nie była godna uwagi. Tylko raz zdarzyło się, iż pewien głupi żołnierz, widząc tę procesję posągowo zbudowanych nagich kobiet, rzucił jakąś sprośną uwagę. Jego język został, dość dosłownie, przyszpilony do podniebienia i dopiero gdy szerniał i zaczął cuchnąć, przestał działać pętający go czar.

Do tego czasu, oczywiście, ropiejąca w ustach rana sięgnęła mózgu i żołnierz umarł majacząc w gorączce. Ci, którzy słyszeli jego przedśmiertne jęki, nabrali jeszcze większego

respektu dla czarodziejkiej mocy i kobiecej przewrotności Pani Mgieł.

Ścieżka wychodząca z jaskini biegła prosto przez siedem staj wzdłuż północnej ściany doliny, miejscami po schodach wyciosanych w skale lub wzniesionych z kamieni czy cegieł.

Nie trzeba było liczyć plam porostów, pnączy, srebrnego mchu i starych, skarłałych z powodu zimna, wiatru i kiepskiej gleby drzew, by dojść do wniosku, że ścieżkę wykonano w pradawnych czasach. Przybysz, który zamieszkałby w dolinie i chciałby ją zbadać, mógłby sformułować wiele różnych domysłów dotyczących dawnych budowniczych, wszystkie jednak byłyby tylko częściowo prawdziwe i tym samym częściowo fałszywe.

Na końcu ścieżki znajdowały się schody o osiemdziesięciu drewnianych stopniach.

Prowadziły w dół, tworząc zejście po prawie pionowym zboczu. U ich szczytu umieszczono mocną, drewnianą belkę zakończoną krążkiem, przez który była przeciągnięta lina. Panny przywiązały drążki z sakwą i pucharem do liny, po czym dwie zeszły po schodach. Za nimi podążyła ich czarodziejka, a na końcu dwie ostatnie Panny, które opuściły po linie cenny ładunek na dół.

Kobiety w ogóle nie zwracały uwagi na wyryte w gładkiej skale, tuż ponad belką, znaki.

Panny nie były świadome ich znaczenia, a poza tym widziały je już dziesiątki razy. Pani Mgieł jednak знаła ich pochodzenie. Wiedziała, że to znaki magiczne i że wyryto je w czasach świetności imperium Acheronu. Imperium upadło już dawno temu, ale achemońskich zaklęć wciąż jeszcze używali barbarzyńscy czarodzieje oraz różni szaleńcy i niegodziwcy parający się magią.

Pani Mgieł nigdy się nie zastanawiała nad znaczeniem tych achemońskich relikwów. Miała wiele złych cech, ale nie była na tyle głupia, by budzić upiory starożytnego zła.

Kobiety zebrały się na dole przy schodach, skąd do dna doliny prowadziła wysypana żwirem ścieżka. Panny uniosły puchar i podjęły marsz, podczas gdy Pani Mgieł rzuciła

przelotne spojrzenie na wąską rozpadlinę w skale i na platformę schodów.

W rozpadlinie wiecznie królowała noc, lecz przesączało się tam dość światła, by dostrzec wśród skał bielejące kości. Gdyby nawet kości nie były widoczne, dochodzący z rozpadliny charakterystyczny odór gnijącego mięsa zdradzał, co znajduje się w środku.

Pani Mgieł domyślała się, co się dzieje z esencją życia tych, których szczątki spoczęły w rozpadlinie. Nie mógł wiedzieć o tym nikt w dolinie oprócz samej Mgły, gdyż inaczej groziło to bitwą, na widoki której gwiazdy i bogowie skarleliby z przerażenia. O losie śmiertelnika schwytanego w taką bitwę, a nawet czarodziejki, lepiej było nawet nie myśleć.

Przez pierwsze kilkaset kroków ścieżka wiodła przez kamienisty, zalesiony teren. Ostra woń rosnących jedna przy drugiej młodych sosen mieszała się z łagodniejszym aromatem kilku ogromnych cedrów, z których każdy mógłby dostarczyć dość drewna, by zbudować z niego całą świątynię. Cedry górowały nad sosnami, jak jelenie; górują nad stadami wilków. A nikomu, kto je zobaczył, nie trzeba było I mówić, że stoją tu już od bardzo dawna.

Za drzewami ścieżka zakręcała i dalej biegła dnem doliny, pomiędzy wzniesionymi na tarasach polami, na których znajdowały się liczne chaty i kępy drzew. W dolinę zstąpił już zmrok i trudno było przyrzeć I się tym, którzy pracowali na polach albo cięli drewno w cieniu drzew. Mieszkańcy Doliny Mgieł mieli ludzkie kształty, ale wystarczyło zobaczyć ich oczy, by zrozumieć, że ludźmi nie są.

W końcu ścieżka zaczęła się wznosić, mijając otoczone murem zbiorowisko kamiennych, krytych słomą chat. Wartownicy na murach byli prawdziwymi ludźmi. Pozdrowili Panią Mgieł gestami, które były stare już wtedy, gdy kapłani ze Stygii po raz pierwszy poskromili i swoje święte węże. Za wioską ścieżka przechodziła w szereg kamiennych stopni.

Gdy górskie granie na północy zaczęły już nabierać rudawych odcieni późnego popołudnia, pięć kobiet dotarło do wysokiego głazu. Widniało na nim namalowane

jaskrawymi kolorami szkarłatne oko otoczone przez błękitne spirale. Za głazem znajdowało się wejście do kolejnej jaskini, zwanej Okiem Mgły.

Conan nie wątpił, że jeśli trzeba tylko czekać, to on i jego ludzie mają przewagę.

Turańczycy leżeli lub stali w słońcu pustyni, piekąc się jak podpłomyki na blasze, niezdolni ruszyć nawet palcem tak, by tego nie zauważono. Cymmerianin i jego Afghuli mogli się schronić między skałami, a część z nich znalazła nawet cień. Oblegający mieli wprawdzie więcej wody niż oblężeni, ale na pustyni jej zapasy szybko się wyczerpią, nawet wśród najbardziej karnych regularnych żołnierzy. Jeśli zaś jest to nieregularna jazda, to zabraknie im wody już przed świtem. Wtedy jedynym ratunkiem byłoby albo wysłanie po wodę specjalnego oddziału i podzielenie w ten sposób sił, albo odwrót.

Jednak wynik oblężenia nie będzie zależał od tego, kto potrafi wysiedzieć dłużej na gorącej skale czy na jeszcze gorętszym piasku, lecz od tego, czy oddziałowi Conana uda się rozstrzygnąć potyczkę na swoją korzyść, zanim Turańczycy ściągną świeże siły. Wtedy bowiem mogliby ich trzymać w oblężeniu całymi tygodniami albo pokonać w pojedynczym desperackim starciu, szafując ludzkim życiem, aby zyskać na czasie.

Conan nie cenił specjalnie dowódców, których życie podwładnych obchodzi tyle, co pijaka woda. Ale wiedział też aż nadto dobrze, że bogowie nie zawsze wynagradzają cnotę, czy to na wojnie, czy w miłości.

Turańczyków należało sprowokować do ataku.

Cymmerianin rozciągnął się na skale szczeliny tak zręcznie, jakby był węzem kapłanów Seta, i chwycił poręczny kamień wielkości łabędziego jaja.

— Hej tam, turańskie psy! — wykrzyknął. — Czy macie dość odwagi, by stanąć twarzą w twarz z prawdziwymi mężczyznami?! Czy też straciliście męskość, bo nie możecie już karmić

się odchodami sępów?!

Conan krzyczał dalej w podobnym tonie, dopóki Turańczycy nie zaczęli wystawiać głów zza krzaków i patrzeć w kierunku skały. Sierżant przeklinał tych, którzy dali się wywabić i pospieszył do przodu, by ich cofnąć. Z góry ze świstem pomknęła w dół strzała, trafiając go w szyję. Wyrwał ją, pociągnąwszy za wystające pióro, ale po chwili zaczął się dławić, gdyż krew napełniła mu gardło. Upadł w tył, kilka razy kopnął nogami piach i skonał.

A zatem było o jednego dowódcę mniej. Oby tak dalej. Może wkrótce nie będzie już nikogo, kto powstrzymałby oblegających przed desperackimi atakami i mógłby nimi dowodzić, kiedy Afghuli odeprą taki atak.

Odpowiedzią na śmierć sierżanta były przekleństwa i kilka strzałów. Jeden z turańskich łuczników od razu zademonstrował swoją głupotę, podchodząc zbyt blisko do szczeliny. Obciążona kamieniem ręka Conana mignęła w powietrzu i strzeliła do przodu jak bat poganiacza. Co prawda kamień nie leciał tak prosto, jakby wypuszczono go z procy, ale trafił dostatecznie silnie, aby strzaskać nieszczęśnikowi żebra i wepchnie ich połamane końce w serce. Któryś z Turańczyków przyskoczył do martwego łucznika, chcąc odciągnąć jego ciało na tyły. Lojalność kosztowała go życie — trzech Afghuli strzeliło równocześnie, dwóch trafiło i żołnierz nie żył, zanim osunął się na ziemię obok towarzysza.

Z góry rozległ się śpiew Farada. Chcąc uczcić śmierć dzielnego przeciwnika, zaintonował stary poemat Afghuli. Conan życzył zmarłemu łaski Mitry lub jakiegoś innego boga, któremu nie jest obojętnej w jaki sposób ludzie umierają. Sobie zaś i swym ludziom życzył, by Turanczyki albo zaatakowali, albo uciekli. To nie kończące się oczekiwanie było bardzo męczące. Im szybciej dojdzie do wymiany cio4 sów w walce wręcz, tym lepiej.

Cymmerianin mrużył oczy i osłaniał je rękoma przed blaskiem słońca. Wypatrywał kapitana, chcąc sprawdzić, jak dalece kontroluje poczynania swoich ludzi. Znalazł go szybko.

Dowódca Turańczyków był równie ruchliwy jak kamienny posąg. Muchy zwabione potem na pokrytym bliznami i krwią torsie Conana cięły boleśnie, ale nie odważył się ich odpędzić, bojąc się, że jakikolwiek ruch mógłby zdradzić jego pozycję.

W pewnym momencie Cymmerianin zauważył, że w turańskich szeregach coś się zaczyna dziać. Odezwał się bęben, potem drugi. Obawiał się, że przybyły już posiłki, gdyż z tej strony, z której odezwał się drugi bęben, wzbiły się pod niebo turańskie okrzyki wojenne. Bęben zawarczał głośniejsze, a po chwili przyłączył się do niego róg. Conan zaklął, gdyż pojął, że turański kapitan ma więcej rozsądku, niż można się było spodziewać. Najwyraźniej szykował swych ludzi do ataku. Wyglądało na to, że zamierza najpierw uderzyć na łuczników, a dopiero potem forsować wejście do szczeliny. Barbarzyńca nie mylił się.

Do jaskini Oka nie prowadziła żadna ścieżka ani schody. Pod stopami kobiet była tylko naga ziemia, ubita tak mocno przez ostatnie trzy lata, że stała się twarda jak skała (Pani Mgieł nie wątpiła, iż tysiące stóp deptały tę ziemię od tysięcy lat). Tunel prowadzący do pieczary był tak niski, że włosy dwóch Panien dotykały sklepienia. Pył okrył ich warkocze, a małe kamyki, kości nietoperzy i resztki innych mieszkańców jaskini z trzaskiem kruszyły się w ciemnościach. Światło nie docierało do tunelu dalej niż za wejście. Nie zapalono jednak pochodni. Kobiety przechodziły tędy już wiele razy, więc znały drogę doskonale. Poza tym nic nie mogło ich zaskoczyć, kiedy przed nimi szła magia Władczyni. Tylko oczy czarodziejki przesyłały pamięci obrazy płaskorzeźb na ścianach. Ktoś nie wtajemniczony sądziłby, że to dziwne twory drążącej skałę wody. Jedynie Pani Mgieł ogłądała je niegdyś w pełnym świetle i wiedziała, iż są dziełem istot o wprawnych dłoniach, które mieszkały w tej i innych jaskiniach gór Kezankian, kiedy ludzie zakładali Atlantis. „Kull Atlantis” była to nazwa wywołująca wspomnienia z czasów niewiarygodnie odległych. Ale kiedy rzeźby

nabierały kształtu, najdalsi przodkowie Kull nie ujrzeli jeszcze światła dnia.

Lodowate tchnienie jaskini nie oddziaływało na Panią Mgieł, choć była niemal naga.

Jednak świadomość ciężaru lat, przygniatająca ją w tej chwili, przyprawiła czarodziejkę o dreszcze, których nie może uspokoić ani miejsce przy ogniu, ani puchar grzanego wina. Nie zgarbiła się jednak ani nie złamała kroku.

Tymczasem pięć kobiet wyszło z ciemności na światło Oka. Miało ono szkarłatną barwę, nieco odmienną od koloru pucharu, tak jak dwa rubiny różnią się między sobą. Wylewało się do góry, jakby było płynem wydostającym się z otworu pośrodku komnaty długiej na trzydzieści kroków. Sam otwór był szeroki na połowę wzrostu mężczyzny, a skała wokół brzegu została wytarta do tego stopnia, że osiągnęła śliską gładkość szkła. Kobiety pomaszerowały prosto do krawędzi.

Władczyni uniosła rękę i Panny stanęły, a potem ustawiły się po dwie po obu stronach otworu. Umieszczony w sakwie puchar zawisł nad otworem, a przykrywka cicho brzęknęła.

Czyżby to, co znajdowało się wewnątrz Oka, przyzywało to, co znajdowało się w pucharze?

Pani Mgieł była świadoma, że w tym miejscu można szczególnie łatwo wyobrazić sobie dźwięki, których nie słyszy ucho, i widoki, których nie dostrzega oko.

Kolejny gest czarodziejki zamienił Panny w posągi. Tylko nieznaczne poruszenia piersi świadczyły, że jeszcze żyją. Trzeci gest i puchar opuścił skórzaną sakwę, wzbijając się w powietrze na wysokość nieco większą niż wzrost Panien.

W tej samej chwili Panny zaczęły głębiej oddychać. Odeszły na bok raczej z pośpiechem niż godnością. Nie otrzymały żadnego rozkazu, bo żaden nie był potrzebny. Nie widziały wprawdzie, jaki los spotkał Pannę, która była zbyt opieszła podczas oddalania się od Oka, ale wszystkie słyszały tę historię. Mgła wydobyła się z Oka i dostrzegłszy Pannę, postąpiła z nią tak, jakby miała umysł szalonego kata.

Panny cofnęły się aż do wyjścia do tunelu, pozostawiając czarodziejkę samą z pucharem i szkarłatną poświatą Oka. Usiadła krzyżując nogi na zimnym kamieniu i uniósłszy obie ręce, zamknęła oczy. Nawet strzeżona przez czary nie chciała zobaczyć tego, co zaraz nastąpi.

Szkarłatne światło nabrało intensywności, nadając ciału Pani Mgieł demoniczny odcień. W żadnym z ludzkich języków nie istniały słowa, którymi można by opisać to, co stało się z pucharem, a przede wszystkim to, co stało się z noszącą pieczęć przykrywką. Szkarłatny blask zalał całą jaskinię. Jej ściany były tak samo nagie jak Pani Mgieł, ale zbyt gładkie na dzieło natury. One również były tworem rąk istot od dawna wymarłych. Światło zaczęło zmieniać barwę. Szkarłat przeszedł w purpurę, a ta z kolei w jaskrawy błękit.

Barwna poświata zaczęła wirować niczym zdmuchiwana silnym wiatrem mgła. Podniosła się na wysokość dwóch mężczyzn, ale nie sięgnęła poza krawędź otworu. Władczyni była zbyt wyczerpana, by się ruszyć lub cokolwiek powiedzieć, podobnie Panny. W tej chwili magia czarodziejki przeszła z jej umysłu bezpośrednio do Mgły. Pani obawiała się tego, co się stanie, jeśli Mgła nie odpowie na wezwanie. Jednak w następnej chwili puchar drgnął, więc przestała się lękać.

Mgła nadal wirowała, aż stała się kolumną białego światła wydobywającego się z Oka. Światło strzeliło do góry, sięgając sufitu. Puchar skoczył do góry wraz ze wznoszącą się Mgłą. Był zbyt daleko, by mogła go dosięgnąć, nadała więc swej woli kształt niewidzialnych palców, które wśliznęły się pod puchar i ofiarowały go Mgle.

Wtedy więc została złamana i Mgła wycofała się do Oka. Teraz czarodziejka mogła skłonić puchar do łagodnego lądowania.

Panny ponownie umieściły puchar w sakwie, uniosły delikatnie swą mistrzynię i zawróciły do tunelu. Jedna z nich spojrzała na skałę wiszącą jej nad głową, by odmówić krótką modlitwę do swojego boga — opiekuna w podzięce za to, że wszystkie nadal żyją i mogą

powtórnie stanąć pod otwartym niebem.

Turańczycy, którzy zaatakowali Afghuli kryjących się wśród skał, dostali gorzką lekcję.

Conan zastanawiał się jednak, czy któryś z nich wspinając się, nie dostrzegł drogi na odległe skalne zbocze i czy nie poprowadzi tamtędy swoich towarzyszy. Mogliby dotrzeć na tyle wysoko, by uderzyć raz jeszcze, gdy pozostali Turańczycy zaatakują na południu. Wówczas Afghuli byłiby zbyt zajęci, by pomóc Conanowi.

Cymmerianin miał właśnie zawołać do Farada, aby ten przeprowadził zwiad w północnej części skały, gdy z prawej strony rozległ się dźwięk rogu. Z lewej napłynęła z wiatrem odpowiedź, przy czym obaj trębacze pozostawali poza zasięgiem wzroku. Conan był przekonany, że Turańczycy zwołują się do desperackiego ataku. Ledwo skończył liczyć tych, których zdołał dostrzec, a ujrzał pół dwudziestki jeźdźców karakolujących tuż na granicy zasięgu strzały z łuku. Stanowili oni drugi rzut, podążający śladami pierwszego. Szacunek Conana do nieprzyjacielskiego dowódcy wzrósł jeszcze bardziej.

Zanim jeźdźcy zbliżyli się do zbocza, pierwsza grupa wyskoczyła z ukrycia, kierując się w stronę skał.

Conan wypuścił dwie celne strzały i po raz trzeci naciągnął cięciwę, kiedy strzały z góry powaliły na piach jeszcze dwóch Turańczyków. Pięciu wrogów poległo, zanim doszło do walki wręcz, ale pozostali biegli do przodu tak szybko, jakby demony następowały im na pięty. Mimo iż Conan strzelał dalej, Turańczycy byli coraz bliżej. Jeden z nich, trafiony którąś ze strzał, padł na ziemię. Jednak rana najwyraźniej nie była śmiertelna. Turańczyk wyciągnął łuk i posyłał strzały w kierunku Conana, osłaniając swoich towarzyszy.

W pewnej chwili na górze rozległy się turańskie okrzyki wojenne, przekleństwa w języku afghuli oraz groźby i obelgi w dziesięciu innych językach. W tym samym momencie pozostali

Turańczycy dotarli do podnóża skały. Ledwo Cymmerianin zdążył pomyśleć, że teraz Afghuli nie będą mogli mu pomóc, na turańskich żołnierzy sypnął się z góry grad kamieni. Conan nie wiedział, ile kamieni Afghuli zdążyli spiętrzyć w stosy, ale spadały one prawdziwym deszczem. Trzech Turańczyków padło, a gdy dwóch z nich po chwili wstało, barbarzyńca natychmiast zabił jednego, rozbijając mu czaszkę kamieniem. Po czym popędził w stronę przygotowanych wcześniej i ustawionych do zepchnięcia głazów. Pierwszy, na który Cymmerianin naparł ramieniem, ze zgrzytem przesunął się po skale, przechylił za krawędź zbocza i zaczął się staczać. Teraz Conan zepchnął drugi, trzeci i czwarty. Zatrzymał się dopiero przy ostatnim, największym. Napiął wszystkie mięśnie, a świeży pot zmieszał się z kurzem na jego czole w błoto. Przez jeden straszny moment zdawało się, że głaz go pokona. Drgnął jednak i stoczył się w ślad za poprzednimi.

Conan odskoczył i strzały świsnęły w miejscu, które zajmował chwilę wcześniej. Miał tylko tyle czasu, by zobaczyć, że połowa Turańczyków rozprasza się pod kamienną nawałą, podczas gdy pozostali właśnie dobiegli do szczeliny.

Cymmerianin miał dwa cele: zabić tylu Turańczyków, ilu zdoła, zmieniać pozycję jak najczęściej, tak aby żaden łucznik nieprzyjaciela nie mógł zakończyć tej walki pojedynczą strzałą. Zdawał sobie sprawy że dobrze wycelowana strzała położyła kres życiu niejednego wyśmienitego szermierza. Conan zaakceptowałby śmierć, gdyby wezwali go do siebie bogowie, ale pod warunkiem, że dosięgłaby w walce z mieczem w dłoni przeciwko wrogowi. Cymmerianin był o głowę wyższy od najrośniejszego z Turańczyków i miał dwukrotnie większy zasięg ramion. Ponadto jego szeroki miecz lepiej nadawał się do tego rodzaju walki niż turańskie handzary i sztylety. W rezultacie przewaga liczebna wrogów zmniejszała się szybciej, niż się tego spodziewał.

Jednym szybkim cięciem odrąbał ramię pierwszego przeciwnika, kolejnym — rozłupał

czaszkę drugiego. Padając w wąskim przejściu, zablokowali tych, których miał za plecami.

Jeden z Turańczyków zachwiał się i to kosztowało go życie. Dwóch pozostałych uskoczyło, odnosząc mniejsze rany, ale zasłonili przez to widok łucznikom.

Conan obawiał się, że jego dobra passa nie potrwa długo, tym bardziej iż doceniał determinację i odwagę wrogów.

Natarł na nich z siłą głazu. Jeden uderzył głową o skałę i stracił przytomność, a drugiego Conan kopnął tak mocno, że tamten zgiął się wpół. Wtedy Cymmerianin roztrzaskał mu czaszkę cięciem z góry.

Tymczasem inny Turańczyk wspiął się na skałę, która była już śliska od krwi zabitych.

Cymmerianin pochodził z ludu, o którego synach mówi się, że mają oczy w stopach.

Wiedział, jak utrzymać równowagę na śliskiej skale i jak kogoś jej pozbawić.

Turańczyk wczepił się w niego i krzyknął głośno. Najwyraźniej miał nadzieję, że

pociągnie Conana w dół za sobą. Cymmerianin uderzył go w skroń płazem miecza i

Turańczyk rozluźnił uchwyt. Wtedy barbarzyńca wyciągnął sztylet i potężnie pchnął w górę.

Turańczyk zawył, i z dodatkowym impetem, jaki nadał mu kopniak Conana, uderzył w swego

towarzysza. Obaj mężczyźni upadli. Zanim ten, któremu nic się nie stało, zdążył się podnieść,

barbarzyńca skoczył na niego, miażdżąc mu płuca i łamiąc żebra. Chwilę później ranił jeszcze

dwóch kolejnych Turańczyków i zabił jednego, który próbował odciągnąć ciała poległych w

bezpieczne miejsce.

Na skałach znów zabrzęczały strzały turańskich łuczników. Jedna drasnęła Conana. Rana,

choć krwawiła dość obficie, była powierzchowna. Przypomniała mu jednak, że stoi na

odkrytym terenie. Ranił lub zabił wszystkich Turańczyków, którzy osłaniali go przed

strzałami, i teraz musiał albo pójść do przodu, by wznowić walkę, albo się wycofać.

Szybkie spojrzenie w dół wystarczyło, by wybrał to drugie. Turańczycy najwyraźniej nie

mieli ochoty na dalsze zmagania. Wprawdzie łucznicy nadal strzelali, ale z bezpiecznej odległości. Żaden z wrogów nie chciał się znaleźć w zasięgu miecza Cymmerianina. Kolejna strzała drasnęła lewą łydkę Cohana, gdy cofał się do swojego schronienia. Odnosił już gorsze rany w czasie rozgrywanych z przyjaciółmi dla rozrywki pojedynków w zapasach. Pomyślał jednak, że Afghuli mogą nie czuć się zbyt dobrze. Wszak od pewnego czasu z góry nie spadała ani jedna strzała.

— Hej tam! — zawołał, używając tego samego dialektu, co poprzednio. — Co się u was dzieje?

— Asad nie żyje, a Kurim jest ciężko ranny. Żaden z nas nie jest cały. Turańskie psy wspinają się na skały, jakby byli mężczyznami, ale przekonaliśmy ich, że tak nie jest.

— Ilu nauczyło się lekcji?

— Niewielu z blisko pięćdziesięciu.

— Nie wiedziałem, że potrafisz zliczyć aż do tylu, bracie wielbłąda.

Zapadła cisza, po czym odezwał się Farad.

— Niewiele więcej niż dziesięciu. Policzyliśmy trupy i tych, którzy stoczyli się na dół.

Według obliczeń Cymmerianina Turańczycy stracili trzecią część swych sił. Czy odjechać teraz, póki wrogowie są oszołomieni i słabi, czy też poczekać do nocy, kiedy ciemność zakryje ślady, a chłód ulży koniom?

— Czy ranni mogą teraz jechać?

— Lepiej poczekać do zmierzchu. Nie zostawię nikogo oprócz Asada, a i jego zabiorę, jeśli tylko będę mógł. Rastam i Jobir już się dostali w ręce tych psów, które odprawiły nad nimi bezbożne rytuały.

Conan był pewien, że Farad nie zmieni zdania. On sam sądził, że natychmiastowy odjazd miałby o wiele więcej sensu i nie dałby Turańczykom cienia szansy na sprowadzenie

posiłków. Jednak Farad troszczył się przede wszystkim o swoich ludzi.

Cymmerianin rozumiał, że albo odjedzie sam, albo pozostanie na skałach z Afghuli.

Został.

ROZDZIAŁ IV

Północna część horyzontu stopniowo pochłaniała słońce. Resztki dziennego, światła spełzły z nieba, a szczyty gór Kezankian stały się purpurowe, a potem szare w świetle gwiazd.

Gdy Muhrabas szedł do namiotu wejście do doliny przesłoniła mgła. Ta mgła, przekonywał sam siebie, jest dziełem górskiej nocy, a nie magii Pani.

Rozum toczył ciągłą walkę ze starodawnymi opowieściami o potężnej mocy drzemiącej w tych górach. Mocy, nad którą Pani Mgieł mogła mieć żałośnie niedoskonałą władzę. Po raz pierwszy słyszał te opowieści od swojej niani, ale i w następnych latach docierały one do jego uszu. Wątpił więc, czy wszystkie były tylko fantazjami starej kobiety.

Tymczasem otrzymał rozkazy i ludzi, aby je wykonać. Gdyby nie był posłuszny, czekało go wygnanie, a może nawet gorszy los. Obawiał się, że już nigdy nie zobaczy Khorai, nie mógł jednak porzucić swoich ludzi. Zdecydował zatem, że zakończy nocną wartę, zdrzemnie się, a nazajutrz będzie gotów wykonać wszelkie rozkazy, jakiegokolwiek by były.

Skały zwracały ciepło dnia nocnemu niebu. W parowie konie poruszały się z trudnością. Z góry spadł kamyk, a za nim potoczyły się dwa kolejne. Ostatnia czwórka Afghuli schodziła ze skał. Jeden z nich miał obwiązane ramię. Zamiast bandaża użył zawoju zmarłego towarzysza.

Afghuli zebrali się wokół Conana. Na ciemnych twarzach błyszczały oczy. Brody mieli zaplecione w warkoczyki, a na ich szyjach widniały świeże nacięcia — znak, że przysięgli, iż

albo zwyciężą, albo zginą.

Conan nie złożył takiej przysięgi, bardzo rzadko bowiem walczył wedle odmiennych reguł i nie sądził, aby dziś wieczorem miało być inaczej. Największą uprzejmością, jaką Turańczycy mogli mu wyświadczyć, była szybka śmierć.

— Kto ma wodę, niech napoi swego konia — powiedział Conan. — Łucznicy, nie strzelajcie, dopóki nie macie dobrego celu. I mierzcie najpierw w konia, a dopiero potem w jeźdźca.

Afghuli przytaknęli. Conan właściwie nie wątpił, że mówi im coś, co sami dobrze wiedzą i że na dobrą sprawę nie potrzebuje wydawać żadnych rozkazów. Ale wódz Afghuli zawsze przemawiał do swych ludzi przed bitwą, choćby tylko po to, by dowieść, że strach nie wysuszył mu języka.

— Jeśli zostaniemy rozdzieleni, spotkamy się w Oazie Dziewicy. — Podał kierunek, odległość i charakterystyczne znaki terenu. — Czy są jakieś pytania?

— Tak — odezwał się Farad. — Kiedy to bogowie pozwolili kobiecie przyjść na tę pustynię i pozostać dziewicą?

— Dawno temu, tak w każdym razie słyszałem — odpowiedział Cymmerianin. —

Mężczyzn było wtedy mniej niż teraz i, oczywiście, żaden z nich nie był Afghuli.

Sprośny śmiech obudził echa, więc Conan przyłożył palec do warg.

— Nie wszyscy Turańczycy śpią — rzekł. — I nie wszyscy, którzy czuwają, są głupcami.

Albo odjedziemy szybko i cicho, albo dołączymy do naszych martwych towarzyszy.

Afghuli skłonili się w milczeniu, a potem podążyli ku koniom.

Wysoko na zboczu pozostały tylko trupy z rękoma sztywniejącymi na rękojęściach sztyletów, wepchniętych między żebra zgodnie z obyczajem Afghuli. W ten sposób okrutni

bogowie tego jeszcze bardziej okrutnego kraju mieli się dowiedzieć, że serca poległych przebiła stal przyjaciół, a duchy będą czuwać nad żyjącymi.

Jeśli duchy martwych Afghuli rzeczywiście czuwały tej nocy, to albo niczego nie dostrzegły, albo nie zdołały ostrzec swoich żywych przyjaciół. A może nie wiedziały, że ani Afghuli, ani Cymmerianin nie zobaczyli cieni przemykających przez odległą piaszczystą diunę oraz Posłańca, chyłkiem opuszczającego zewnętrzną linię Turańczyków.

Skradał się bezszelestnie, zanim dotarł do miejsca, w którym nie można go było dostrzec ze skał.

Tam już tylko duchy mogłyby zobaczyć, jak siodła konia, którego przyprowadzili czterej jeźdźcy z regularnej turańskiej kawalerii, należący do formacji nazywanej Zielonymi Płaszczami. Tylko duchy mogłyby zobaczyć, jak odjeżdża w głąb nocy, by daleko od miejsca, gdzie przysiadł cień, spotkać się z młodym turańskim kapitanem.

I tylko duchy mogłyby usłyszeć wiadomość, jaką przekazał kapitanowi, oraz zauważyć, że przez szczupłą twarz przemknął ironiczny uśmiech.

Trzej łucznicy Afghuli wspięli się na najwyższe pozostałe po bitwie głazy. Conan wiedział, że gdyby zostali zaatakowani, nie zdołają utrzymać się na zboczu. Wszak wiódł teraz mniej ludzi, niż miał ich o świcie, a i z tych nie wszyscy nadawali się do walki. Na pewno zrobią, co V ich mocy, ale koniec może przyjść szybko.

Cymmerianin poprosił dwóch Afghuli, aby powtórzyli, jak dojść do Oazy Dziewicy. Obaj znali drogę. Następnie barbarzyńca wdrapał się na głaz wraz z pozostałymi łucznikami, a Farad poprowadził pozostałych na otwartą przestrzeń.

Ani bębny, ani trąby, ani nawet okrzyki straży nie przywitały pojawiających się Afghuli.

Zatem albo mieli szczęście, albo też powinni spodziewać się pułapki.

Conan klepnął klacz Farada w zad i sam zakołysał się w siodle. Uniósł rękę w obscenicznym afghulijskim geście i czekał, dopóki trzej łucznicy nie zeszli w dół i nie wsiedli na konie. Potem spiął wierzchowca ostrogami i ruszył do przodu.

Jeźdźcy spływali w dół stoku żwawym kłusem, wzbijając chmurę kurzu. Mijali nieruchome ciała poległych Turańczyków, a także śmiertelnie rannych, którzy witali ich jękiem. Nie mieli jednak czasu, by ich dobić. Tym razem był to wyścig o życie. Opuścili dające cień skały, ale nadal jechali kłusem, chcąc oszczędzać konie. Turańczycy z pewnością nie zdążyli cofnąć się na tyle, by nie zauważyć ucieczki Afghuli.

Gdy zatem pokonywali jedno wzniesienie za drugim nie niepokojeni przez nikogo, Conan zaczął się zastanawiać. Jego oddział mocno przetrzepał skórę Turańczykom w dzisiejszej bitwie. Czyżby wycofali się, by wylizać rany i czekać na posiłki? Cymmerianin był niemal pewien, że wrogowie szykują jakąś niespodziankę, nie chciał jednak niepokoić ludzi. Afghuli i tak byli bardziej czujni niż zwykle. Jechali z naciągniętymi łukami i obnażonymi handżarami, bacznie się rozglądając i nasłuchując, gotowi zareagować na najmniejsze poruszenie czy najlżejszy szelest.

W pewnej chwili Conan poczuł między łopatkami znajome swędzenie, które ostrzegało go zazwyczaj przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Uniósł rękę. Afghuli ściągnęli cugle i zgromadzili się wokół niego. Raz jeszcze rozejrzeli się na wszystkie strony, badając każde wzgórze i każdy jar w poszukiwaniu oznak czającego się tam zagrożenia. Jedynym miejscem, którego nie można było sprawdzić, było koryto wyschniętego potoku, pogrążone w głębokim w cieniu. Conanowi zdało się, że dostrzega tam jakiś ruch, ale był pewny, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Stał na warcie zbyt wiele razy, by nie wiedzieć, że noc słucha ludzkich strachów i jeśli człowiek wpatruje się w jedno miejsce dostatecznie długo, z pewnością zobaczy coś, czego tam nie ma. Conan wskazał ręką na północ.

— Przejedziemy tamtędy, jak najdalej od koryta. Musicie być jeszcze bardziej czujni. W przeciwnym razie możecie nigdy nie zobaczyć Oazy Dziewicy, nie mówiąc już o samej dziewczycy.

W noc wzbiły się wybuchy śmiechu i para z koni. Oddział ruszył ponownie.

Młody kapitan zaklął, słysząc głośnie okrzyki strażników wzywających posłańca. Być może ich przeciwnicy nie znali pustyni tak dobrze, jak turańscy weterani, ale byli przecież doświadczonymi wojownikami. A już z pewnością nie byli głupcami.

Potem kapitan przeklął samą wiadomość. Afghuli rzeczywiście nie byli głupi, a wiódł ich bardzo czujny i zmyślny wojownik, nawet jeśli nie był tym człowiekiem, którego kapitan szukał. Dwa z trzech oddziałów, które pozostawały w gotowości, dowiedzą się wkrótce, że niełatwo poradzić sobie z Afghuli. Kapitan nie należał do takich, którzy często się modlą. Uważał bowiem, że tylko nieliczni bogowie obiecują wiele (co prawda kapłani obiecują więcej, ale któż ufałby kapłanowi), a jeszcze mniej w ogóle dotrzymuje swych obietnic. Teraz jednak prosił Mitrę, aby miał go w swej opiece, jeśli tej nocy zginą kolejni turańscy żołnierze, próbując schwytać niewłaściwego człowieka.

Wprawdzie wszystko wskazywało na to, że wódz Afghuli jest tym człowiekiem, którego kapitan szukał, ale nie mógł być tego do końca pewien, ponieważ nie uzyskał dokładnego opisu owego dowódcy. Spośród tych, którzy widzieli go z bliska, żyło ledwie kilku. Kapitan zaś nie chciał ich zbyt szczegółowo wypytywać, aby wzbudzać wśród swoich ludzi podejrzeń co do tożsamości owego człowieka.

To, że pragnął ująć mężczyznę żywcem, bo takie otrzymał rozkazy, nie miało znaczenia.

Zdawał sobie sprawę, iż tak czy owak może zostać oskarżony o zdradę. A jeśli nie o zdradę, to o cokolwiek inne go. Odkąd Yezdigerd wstąpił na tron, w królestwie aż kotłowało się od

różnych oskarżeń. A kapitan miał wielu wrogów, którzy zrobią wszystko, by mu zaszkodzić. Wystarczy jeden donos, jedno posądzenie i może zostać zdegradowany. Wtedy zaś musiałby wybierać między powrotem do rodzinnych posiadłości a jakimś poślednim stanowiskiem. Nie miał ochoty liczyć derek i podków gdzieś daleko na południu, gdzie nomadzi mówią tylko w iranistańskim narzeczu. Dowodził Zielonymi Płaszczami i cieszył się szacunkiem podwładnych. Wolałby umrzeć, niż utracić to wszystko.

Pustynny wiatr podsunął umysłowi kapitana jeszcze jedną myśl. Jeśli człowiek prowadzący Afghuli był tym, którego szukał, to życie albo śmierć może nie być sprawą wyboru kapitana. Widział już owego : mężczyznę przed pięcioma laty, a z tego, co słyszał, wynikało, że jest on mocny, jak zwykle, i bez wątpienia bogatszy o doświadczenia wyniesione z wielu odbytych w tym czasie bitew i podróży.

Kapitan przerwał rozmyślania i unióśł lancę. Po chwili sierżant również wzniósł do góry lancę, na której była zawieszona jak proporzec latarnia świecąca tylko w jednym kierunku. Cztery wzgórze dalej podobna latarnia zaświeciła na tle gwiazd, a potem zbladła, gdy niosący ją obrócił się, aby przekazać sygnał dalej.

Kapitan odczekał, póki delikatne dzwonienie uprząży i płytkie oddechy wokoło nie powiedziały mu, że Zielone Płaszcze są gotowe do odjazdu. Wtedy trącił konia ostrogami. Wierzchowiec z wolna ruszył w dół koryta. Ciężkie chmury płynęły po niebie w stronę srebrnej, tarczy księżyca.

Conan szpetnie zaklął, gdy z koryta wyschniętego potoku wyroili się jeźdźcy. A więc nie mylił się, podejrzewając zasadzkę. Znaleźli się w niewesołej sytuacji i niewiele można było na to poradzić. Wprawdzie Afghuli nie brakowało odwagi, ale byli już u kresu wytrzymałości. Conan ściągnął łeb klaczy w lewo. Wprawdzie w armiach cywilizowanych krajów za

najbardziej zaszczytne uważano miejsce po prawej stronie szyku, ale tu nie było ani cywilizacji, ani żadnego szyku. Honorowym miejscem było takie, które pozwoli znaleźć się jak najbliżej wrogów.

— Popędźcie konie ostrogami, wyciągnijcie miecze i chrońcie głowy! — krzyknął Cymmerianin.

— Co...? — zawołał jeden z Afghuli. Inny wściekał się w bezsilnej złości, co było szaleństwem, zważywszy, że czas dyskusji już minął. Ten, który się odezwał, padł pierwszy. Teraz już nikt nic nie mówił, a przynajmniej nikogo nie było słychać. Tętent kopyt i narastający grzmot turańskiego pościgu zagłuszyłby nawet krzyk.

Tymczasem chmury dosięgły księżyca i nad pustynią zapadła jeszcze gęstsza ciemność. Teraz rozstrzygnięcie wyścigu należało do koni. Afghuli nie stracili jeszcze ani jednego wierzchowca, ale połowa utykała i widać było, że wkrótce ustaną.

Conan usłyszał róg wojenny, którego dźwięk rozległ się na tyłach jego oddziału. Było zimno, a lodowaty wiatr przenikał jeźdźców na wskroś niczym nieprzyjacielskie włócznie. Jednak Conanowi zrobiło się gorąco, gdy usłyszał, że pierwszemu rogowi odpowiada drugi i że jego dźwięk dochodzi z tego kierunku, w którym podążali. Było gorzej niż źle. Teraz Turańczycy nie muszą nawet stosować manewru wilczego stada. Zaatakują ich z dwu stron i po prostu zgniotą.

Cymmerianin wypatrywał jakichś skał, wśród których mogliby najskuteczniej się bronić. Spodziewał się, że ta walka będzie jego ostatnią, i dbał tylko o to, by zabrać ze sobą jak najwięcej nieprzyjaciół. Nie zobaczył jednak nic prócz piasku i żwiru, wydmy zaś tworzyły zagłębienia zbyt płytkie, aby skrył się w nich człowiek na koniu. Rogi odezwały się znowu, tym razem znacznie bliżej. Conan nasłuchiwał, próbując się zorientować, czy Turańczycy z przodu już przecięli im drogę. Jeśli nie, może uda się ich ominąć albo znaleźć schronienie,

albo... W tym momencie zdał sobie sprawę, iż ścisła miecz tak kurczowo, że paznokcie pozostawiły ślady na rękojeści. Roześmiał się śmiechem, w którym zabrzmiała bitewna furia Cymmerian. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach słysząc go, nie mógłby nie poczuć chłodu większego niż chłód tej pustynnej nocy.

Turańczycy znajdowali się jeszcze w pewnej odległości, nieco na lewo od szlaku, którym podążał oddział Conana. Być może w ciemnościach nie zdadzą sobie z tego sprawy, dopóki nie będzie za późno, pułapka została dobrze zastawiona i rzeczywiście się zaciskała, lecz czy nie będzie za słaba, by zatrzymać tak groźną ofiarę?

Conan dowodził już zbyt często, aby wątpić, że w takich chwilach żołnierze potrafią niemal czytać myśli swego dowódcy. Najlepiej byłoby, gdyby wyczytali w nich nadzieję i odwagę. Inaczej bitwa będzie przegrana, zanim się zacznie.

Teren po prawej stronie wznosił się stromo pomiędzy dwoma płytkimi wzniesieniami.

Cymmerianin już miał dać hasło do zmiany kierunku, gdy zobaczył, że jeden z wierzchowców Afghuli utyka. Jeździec przechylił się, aby wyszeptać słowa dodające koniowi odwagi, i równocześnie dźgnął go ostrogami, ale wierzchowiec już padał. I w rzeczy samej upadł, na szczęście bez szkody dla jeźdźcy. Afghuli błyskawicznie zerwał się na równe nogi, dopędził jednego z zapasowych koni, chwycił za siodło i wskoczył na nie tak szybko, że wierzchowiec nawet nie zgubił kroku.

— Yaahhhaaa! — krzyknął Conan. Jeśli dowodzi takimi ludźmi, to Turańczycy wiele się nauczą, zanim pogrzebią go pod piachem albo pozostawią sępom. Być może nawet zdołają zwyciężyć, jeżeli dotrą na szczyt zbocza i nie znajdą tam nieprzyjaciół.

Wkrótce znaleźli się na szczycie, ale nie mogli już jechać dalej. Wspinaczka to było zbyt wiele dla wyczerpanych koni. Jeden zrzucił jeźdźcy z siodła. Conan usłyszał głuchy odgłos uderzającej o skałę czaszki i zobaczył, że jeździec już się nie porusza.

— Yaahhhaaa! — krzyknął jeszcze raz i spiał konia. Za wzniesieniami po obu stronach rozciągała się ciemna piaszczysta równina. Nie był to teren odpowiedni dla pieszej wędrówki, chyba że miało się wytrzymałość Afghuli i było się gotowym zniechęcić ścigających do zbytniego skrócenia dystansu. Teraz jednak pozostał już tylko jeden sposób na to, by kupić czas dla Afghuli, i był tylko jeden człowiek, który mógł zapłacić tę cenę.

Koń Conana utykał, ale ten brutalnie przekręcał mu łeb, dopóki nie skierował wierzchowca ku dołowi zbocza. A potem uderzył ostrogami. Jego szarża nabierała pędu. Usłyszał jakiś głos, który przebił się przez tętent kopyt turańskich koni. Mimo że niewyraźny, bo wpółtłumiony przez zawrozczenie rogów, był zadziwiająco znajomy. Ale człowiek, do którego ten głos należał, nigdy nie wydałby tak szalonego rozkazu, jak ten, który Cymmerianin usłyszał.

— Brać tego dużego żywcem, za wszelką cenę!

Ktoś niewiele dbał o życie swoich ludzi dzisiejszej nocy i o ich posłuszeństwo jutro. W następnej chwili z mroku wyłoniła się gromada jeźdźców. Pierwszych pięciu Conan zrzucił z siodła kilkoma cięciami miecza, a jego wierzchowiec przebijał się przez linię przeciwnika. Po chwili jednak klacz, trafiona jednocześnie przez trzy lance, zarżała przeciągle. Miała jeszcze tyle siły, by wspiąć się na zadnie nogi. Cymmerianin spadł z siodła. Ustał, lądując sprężysto na nogach, gdy koń cofnął się, brocząc krwią z pyska i z ran. Miecz barbarzyńcy świsnął w śmiertelnym łuku i rzenie turańskich koni zagłuszyło agonię klaczy. Ale tępy koniec lancy sięgnął barku Conana. Wprawdzie zdołał złożyć się do kolejnego cięcia, które rozplatało brzuch Turańczyka, jednak miecz obrócił mu się w na pół zdrętwiałej dłoni i na moment ugrzązł. To wystarczyło.

Poczuł kolejne uderzenie. Lanca przesunęła się po przedramieniu. Bardziej pod wpływem szoku niż bólu otworzył dłoń i jego miecz upadł. Wyciągnął sztylet i skoczył ku pierwszemu

jeźdźcowi, którego zobaczył, ale w tej samej chwili zaatakowało go czterech innych, trzech z lewej strony, a jeden z tyłu. Wszyscy uderzyli tępymi końcami lanc. W głowę Conana wlała się ciemność pustynnej nocy. Stracił przytomność.

Młody kapitan ściągnął cugle. Koń zatrzymał się tuż przed kręgiem ludzi otaczających powalonego przywódcę Afghuli. Kapitan zdawał sobie sprawę, że jego rozkazy spowodowały, iż wielu zginęło, a jeszcze więcej odniosło rany. Mimo to nie wątpił, że żołnierze pozostaną mu posłuszni.

— Kto idzie? — ostro zabrzmiał czyjś głos.

W porządku, to sierżant Barak, wojownik, którego trudno było czymś poruszyć, a jeszcze trudniej usunąć z drogi.

— Kapitan z blizną — odpowiedział.

— Droga dla kapitana! — zawołał Barak, podnosząc głos. Kapitan zsiadł z konia i krąg ludzi otworzył się. Podeszedł bliżej, aby zobaczyć, kto leży na ziemi. To był mężczyzna, którego kapitan szukał. Oddychał i wyglądało na to, że nie odniósł poważnych ran. Zapewne będzie zdolny do walki dostatecznie szybko, by spełniły się plany kapitana.

— Ilu naszych nie żyje?

— Dziewięciu, panie. A pięciu jest ciężko rannych.

— Nagrodzę krewnych wszystkich, którzy zginęli dzisiejszej nocy. A tym, którzy przeżyli, także nie będzie niczego brakowało.

Żołnierze, choć wyraźnie poruszeni słowami dowódcy, milczeli. Żaden nie zadał pytania, które musiało się nasunąć każdemu, kto nie znał ukrytych możliwości finansowych kapitana:

„Nagrodzę — ale za czyje pieniądze?” Być może milczenie było oznaką szacunku dla przełożonego, a może po prostu żołnierze woleli nic nie mówić w sytuacji, kiedy nie

wiadomo, kto jest szpiegiem. Sam kapitan wiedział doskonale, że nawet z owych ukrytych źródeł nie zostanie ani jeden miedziak, jeśli jego plan zawiedzie. Wprawdzie nie lubił niczego ukrywać, ale musiał przyznać, że nie czas teraz na szczerość.

— Ilu ludzi było z nim? — zabrzmiało następne pytanie kapitana.

— Zabiliśmy lub wzięliśmy do niewoli siedmiu — odpowiedział sierżant. — Było ich tam pewnie nieco — więcej, sądząc po koniach. Ale dokąd uciekli, wiedzą tylko bogowie.

Barak, jako mądry podoficer wie dział, w jaki sposób przekazać oficerowi nieprzyjemną prawdę, nie używając przy tym słów. Ton sierżanta, a nawet jego postawa powiedziały kapitanowi, że jego ludzie nie pognają z chęcią w pustynną noc, by schwytać ostatnich Afghuli. Nie było jednak takiej potrzeby. Ci, którzy uciekli, nie powinni sprawić dużego kłopotu. Natomiast jeńcy

— Ilu wzięto do niewoli?

— Dwóch, którzy będą żyli, oraz jednego, który nie zobaczy już świtu.

— Poderżnijcie mu gardło i odmówcie stosowne modlitwy. Opatrzcie rany pozostałym, podobnie jak temu tutaj, i przygotujcie kolebkę, którą zamocujemy między koźmi. Kiedy wszystko będzie gotowe, pojedziemy do Oazy Dziewicy.

Barak nie był jedynym, który skłonił głowę i powiedział:

— Jak każesz, panie.

Nie był także jedynym, którego twarz wyrażała nieme pytanie o przyczyny tego wszystkiego — o ile, oczywiście, mogła istnieć jakakolwiek przyczyna prócz nagłego szaleństwa ich kapitana!

ROZDZIAŁ V

Conan przebudził się w namiocie. Nie zaskoczyło go to. Nie zdziwiło go również, że stopy ma przykute do potężnego pala wbitego w ziemię pośrodku namiotu. Ręce również skuto, tyle że łańcuchy były na tyle długie, by mógł dosięgnąć dzbaną z wodą i bochenka płaskiego turańskiego chleba, który leżał obok.

Prawdziwą niespodzianką było to, że w ogóle się obudził. Było jasne, że kapitan sprawuje nad swymi ludźmi większą kontrolę, niż to się zazwyczaj zdarza, skoro po takiej krwawej łaźni, jaką była ostatnia walka, posłuchali jego rozkazu, aby ująć Cymerianina żywcem.

Conan czuł sińce, otarcia i jedno czy dwa cięcia, ale wszystkie zostały oczyszczone i zabandażowane.

Ktoś — nazwijmy go kapitanem — chciał go żywego. W jakim celu, mógł tylko zgadywać. Poprzysiągł zapytać o to pierwszego człowieka, który wejdzie do namiotu, a jeśli odpowiedź mu się nie spodoba... No cóż, zasięg krępujących go łańcuchów był dostateczny, aby mógł zadusić przynajmniej jednego człowieka. Gdyby zaś zdołał zerwać więzy, tak jak czynił to wtedy, gdy był młody i nie dysponował niczym oprócz siły byka — to luźny łańcuch stanowi broń, której obawia się każdy rozumny człowiek.

Conan usiadł i poczuł, jak w jego głowie pulsują grzmoty. Niepewnie uniósł dzbanek i opróżnił go kilkoma łykami. Właśnie sięgał po chleb, kiedy za wyjściową klapą namiotu dostrzegł jakiś ruch.

— Cóż to za żarcie! — wykrzyknął. — Przynieście mi stawę odpowiednią dla mężczyzny albo przyślijcie tutaj swojego kapitana, żebym mógł go zjeść na surowo!

Kłapa namiotu zadrżała gwałtownie, gdy krzyk Cymmerianina spłoszył niewidocznego słuchacza. Conan aż zatrząsał się ze śmiechu i chleb zsunął się z talerza. Wyciągnął rękę, by go sięgnąć, i przestał troszczyć się o uciekiniera.

Chleb musiał być kiepski już wtedy, gdy był świeży, teraz zaś był i niesmaczny, i

czerstwy. Jednak jedzenie oznaczało nabieranie siły do następnej walki, a z pewnością będzie taka walka. Jeśli nawet Turańczycy wydali na Conana wyrok śmierci, to odbędą się dwie egzekucje. Jedna — Cymmerianina. Drugą zaś będzie ta, którą Conan wykona na ludziach próbujących wykonać pierwszą.

Cymmerianin opróżnił dzbanek i talerz, beknął z satysfakcją, a potem ostrożnie wypróbował wytrzymałość łańcuchów. Test go zadowolił. Łańcuchy były ciężkie i mocne, ale przytrzymujące je przy obręczach nity znacznie słabsze. Ten pierwszy test wykazał słabość, która go zadowalała i urażała jednocześnie — jego ojciec nigdy nie wzięłby zapłaty za tak lichą robotę.

Kapitan obudził się ze snu głodny jak wilk. Jeszcze przed chwilą śnił o wybornym winie, miodowych ciasteczkach, świeżych owocach, łożu z jedwabną pościelą i pięknej kobiecie, od dłuższego już czasu nieżyjącej. Teraz zaś miał przed sobą dzban wody, suchy chleb i kawał kielbasy. Nie potrafił rozpoznać, z jakiego mięsa zrobiono tę kielbasę, ale już po trzech kęsach zdecydował, że wcale nie chce tego wiedzieć.

Jednak jadł z apetytem, dopóki kielbasa nie zniknęła w żołądku i nie ułożyła się w nim, aczkolwiek niełatwo.

Właśnie przycinał wąsy sztyletem, kiedy do namiotu wszedł sierżant Barak.

— Wielki więzień się przebudził.

— Jak się czuje?

— Na tyle dobrze, żeby przekleństwami płoszyć wartowników. Tak w każdym razie słyszałem.

— To dobry znak. A co z innymi?

— Z Afghuli?

— A więc to Afghuli? Trzeba przyznać, że znaleźli się daleko od domu.

Kapitan tylko udawał zdziwienie. Jeśli bowiem wieści, jakie w ciągu ostatnich dwóch lat docierały doń z Afghulistanu, zawierały bodaj szczyptę prawdy, nie mógł być zaskoczony tym, co teraz usłyszał.

Skłamał jednak w dobrej sprawie. Chciał się zorientować, ilu z jego ludzi ma szansę rozpoznania jeńca. Im mniej, tym lepiej, przynajmniej dopóki on i pojmany mężczyzna nie usiądą razem i nie dogadają się.

— Zamierzam odwiedzić więźnia. Każ przynieść wino i kielbasę do namiotu, kiedy tam będę. Afghuli traktujcie jak zwykłych jeńców, ale nie zróbcie im krzywdy.

— Jak mój kapitan sobie życzy — odpowiedział Barak.

Kapitan znowu poczuł, że został grzecznie napomniany.

— Czy ludzie są niezadowoleni?

— Nie aż tak, by się to dało zauważyć, nawet ci, którzy utracili przyjaciół. Ale wszyscy są ciekawi.

Nie zaspokojona ciekawość mogła się przerodzić w niezadowolenie i bunt szybciej, niż pustylny wiatr zerwałby źle umocowany namiot. Kapitan przeżył już takie rozruchy, kiedy był świeżo upieczonym dowódcą, i nie miał najmniejszego zamiaru stawiać im czoła po raz drugi.

— Muszę pomówić z jeńcem, aby zaspokoić własną ciekawość — wyjaśnił. — A kiedy już ją zaspokoję, wszystko im wyjaśnię.

Sierżant skłonił się. Wyglądał na bardziej zrezygnowanego niż zadowolonego, ale była to zwykła reakcja sierżantów, którzy nie rozumieli planów swych zwierzchników.

Kapitan skończył wyrównywać wąsy, wyczyścił zęby i ubrał się, wkładając pod tunikę kolczugę, a pod nakrycie głowy stalowy kaptur. Widoczną bronią był tylko sztylet. Jeśli zdoła

dojść z więźniem do porozumienia, to broń w ogóle nie będzie potrzebna. Jeśli nie, to ani miecz, ani topór, ani łuk nie wystarczą.

Conan właśnie uznał, że nikt go nie obserwuje i że już czas zacząć rozluźnianie nitów, kiedy kłapa namiotu drgnęła. Po chwili do środka wszedł turański kapitan, ubrany w sięgającą stóp jedwabną tunikę, z zatkniętym za szarfę sztyletem o rękojeści wysadzonej klejnotami. Jeszcze jeden szlachetnie urodzony sługus Yezdigerda, pomyślał Cymmerianin.

Potem jednak zauważył, że tunika, uszyta z jedwabiu pośledniego gatunku, była splamiona i połatana. Szarfa miała delikatne wygniecenia, spowodowane ciężarem broni, a kamienie na rękojeści sztyletu były warte nie więcej niż sama stal. Ponadto przybysz nie poruszał się jak dworak, raczej jak młody wilk. Jednak najważniejsze było to, że znacznie ustępował mu wzrostem.

— No cóż, kapitanie Conan. Nie powiem, że cieszy mnie to spotkanie, ale zapytam cię, czy mnie pamiętasz.

Conan znał turański na tyle dobrze, by móc ułożyć wiersz w tym języku. Zorientował się więc od razu po akcencie przybysza, iż należy on do arystokracji. Z pewnością był bardzo dobrze urodzony.

Przyjrzał się swemu gościowi i doszedł do wniosku, że rzeczywiście widział go już wcześniej. Mężczyzna był wtedy szczuplejszy, a jego broda nie była tak spłowiała od słońca, ale poza tym...

— Na Croma!

— To nie ja, Conanie. Nie zasiadam na lodowym tronie pośród zimnych pustkowi, mroząc spojrzeniem wszystkich ludzi, którzy ośmielają się prosić mnie o najmniejsze przysługi. A może chodzi o jakiegoś innego cymmeriańskiego boga?

— To dostatecznie precyzyjne, Khezalu, synu Ahlbrosa. Albo może jego bliźniaczy bracie, o ile miał takiego?

— Jest tylko jeden i właśnie stoi przed tobą.

— No cóż, usiądźmy więc. Niechaj nikt nigdy nie mówi, że zmusiłem starego towarzysza, aby stał w mej obecności, nawet jeśli nie jestem w najlepszej sytuacji, aby okazywać gościnność.

Coś, czego Conan nie potrafił dokładnie nazwać, przemknęło przez twarz Khezala przy słowach „stary towarzysz”. A więc ma to dla niego jakieś znaczenie, być może dostateczne, aby wyjaśnił, jakie są jego plany i jaką rolę w tych planach ma spełnić Cymmerianin.

Khezal usiadł. Zdawało się, że teraz porusza się nieco sztywniej.

— Nowe rany, Khezalu? A może stare kości sprawiają ci coraz więcej kłopotu wraz z upływem lat?

— Jestem trzy lata młodszy od ciebie, Conanie. Czy udałoby ci się nakłonić swój język do zadawania pytań, które nie są ani bezczelne, ani obraźliwe?

Jeśli Conan do tej pory wątpił w tożsamość Khezala, to teraz przestał. Ironiczny ton niewątpliwie należał do mężczyzny, który przed dziesięcioma laty jeszcze jako młody chłopiec, walczył u boku Conana przeciwko bestiom stworzonym przez Klejnoty Kuragu.

— Jeśli to pytanie uznasz za obraźliwe albo bezczelne, niech charty Erlika odgryzą ci przyrodzenie. Co z moimi ludźmi?

— Dla trzech odprawiliśmy stosowne rytuały, a dwóch trzymamy jako jeńców w godnych warunkach. Pozostali uciekli.

— Czy mogę ich zobaczyć?

— Najpierw musimy...

— Teraz!

— Conanie, nie jesteś chyba w najlepszym położeniu, aby stawiać warunki.

— Wręcz przeciwnie, moje położenie jest znakomite. Czegoś ode mnie chcesz. Tak długo, jak długo będę ci odmawiał, jesteś w gorszej sytuacji niż ja.

— Twoja sytuacja może jednak ulec pogorszeniu.

— Tylko wtedy, jeśli zaryzykujesz moją śmierć. Martwi zaś nie pomogą żadnym planom żywych, o czym, jak jestem przekonany, nie muszę ci mówić.

Khezal zaklął, a Conan rzekł ze śmiechem:

— Nie chciałbym rozpoczynać naszej nowej przyjaźni od kłótni. A dojdzie do kłótni, jeśli nie będę mógł się zobaczyć z moimi ludźmi.

— Na Erlika, Mitrę, Vashti i Croma, na krew, którą razem przelewaliśmy, na boskie nogi Dessy i na piękne piersi Pylii — przysięgam, że twoim ludziom nie stanie się krzywda.

Cymmerianin się znowu roześmiał.

— Prawie wierzę w tę przysięgę. Jak czują się damy?

Twarz Khezala spoważniała.

— Pylia nie żyje. Krąży plotka, jakoby wyzwala pewną młodszą rywalkę, żeby sprawdzić, która zaspokoi więcej mężczyzn w ciągu jednej nocy. Pylia wygrała, ale to kosztowało ją życie.

— Znając Pylię, mogę w to uwierzyć. A Dessa?

— Przez całe lata była najbardziej zaufaną dziewczką Pylii. Teraz prowadzi własną tawernę. Gdy ją ostatni raz widziałem, wciąż była pociągająca. Mam nadzieję, że nigdy nie poślubi jakiegoś tępego urzędnika.

— Na pewno nie. Jest na to zbyt bystra. Zapewne masz rację. Żaden z nas nigdy nie zostanie urzędnikiem.

— Nie. Ale jestem zdecydowany zobaczyć swoich ludzi, obojętnie, czy zamierzasz mi

pomóc czy przeszkodzić.

— Conanie, gdybym tylko był sam sobie panem...

— Syn jednego z Siedemnastu Przodków nie jest panem samego siebie? Powiedz mi lepiej, że krewetka śpiewa sprośne ballady, w to uwierzę łatwiej.

Twarz Khezala spochmurniała, a Conan natychmiast zdał sobie sprawę, że uderzył zbyt mocno. Słyszał sporo o sprawach Turanu, od kiedy Yezdigerd wstąpił na tron, i wierzył, że nawet ktoś taki jak Khezał mógł popaść w niełaskę. W przeciwnym razie po co włóczyłby się po pustyni wraz z turańskimi patrolami kawalerii, zamiast zarządzać całą prowincją?

— Proszę cię o wybaczenie, Khezału. Mówiłem zbyt pochopnie, ale ci ludzie przysięgli wierność mnie, a ja im.

— Nie wątpię w to. Ja zaś przysięgałem bronić Turanu przed wszystkimi jego wrogami, pośród których jesteś i ty. Jeśli miałbym złamać przysięgę, to im mniej ludzi będzie o tym wiedzieć, tym lepiej dla nas wszystkich. Szpiedzy są tani, a srebra, by ich kupić, jest aż nadto. Im mniej zobaczysz, dopóki nie wyruszymy, tym lepiej.

Conan także słyszał, że w Turanie roi się obecnie od szpiegów, jak w niechlujnej kuchni od robactwa. Khezał ryzykował coś więcej niż autorytet u swoich ludzi — faktycznie ryzykował własnym życiem — zasługiwał więc na wysłuchanie. Był także towarzyszem z pola bitwy, a Conan nie miał zwyczaju zapominać tego, co był im dłużny.

— Niech będzie, jak sobie życzysz. Wyjaśnij, czego chcesz ode mnie, a ja zaufam ci w tym, co zrobisz później.

— Powiedziałeś to prawie bez uśmiechu.

— Naprawdę? Być może najlepiej byłoby, gdybym został aktorem w wioskowej świątyni

— wtedy lepiej panowałbym nad swoją twarzą.

— Pamiętam, że widziałem cię, jak wciągnąłeś... jak on miał na imię? Kilar? W każdym

razie ten z obciążonymi kośćmi, który oszukiwał cię przed całą gromadą świadków. Byłeś wtedy raczej obrazem ze świątyni, a nie aktorem!

— Podziękuję ci za to pochlebstwo, gdy cię wysłucham. A może ściany namiotów mają tu uszy?

Khezał wzruszył ramionami, następnie usiadł krzyżując nogi i zaczął opowiadać.

Było mu trudniej, niż się spodziewał, wyjaśnić Cymmerianinowi sytuację w górach Kezankian. Nie dlatego, że nie doceniał bystrości Conana. Tylko głupiec pomyślałby, że potężny barbarzyńca jest bezmyślną górą mięśni. Wielu takich głupców od dawna gryzło ziemię.

Chodziło o to, ujmując rzecz w prostych turańskich słowach, że pogłoski o niebezpieczeństwie czającym się w Dolinie Mgieł brzmiały jak bajdurzenia starych wieśniaczek, snute późno w nocy przy ogniu, aby przestraszyć dzieci i młode dziewczyny. Dlatego właśnie Khezał kilkakrotnie wahał się przed dodaniem pewnych szczegółów, o których wiedział, że są prawdziwe, albo przynajmniej posłyszał je z ust ludzi, którym ufał. W końcu zniecierpliwiony Cymmerianin poprosił go o zwięzłą wypowiedź. Oparł się na plecach i mimo obecności łańcuchów wyglądał na tak zadowolonego, jak kot, który najadł się śmietany (a stało się tak, gdyż Conan obawiał się, że Khezał może dostrzec jego zabiegi przy nitach łączących łańcuchy na obręczach rąk i nóg).

— Coś w górach Kezankian wysyła ludzi, którzy porywają wieśniaków. Krążą pogłoski, że są oni zabierani do miejsca zwanego Doliną Mgieł i tam składani na ofiarę demonom.

Niektórzy nazywają to coś Mgłą Zagłady... — zaczął Khezał, lecz urwał, gdy Conan uniósł dłoń w geście tak królewskim, że kapitan zapomniał, iż ręce Cymmerianina są skute i że siedzi na surowych deskach, a nie na tronie.

— Demon mgły, czy to coś, co przyciąga stara magia, jest w górach Kezankian silne —

rzekł barbarzyńca. — Strach i gniew wywołują wśród tamtejszych wieśniaków niepokój.

Podobnie ma się sprawa z plemionami koczowników, zamieszkujących teren pomiędzy górami a turańską granicą. Czyż Yezdigerd nie zgłasza pretensji do wszystkich ziem ciągnących się do gór Kezankian, a może nawet dalej?

— Nie otwarcie, ale tak twierdzą ci, których uszy pozostają otwarte na prawdziwe myśli króla.

Conan parsknął jak rozdrażniony koń.

— Uwierzcie w to, a poczujecie na karku zęby Khorajańczyków. Oni nauczyli się już żyć w cieniu Turanu, podobnie jak ludzie Khauranu. Bardzo im się nie podoba perspektywa, że ujrzą któregoś dnia garnizony Yezdigerda spływające z górskich zboczy i przelewające się przez murki ich ogrodów.

Khezał milczał, nie wiedział bowiem, co powinien odpowiedzieć. Krążyły plotki, że Conan znalazł upodobanie w sztuce rządzenia, a przynajmniej w sztuce odgadywania zamiarów władców.

— Czy ta historia o demonach nie została przypadkiem wymyślona przez Khorajańczyków? — indagował Cymmerianin

— Wieśniacy znikają, to nie ulega wątpliwości — odpowiedział Khezał. — Ci zaś, którzy walczą z napastnikami zbyt zajadle, giną. Sami porywacze są ludźmi, choć nikt nie potrafi powiedzieć, skąd pochodzą.

— Prawdopodobnie ze wszystkich krajów, jakie są na świecie, o ile znam ten rodzaj najemników, którzy wynajmują się do brudnej roboty — zauważył Conan. — Ale to nieważne. Pytanie, które ci stawiam, brzmi: dlaczego dotyczy to ciebie?

— Ponieważ posiadłości mojej rodziny leżą prawie dokładnie naprzeciw gór — odpowiedział Khezał. — Odziedziczyłem je po matce. Nie były zbyt wielkie nawet wtedy,

zanim połowa przeszła na moją siostrę. Ale wieśniacy i ich ziemia należą do mnie.

Conan parsknął powtórnie.

— A już wątpiłem, czy w ogóle pozostała ci jakaś ziemia.

— Wyjaśnię ci wszystko dokładnie kiedy indziej i w innym miejscu. Teraz powiem tylko tyle, że pozbawienie mnie ziem wzburzyłoby umysły i pogorszyło nastroje, a może nawet skierowało przeciwko Yezdigerdowi miecze. Natomiast wysłanie mnie i moich Zielonych Płaszczy daleko w pole, podczas gdy królewscy agenci przekupują moich służących, by odsyłali dochody raczej do Agraphuru niż do mnie — to działania zbyt subtelne, by ktokolwiek je zauważył.

Conan mruknął coś pod nosem. Khezałowi wydało się, że zabrzmiało to jak życzenie, aby króla Yezdigerda zawiodła męskość w najmniej odpowiednim momencie.

— Nie wątpię, że zostajesz lojalny wobec swoich ludzi — rzekł barbarzyńca. — Zawsze byłem pewien, że taki właśnie jesteś. Ale co zrobi król, gdy ktoś szepnie mu do ucha, że próbujesz poprowadzić swoich ludzi do buntu?

— Wraz z latami przybyło ci przebiegłości, Conanie.

— Przybyło czy nie, mam tylko jedną głowę i wolałbym, aby nie została zatknięta na włócznie przy jakimś turańskim więzieniu. A prawdopodobnie tam by się znalazła, gdyby Yezdigerd uznał całą tę sprawę za wymierzony przeciwko niemu spisek.

Khezał wziął głęboki oddech, a potem z wolna wypuścił powietrze. Na końcu języka miał już słowa podające w wątpliwość odwagę Conana, ale uznał, że wypowiedzenie ich byłoby i nierozsądne, i niebezpieczne. Rzekł więc:

— Być może, że dowie się o tym, zanim załatwimy sprawę. Jeśli jednak nawet mrugnięciem oka nie zdradzimy tajemnicy, wtedy...

— Wtedy w nagrodę otrzymam co najmniej prawo bezpiecznego przejścia przez ziemie

Turanu.

— A zatem pojedziesz z nami?

— Jeśli mogę się na coś przydać, to tak. Jednak w rzeczywistości nie walczyłem z tak wieloma demonami, jak głoszą to opowieści — pamiętaj o tym!

— Może nie było ich tak wielu, ale ty jesteś tutaj, a po nich pozostały tylko imiona wyryte na rodzinnych grobowcach. To chyba wystarczający powód.

— Być może — odpowiedział Conan. — Jednak nie mogę decydować za moich ludzi. Nie przysięgali, że podążą za mną, gdy będę walczył z demonami. Jeśli zechcą odjechać, to muszą mieć zapewnioną bezpieczną drogę, i to już od dzisiaj.

Khezał nie pytał, jaka byłaby cena jego odmowy, ale uznał, że powinien uczynić jeszcze jeden wysiłek, ze względu na honor własnych ludzi, których krew przelali wojownicy Afghuli.

— Jeśli pojedą z tobą, to zwrócę ci pewną sakiewkę, która została ci zabrana.

— Wraz z tym, co w niej było?

Kapitan uśmiechnął się lekko. Być może jednak Cymmerianina da się kupić.

— Oczywiście.

Conan usiadł tak gwałtownie, że Khezał cofnął się o krok. I miał szczęście, że to zrobił.

Cymmerianin bowiem rozpostarł szeroko masywne ramiona i stalowe obręcze strzeliły na nadgarstkach. Kolejny, szybki jak u kota ruch posłał łańcuch w miejsce, które kapitan właśnie opuścił. Ręka Khezala dotknęła rękojeści sztyletu, zanim umysł odzyskał władzę nad ciałem.

— Myślę, że osiągnąłeś swój cel — powiedział kapitan.

— Tak więc ja nie wyrzeknę się mojego. Jeden warunek — sprowadzę tutaj twoich ludzi.

— Jak sobie życzysz — odpowiedział Conan. — Ale przynieś także trochę znośnego jedzenia dla nas wszystkich.

— Zjadłeś to, co w obozie było najlepsze.

— Nie masz żadnych prywatnych zapasów, żeby ucztować we własnym namiocie?

— Żadnych.

— Wierzę ci, przyjacielu. W porządku. Jeśli nie macie lepszego jedzenia, to chociaż przynieście więcej. I przyslijcie najlepszego lekarza, żeby opatrzył im rany, o ile jeszcze tego nie zrobił.

— Zrobił, ale może przyjść jeszcze raz.

— Dopilnuj, żeby to zrobił — nalegał Cymmerianin takim tonem, że Khezał poczuł absurdalną chęć złożenia formalnego ukłonu, należnego gubernatorowi albo przywódcy. Zamiast tego wstał i wyszedł wyprostowany, nie odwracając się plecami do Conana.

ROZDZIAŁ VI

Zyskawszy w Conanie chwilowego sprzymierzeńca, Khezał myślał tylko o tym, by udać się na poszukiwania Doliny Mgieł jak najszybciej. Mogliby wyruszyć jeszcze tej samej nocy z setką najlepszych Zielonych Płaszcz. Kapitan byłby gotów zastawić cały swój majątek, aby opłacić zaprzyjaźnionego czarownika, który zamieniłby płaszcze jego ludzi w skrzydła. W ten sposób mogliby wyprzedzić wieści o swoim przybyciu, zaskakując demony i ich ludzkie sługi. Mogliby także rozstrzygnąć sprawę, zanim słówko o obecności Conana dojdzie w Aghraphurze do nieżyczliwych uszu.

Brak magicznego wsparcia podczas podróży na północ był zaledwie pierwszym i najmniejszym problemem Khezala. Następnym było naleganie Conana, by poczekać, dopóki dwaj Afghuli, którzy jechali na północ, nie wydobrzeją.

— Czy wątpisz w moje słowo, że będą bezpieczni tutaj, w garnizonie Zielonych Płaszcz?

— spytał kapitan, śmiechem maskując wściekłość. Cymmerianin zupełnie spokojnie potrząsnął głową.

— Nie wątpię w twoje słowo, ani nawet w posłuszeństwo twoich żołnierzy, tak długo przynajmniej, dopóki cię widzą. Jednak gdy ty będziesz oglądał zbocza Kezankianu, twoi ludzie będą tutaj. Właściwą nazwą tego, co nastąpi, jeśli Afghuli cokolwiek by się przytrafiło, jest „krwawa zemsta”.

Khezal przemyślał to. Wprawdzie ani on, ani żaden inny Turańczyk nie kochali Afghuli, ale nie oni byli głównymi wrogami królestwa. Inaczej sprawa miała się z Iranistańczykami, a przecież Afghuli byli wobec Iranistanu nawet bardziej nieprzyjaźnie nastawieni niż wobec Turanu. Nikt nie będzie wdzięczny człowiekowi, który przysporzył Turanowi następnych zajadłych wrogów. A jeszcze ważniejsze niż brak wdzięczności w dworskich kręgach byłoby zagrożenie kolejną wojną.

— Jak sobie życzysz — odezwał się w końcu kapitan. — Ufam, że twoi przyjaciele są tak twardzi, jak się o nich mówi. Nie chcę, by któryś z moich wrogów czyhał na nas w zasadzce z połową oddziału, gdy będziemy przechodzić przez szlak karawan, ponieważ szpieg opowiedział o wszystkim w pałacu!

— Khezału, nie jestem większym od ciebie wielbicielem pałaców i tego, co się w nich dzieje. Zaufaj mi w tej sprawie i nie wątp, że moi ludzie szybko wyzdrowieją.

Ku uldze Khezala Afghuli w ciągu dnia stanęli na nogi, a w ciągu dwóch byli gotowi do jazdy. Z początku poruszali się nieco sztywno, ale trzeciego dnia dowiedli, że są gotowi do walki.

Chłopiec stajenny, tak młody, jakby dopiero co otarł z ust mleko, zainteresował się sztyletem Farada. Wyciągnął rękę, by go dotknąć, i po chwili leżał na plecach parę kroków dalej z rozbitą wargą, a obok na piasku spoczywało kilka jego zębów.

— Chłopak powinien uważać się za szczęściarza! — to było wszystko, co Khezał wydobyl z Conana.

— A ty powinieneś nazwać swojego głównego stajennego głupcem za to, że wypuszcza w pole bezmyślnego wyrostka, który dotyka bez pytania cudzej broni.

— To nie uleczy ran chłopca.

Conan wzruszył ramionami, a potem zanurzył rękę w sakiewkę przy pasie i wydobyl srebrną monetę z wizerunkiem księcia Iranistanu. Podrzucił ją wysoko, następnie chwycił w powietrzu jedną ręką i położył na drugiej dłoni.

— Tutaj nawet głupiec zasługuje na odrobinę makowego syropu, który złagodzi jego bóle.

— Być może powinienem mimo wszystko zatrzymać te klejnoty. Możemy ich potrzebować, żeby kupić sobie milczenie przeciwników i wyleczyć rannych, jeśli czeka nas jeszcze więcej tego rodzaju wymian.

— Jak uważasz, mój przyjacielu. Ale pomówię z Faradem i Sorbimem, jeśli ty zechcesz porozmawiać ze swoimi ludźmi.

— Zechcę i modłę się do Mitry, aby wszyscy słuchali.

— Stać! Kto idzie?

Kapitan Muhbaras obudził się w jednej chwili. Ta warta musiała się składać z nowych rekrutów — „osiadłych” nomadów. To, czy członków wędrownych plemion w ogóle można nazwać osiadłymi, było kwestią dyskusji. Jedno nie ulegało wątpliwości — nie nauczyli się wartowniczego rygoru tak gruntownie, jak można by sobie tego życzyć.

Udzielona kobiecym głosem odpowiedź zakończyła dzieło budzenia się kapitana.

Jedynymi kobietami, które mogłyby się znaleźć tutaj w nocy, były Panny. A najbardziej prawdopodobną przyczyną, dla której się tu znalazły, musiała być sprawa albo bardzo ważna,

albo nie cierpiąca zwłoki.

Niewielką izbę dzieliły na dwie części rozwieszzone na środku koce. Wynurzyła się spod nich, niczym wydra spod powierzchni wody, okrągła twarz okolona postrzępioną czarną brodą.

— Kobieta? — zdziwił się współlokator Muhbarasa. Jego usta, spierzchnięte i popękane, były nienaturalnie duże w porównaniu z resztą twarzy. Kapitanowi zawsze wydawało się prawdziwym cudem, że język Ermika nie rozdwaja się na końcu jak u węża.

— Panna.

— Aha. Niewątpliwie poszukuje sposobu, żeby skończyć z tym...

W mgnieniu oka kapitan wydobył się spod koców i błyskawicznie stanął nad mężczyzną.

Jego dłoń spoczęła na rękojeści miecza, ale wzrok miał utkwiony w ścianę chaty.

Gdyby teraz spojrzął na Ermika, nie zdołałby się opanować. Wyciągnąłby miecz i wbił go w cienką szyję poniżej twarzy. Na to zaś nie mógł sobie pozwolić, jeśli nie chciał ryzykować życiem własnym i swoich ludzi.

— Możesz tak myśleć, jeśli chcesz, i ryzykować, że Pani Mgieł usłyszy te myśli. Nigdy jednak nie pozwól, aby opuściły one twoje wargi. Nie tutaj, gdzie może usłyszeć je Panna, gdzie mogę je usłyszeć ja. Nie tam, gdzie może je usłyszeć sokół, mysz albo żuk. Czy rozumiesz?!

Małe czarne oczka Ermika przypominały świńskie, ale były nieruchome jak u węża.

— Czy rozumiesz? — powtórzył kapitan.

— Rozumiem.

— A zatem trzymaj język za zębami i śpij dalej.

— Muszę jednak odwiedzić...

— Dopiero kiedy załatwię sprawę z Panną.

Usta Ermika otworzyły się znowu, a dłoń kapitana zacisnęła się na pociemniałej ze starości skórze uchwytu miecza. Teraz nawet jedno zuchwałe słowo przelałoby czarę. Może jednak jakoś by się wyłgał, utrzymując, że to Panny zabiły Ermika, szpiega Wielkiej Rady, a nie on. Panny — lub ich mistrzyni. Zabrzmiałoby to dostatecznie groźnie, żeby przekonać Radę. Co więcej, byłoby nawet prawdopodobne.

— Nie zajmie mi to wiele czasu — dodał Muhbaras najspokojniej jak umiał. — Nie pozostanę tam ani chwili dłużej, niż to konieczne. Jak długo, to będzie zależało od wiadomości, jaką Panna ma do przekazania. Gdy wrócę, ofiaruję ci część wiedzy.

— Czy pozostanie ci jakaś wiedza, skoro ciągle ofiarowujesz mi jej części?

Kapitan zignorował złośliwą odpowiedź, tak jak zignorowałby gdakanie koguta.

— Im krócej mnie nie będzie, tym gorszą wiadomość przyniosę.

Słyszac to, Ermik otworzył szeroko oczy. Wpatrywały się one w kapitana, gdy wychodził w noc.

Conan siedział ze skrzyżowanymi nogami w namiocie Afghuli przyglądając się, jak vendhiański lekarz niewolnik zajmuje się ranami Farada. Przed nim na dywaniku stał dzban z winem. Wydobyła go z zapasów chirurga mała łapówka i już po jednym pucharze Conan poczuł się nieco bardziej pojednany ze światem.

Niewolnik zerwał z żeber Farada opatrunek wraz ze skrzepem. Trysnęła krew. Farad spojrział koso. Niewolnik skrzywił się i wymamrotał coś pod nosem. Nie było to chyba przekleństwo, chociaż podobnie jak większość Vendhian nie przepadał nadmiernie za Afghuli. Stulecia najazdów na pogranicze, spalone wsie i złupione karawany — wszystko to się do tego przyczyniło.

Jednakże Conan rozumiał kilka vendhiańskich dialektów i za pierwszym razem, gdy

niewolnik złorzeczył Afghuli, odezwał się w jednym z nich. Ostrzegł Vendhianina, że jeśli nie utrzyma języka za zębami siłą własnej woli, to go straci.

Vendhianin szybko i fachowo nakładał świeży opatrunek na poharatane zębra Farada, gdy za namiotem rozległ się odgłos szybkich kroków. Po chwili do środka wpadł kapitan Khezał. Ani jego nagłe przybycie, ani też wyraz jego twarzy nie pozwalały się spodziewać, że przynosi dobre wiadomości. Gdy jednym spojrzeniem odesłał niewolnika tak szybko, że ten uciekł, jakby miał w spodniach skorpiony, upewnił o tym Conana. Nie próbował nawet zgadywać, co to za wieści; plan Khezala mógł zawieść w każdej chwili, zanim jeszcze zobaczą szczyty Kezankianu.

— Znaleźliśmy pozostałych Afghuli — oznajmił Khezał.

— Znakomicie — wtrącił Farad.

Conan miał nadzieję, że Khezał nie wyczuł ironii w jego głosie.

— Właściwie to oni odnaleźli tych, którzy ich szukali — kontynuował Khezał. — Leżeli w zasadzce obmyślonej chytrzej, niż się tego spodziewałem po tak wyszkolonych wojownikach.

— Pochlebstwo może uradować serce — powiedział Conan. — Lecz zabiera także czas, którego, jak podejrzewam, nie mamy zbyt wiele.

— Wybacz mi, Conanie. Zapomniałem, że nigdy nie byłeś dworzaniem.

— A zatem ćwicz swoją pamięć, przyjacielu. Nieprędko stanę się dworzaniem, aby pozwolić ci paplać bez sensu.

Khezał wziął głęboki oddech.

— Jest jednak pewien sens w tym, bym powiadomił cię, że Afghuli, którzy uciekli, są cali.

Pozbawili koni pół dwudziestki Zielonych Płaszczy, a trzech zabrali do jaskini jako zakładników. Grozili im wykastrowaniem i innymi srogimi mękami, jeśli ty oraz pozostający w rękach Turańczyków Afghuli nie zostaniecie natychmiast uwolnieni.

Farad zwolnił Conana z obowiązku udzielenia zręcznej odpowiedzi, wybuchając śmiechem, który niewątpliwie można było usłyszeć w całym obozie. Twarz Khezala stała się purpurowa. Wbił wzrok w sufit namiotu, jakby pragnąc, aby niebo runęło na głowy Afghuli, na niego lub na nich wszystkich. W końcu zarówno Farad, jak i Khezał odzyskali kontrolę nad sobą i ciszę przerwał głos Conana.

— Musimy zatem natychmiast wyjechać, żeby dowieść, iż wszyscy jesteśmy żywi i wolni, zanim tamci zajmą się twoimi ludźmi.

— A jeśli nie pozwolę wam jechać? — zapytał Khezał. Wpatrywał się badawczo w twarz Conana, jakby osądzał temperament konia, którego chce kupić. — Mielibyście okazję do ucieczki. Koczownicy niewątpliwie byłiby skłonni wiele zapłacić za twoją wiedzę o naszym obozie.

— Koczownicy, o ile nie spróbujemy zginąć w walce z nimi, zapłacą nam podciętymi gardłami, a przedtem torturami wydadzą nam całą wiedzę — rzucił szorstko Conan. — Nie trać czasu, wypróbuj; mnie, Kheżalu. Nie rób tego, jeśli chcesz, by twoi ludzie pozostali cali.

— Należy przyznać, że jest teraz mniej stanowisk dla eunuchów, niż bywało kiedyś — odrzekł Khezał. Wydawało się, że głośno myśli. Conan doceniał odwagę i opanowanie kapitana.

— Tak więc zaufam tobie i twoim towarzyszom, że nie podejmiecie żadnej próby ucieczki — ciągnął Khezał. — Wierzę także, iż dopilnujecie, by moi ludzie powrócili cali i zdolni do walki. Jeśli nie, zajrzę pod każdy kamień i ziarnko piasku na tej pustyni, żeby was znaleźć. Conan wiedział, kiedy mężczyzna nawykły do powściągnięcia swego temperamentu jest bliski wybuchu. Nie protestował więc przeciwko warunkom Khezala i zaczął zbierać swoją broń i uprząż.

Kapitan Muhbaras żałował, że nie znalazł bardziej dobitnych słów, by zmusić szpiega do milczenia. Teraz Ermik albo będzie podejrzewał go o kłamstwo, albo wpadnie w szal, zanim kapitan powróci. Istniało więcej sposobów, których kapitan mógł użyć do rozwiązania tego problemu, nie płacąc najwyższej ceny za obrazę Władczyni Mgieł. Jednak taka obraza nie zadowoliłaby szpiega. Swe zamiary wyjaśnił Muhbarasowi w sposób prostszy niż handlarz owoców na bazarze, który zachwala swoje towary. Celem Ermika było przyspieszenie dzieła sojuszu z Panią Mgieł ku korzyści Khorai i ku strapieniu Turanu. Dlatego też wydawało się niemożliwe, aby szpieg potrzebował kapitana bardziej, niż kapitan potrzebował jego. Kapitan pomyślał o tym, gdy Panny tworzące jego eskortę, prowadziły go do doliny.

Eskorta czy straż? Jedna szła z przodu, dwie po bokach i co najmniej cztery z tyłu. Gdy ścieżka stała się tak wąska, że mieściła tylko jedną parę stóp, Panny idące z boku dołączyły do tej na przedzie. Dwukrotnie obrócił się, aby spojrzeć na niewiasty podążające z tyłu, i za każdym razem ich przywódczyni obrzucała go spojrzeniem, od którego zamarzlaby męskość boga. Pozostałe zaciskały dłonie na rękojeściach mieczy.

Kapitan był pewien, że kroczy ku własnej śmierci albo też ku czemuś, przeciwko czemu będzie protestował prawie tak samo gwałtownie. Jediną pociechą była świadomość, że Władczyni Mgieł może potrzebować stali tak samo jak czarów.

Wchodząc do Doliny Mgieł, kapitan prawie nie odczuwał strachu. Gdy przechodzili obok rozpadliny, minawszy dwie wielkie bramy na szlaku, który wspinał się na klif na lewo od wejścia, nie czuł go już w ogóle. Droga była na tyle szeroka, że mogło nią iść obok siebie dwóch ludzi, ale pięła się tak stromo, że miejscami skała została wycięta w schody. W półmroku kapitan nie mógł dostrzec, jakie kształty wyryto na tych schodach. Wątpił jednak, czy ta wiedza jest niezbędna.

Nocą sama dolina wyglądała dziwnie i tajemniczo. Na skałach tańczyły błękitne i purpurowe cienie, a światło gwiazd było nienaturalnie jasne. Mgła zbierała się tu i tam, właściwie wszędzie, nie tworząc żadnych kształtów, które cokolwiek by przypominały. Kapitan miał wrażenie, że wchodzi do ogromnej świątyni, od dawna zrujnowanej i pozbawionej dachu. Tylko ściany i ofiarne ołtarze pozostały nietknięte, jakby spajała je jakaś silna i straszna magia. Będą tak trwały, dopóki nie wypełni się jakieś nienazwane przeznaczenie.

Wkrótce szlak skręcił do jaskini i dalej szli przez tunel wyciosany w ścianie doliny. W blasku pochodni oświetlających drogę idącym zamajaczyły zniekształcone sylwetki półludzkich niewolników doliny. Kapitan cieszył się, że światło jest zbyt słabe, aby mógł ujrzeć każdy nienaturalny szczegół ciał półludzi. Czyżby były wśród nich kobiety? — Zdało mu się, że dostrzegł młodą dziewczynę. Zwalczył w sobie pragnienie, aby splunąć lub wykonać inny gest chroniący przed urokiem. Takie zachowanie na pewno nie zostałoby zaakceptowane przez Panią Mgieł.

Dobry humor Muhbarasa przetrwał tylko do chwili, gdy strażniczki wprowadziły go do niewielkiej skalnej komnaty. Jej ściany pokrywały draperie utkane w archaiczne wizerunki smoków i gigantycznych ptaków, a żarzący się pośrodku kosz z węglami nagrzewał powietrze o wiele bardziej, niż kapitan mógłby się spodziewać. W twarzy czarodziejki nie było jednak ciepła. Pani Mgieł siedziała ze skrzyżowanymi nogami na jedwabnej poduszce, która leżała na stołku wyciętym z jednego kawałka vendhiańskiej teki. Aby pokazać, że nie czuje lęku, kapitan spróbował przyjrzeć się figurom wyciosanym w drewnie stołka, ale skończyło się na tym, że stał się jeszcze bardziej niespokojny.

Muhbaras wiedział, że zwyczaj wymaga, by czekał, aż Pani przemówi pierwsza, tak, jakby była królową lub jej bliską krewną. Był także świadom, że ten zwyczaj pozwala jej siedzieć i

badać tych, którzy się przed nią stawiają, tak długo, aż ją to zadowoli. Przypominało to sytuację, gdy wąż przygląda się uważnie szczególnie apetycznemu ptakowi.

Wyężając całą siłę woli, Muhbaras opanował zdenerwowanie i stał nieruchomo jak Panny. W końcu Pani Mgieł przemówiła.

— Jeden z twoich wojowników spojrzał na Pannę pożądliwie, jak mężczyzna na kobietę.

Kapitan pochylił głowę tak dystyngowanie, jak tylko mógł. Jeśli Pani Mgieł nie jest całkiem szalona, to w całej tej sprawie musiało tkwić coś więcej. A że on nie był kompletnie szalony, pozwoli jej ujawnić to „więcej”, zanim otworzy usta.

Zdawało się, że minęła już połowa nocy. Kapitan przypuszczał, iż czarodziejka sprawdza jego odwagę, i obiecał sobie przejść przez wszelkie próby, jakie może przed nim postawić.

W końcu Pani Mgieł westchnęła. Ubrana była w szatę wykonaną z pojedynczej sztuki jedwabiu tak cienkiego, że Muhbaras widział, jak jej piersi unoszą się pod materia. Szybko zwrócił swoje oczy i myśli gdzie indziej i powtórnie pochylił głowę.

— Czy nie chcesz dowiedzieć się więcej, Khorajańczyku? — zapytała. Jej głos miał w sobie ostrość dobrego stalowego noża.

— Chcę wiedzieć o wszystkim, co moja Pani uzna za właściwe mi powiedzieć. Ośmielę się dodać, że im więcej mi powie, tym łatwiej będzie rozwiązać tę sprawę ku zadowoleniu obu stron.

— Zgoda wymaga śmierci żołnierza, który zawinił. Nic innego nie zapewni zadośćuczynienia.

Kapitan milczał, dopóki nie zdał sobie sprawy, że oczekuje się od niego odpowiedzi na te zuchwałe słowa, tak odarte z litości, jak skały gór lub sępy zataczające nad nimi kręgi.

Zdrowy rozsądek podpowiedział mu, że jakiegokolwiek próby ugody będą daremne, ale honor należał, by podjął taką próbę.

— Mniej surowa kara z pewnością wystarczy, aby zapewnić...

— Żadna łagodniejsza kara nie będzie dostateczna w oczach bogów!

Jakich bogów, zastanawiał się kapitan niezbyt przytomnie. Być może Pani Mgieł nie chciała lub nie potrafiła odpowiedzieć, pomyliwszy wolę własną z wolą bogów.

— Cześć bogom i tobie, moja Pani — powiedział — ale jeśli nie został popełniony żaden lubieżny czyn...

— Oczy są zwierciadłem duszy. Dusza twój ego żołnierza dotknęła Panny.

Muhbaras był ciekaw, jakie są prawdziwe zamiary Władczyni. Miał nadzieję, że kiedyś się tego dowie, ale chyba jeszcze nie dzisiejszej nocy. Przypuszczał, że jej gniew spowodowany nieposłuszeństwem będzie niewątpliwie hamowany tym, że potrzebuje jego i jego ludzi.

Gdyby jednak uniemożliwiła mu pełnienie służby przez pewien czas, natychmiast mógłby z tego skorzystać Ermik. Co więcej, Pani Mgieł, która rzadko była źle poinformowana, mogła już wiedzieć o przybyciu szpiega i jego stosunkach w Khorai, a przez to myśleć, że warto nim zastąpić kapitana. Byłoby to z jej strony szaleństwem, ale Muhbaras nie sądził, by wiedźmy były mądrzejsze od pospólstwa.

— Podaj mi imię tego żołnierza, a ja aresztuję go, przeprowadzę śledztwo i postawię przed tobą.

— Nazywa się Danar, syn Araubasa, i został już uwięziony przez moje Panny i ich sługi.

Jego wina jest dowiedziona i nie trzeba już dalszego śledztwa. Wezwałam cię tutaj z uprzejmości, abyś nie zastanawiał się, co mu się przytrafiło. Pytam cię tylko: czy pragniesz być świadkiem jego odejścia czy też nie?

W chwili gdy kapitan usłyszał imię skazanego żołnierza, wiedział, że musi w tym być trochę prawdy, i nie musiał już zadawać czarodziejce pytań, na które by nie odpowiedziała. Danar był młody i przystojny, więc wpadał kobietom w oko. Jeśli spojrział z pożądaniem na

jakąkolwiek niewiastę — Pannę, staruchę lub samą boginię — to tylko dlatego, że ona spojrzała tak na niego pierwsza!

Jednak prawda nie pomoże Danarowi. Sprawiałaby ona tylko, że jakaś Panna zostałaby skazana tak samo jak on.

— Dobrze. Zgadzam się na wszystko, o co prosisz, pod jednym warunkiem. Sam porozmawiam z Danarem, synem Araubasa, i przekażę jego ostatnią wolę krewnym. W przeciwnym wypadku nie mogę w tej sprawie złożyć żadnych obietnic.

Muhbaras ośmielił się spojrzeć Pani Mgieł prosto w oczy. Po raz pierwszy dostrzegł brązowe plamki na złocistych tęczówkach i słabe cienie na powiekach, poniżej starannie wyskubanych brwi. W przypadku innej kobiety powiedziałaby, że te oczy wyglądałyby bardzo pięknie, gdyby się rozszerzyły w chwili najwyższej rozkoszy. W tym przypadku była to myśl, którą należało natychmiast przegnać z umysłu, tak jak przegania się wściekłego psa, by nie zagroził dzieciom.

— Na mój honor i moją więź z Mgłą, przyrzekam ci to, o ile mężczyzna będzie jeszcze żył, gdy do niego dotrzesz.

W tak sformułowanej obietnicy była luka, przez którą można by przepchnąć słonia z królewskiej menażerii. Ale Muhbaras osądził, że mądrzej będzie nie spierać się dalej. Ukłonił się i uczynił rytualny khorajański gest ślubowania na krew i stal, że dotrzyma słowa.

Wyprostował się.

— Jeśli pójde do więźnia natychmiast, to prawdopodobnie będzie jeszcze żył. Czy mogę?

Pani Mgieł skinęła głową. Uniosła w milczeniu rękę i wokół kapitana zgromadziły się Panny, aby wyprowadzić go z komnaty.

Conan zdążył na północ wraz z awangardą pięćdziesięciu Zielonych Płaszczy. Farad i

Sorbim jechali obok niego, raz po raz rozglądając się wkoło. Dziesięć kroków na prawo od Cymmerianina jechał Khezał z trzema wybranymi Zielonymi Płaszczami, którzy czuwali nad jego bezpieczeństwem w podobny sposób.

— Conanie! — zawołał Khezał — co byś zrobił, gdybym nie pozwolił ci ruszyć na północ?

— Przypominam sobie pewnego mądrego kapitana, który powiedział, że „gdyby” jest słowem używanym przez kapłanów i skrybów, lecz nie przystoi wojownikom.

— A ja pamiętam, że gdy ów mądry kapitan to powiedział, uczył właśnie pewnego młodego Cymmerianina, który od tego czasu sam zdążył zostać mądrym kapitanem.

— Zaiste, tamtemu kapitanowi zawdzięczam odpowiedź na to pytanie — rzekł Conan niebezpiecznie podniesionym głosem. — Czy tobie zawdzięczam tyle samo?

— Ja nie nauczam. Ja prowadzę mężczyzn, którzy muszą wiedzieć, na ile możemy ci zaufać.

Conan wyburczał parę przekleństw, ale zaczął się zastanawiać. Khezał rzeczywiście znajdował się w sytuacji, w której zaufanie jego ludzi było sprawą życia lub śmierci. Miał więc prawo do wszystkiego, co mogło wzmocnić to zaufanie, a nie osłabiało przy tym Conana.

— Słuchaj zatem — rzekł Cymmerianin. — Gdybyś odmówił i tak odjechałbym na północ z Faradem i Sorbimem. Nie ucierpiałby żaden z Zielonych Płaszczy, chyba że któryś byłby głupi na tyle, by stanąć nam na drodze. Może nawet oszczędzilibyśmy jeńców.

— A jeśli byście ich nie oszczędzili? — spytał jeden z Zielonych Płaszczy.

Khezał rzucił mężczyźnie ostre spojrzenie, ale Conan uniósł rękę i rzekł:

— On ma takie samo prawo do odpowiedzi jak ty. Jeśli musieliby zginąć, umarliby jak mężczyźni, a w każdym razie nie bez stosownych rytuałów.

Zielony Płaszcz wyglądał na bardziej zadowolonego, niż jego kapitan. Conan splunął na piasek. Khezał był mądry, ale musiał się jeszcze wiele dowiedzieć o Afghuli oraz o tym, którego koczownicy nazywali wodzem.

ROZDZIAŁ VII

Conan jechał dość daleko z przodu, osłaniany z obu stron przez Farada i Sorbima. Starali się zachować stałą odległość od Zielonych Płaszcz, nie wychodząc jednak poza zasięg strzały z łuku. To pachniałoby próbą ucieczki i Khezał nie zawahałby się przed wydaniem właściwego rozkazu swym łucznikom. Ponadto oprócz Turańczyków i Afghuli w tej części pustyni mogli krążyć inni ludzie gotowi do walki.

Khezał wyjaśnił, że miejsce, do którego zmierzają, znajduje się w odległości dwóch godzin jazdy szybkim tempem. Ponieważ jednak muszą oszczędzać konie, powinni jechać trzy razy wolniej. Conan nie wypowiadał się na temat szybkości jazdy, ale obdarzył świat stłumionym uśmiechem, gdy zobaczył, że Turańczycy ustalają tempo, jakie ich wierzchowce mogą utrzymać przez cały dzień. Najwyraźniej Khezał uznał, że nawet mądrzy ludzie nierozważnie się spieszą, gdy chcą dopomóc swym głowom, by utrzymały się na karku. Tak więc Conan nie spierał się z kapitanem. Zależało mu tylko na tym, żeby głowa Khezala nie utrzymała się na karku za cenę jego własnej lub jego wojowników.

Podczas pierwszej godziny jazdy nikt ich nie niepokoił. Patrząc na szeregi doświadczonych pustynnych jeźdźców i wspominając walkę na skałach, Conan poczuł cień żalu z powodu swojej ucieczki z Turanu. Oficer, którego panią „wykradł” (był to słowo, które zawsze odrzucał, wzięwszy pod uwagę fakt, jak chętnie sama dama do niego przysła), był przyjacielem ówczesnego księcia Yezdigerda. Nawet jeśli inni potrafiliby doprowadzić do

chwilowego zawieszenia broni między Conanem a oficerem, z pewnością ucierpiałaby na tym sama dama. Ponadto zawieszenie broni skończyłoby się z chwilą, kiedy Yezdigerd poczułby się na tyle bezpieczny, aby oddawać swoim przyjaciołom pomniejsze usługi, takie jak sprezentowanie głowy Conana. Zatem opuszczenie turańskiej armii było z pewnością dobrym wyjściem. Jeszcze lepiej byłoby znaleźć się zupełnie poza zasięgiem Turańczyków, lecz Conan nie miał dużego wyboru, jeśli miał spełnić swój obowiązek względem Afghuli, którzy, powodowani lojalnością wobec niego, uczynili z siebie dobrowolnych wychodźców.

Khezałowi mógł zaufać we wszystkim, nad czym szlachetnie urodzony sprawował bezpośrednią kontrolę, ale co do reszty, to ufał tylko swojemu mieczowi. To on utrzymywał Cymmerianina przy życiu już od wielu lat.

W połowie drugiej godziny jazdy Conan dostrzegł jeźdźca na odległym szczycie wzgórza wznoszącego się na północy.

Dwaj Khorajańczycy spotkali się w niskiej, wykutej w skale komnacie, gdzie przetrzymywany był młodszy mężczyzna oczekujący na egzekucję. Danar, syn Araubasa, wyglądał lepiej, niż można by się spodziewać. Przyjrząwszy się komnacie nieco dokładniej, Muhbaras dostrzegł resztki cegieł. Zapewne cegły pokrywały kiedyś całe ściany komnaty, ale było to bardzo, bardzo dawno, przed setkami, a może tysiącami lat.

Do wejścia do komnaty eskortowały kapitana cztery Panny. Izba była tak niska, że musiał zgiąć się, żeby wejść, mimo iż nie był wysoki jak na Khorajańczyka. Na straży stały tam już cztery inne Panny. Nie wydawało się to jednak dużą liczbą, drzwi bowiem tworzyła tylko upleciona z sitowia mata. Przez takie drzwi mogło się wydostać nawet dziecko, używając do tego zabawki sztyletu, ale uzyskana wolność byłaby krótka, ponieważ stojąca za drzwiami warta natychmiast by zabiła uciekiniera. Na podłodze kapitan zobaczył zdechłą mysz i sporo

martwych owadów.

Jedna z Panien uchyliła zasłonę za pomocą brązowego ostrza włóczni, w której drzewcu były wyrzeźbione nieprzyjemnie znajome, ale całkiem niezrozumiałe runy. Panna nosiła amulet zrobiony z piór i małych kamiennych paciorków o różowoametystowym odcieniu. Poruszała się tak ostrożnie, jakby podłoga mogła rozewrzeć się i połknąć ją, gdyby uczyniła fałszywy krok. Kapitan również stąpał z wielką ostrożnością. Gdyby to było konieczne, opadłby na kolana, byle tylko uniknąć dotknięcia zasłony. Ku jego zadowoleniu Panna z włócznią uniosła matę na tyle wysoko, by zaoszczędzić mu tego upokorzenia. Podziękował jej za to w głębi serca, wiedząc, że nawet jeśli ona dochowa sekretu, nie uczyni tego jej towarzyski. Być może Pani Mgieł nie trzymała swoich strażniczek za gardło, ale na pewno patrzyła im przez ramię. Niewątpliwie wiedziała, że może się to okazać szkodliwe w bitwie przeciwko prawdziwemu wrogowi. Wszak niezdrowa jest sytuacja, gdy towarzysze muszą się obawiać języka innych towarzyszy, tak samo jak stali wroga. Skoro zatem Władczyni była zainteresowana przede wszystkim pilnowaniem, by Panny pozostawały bezgranicznie oddane i lojalne, sądziła pewnie, że żaden poważny wróg nie wejdzie do Doliny Mgieł, zanim jej praca nie zostanie ukończona: Myśl, że Pani Mgieł prawdopodobnie ma rację, nie była dla Muhbarasa przyjemna.

Nawet obdarzony sokolim wzrokiem Conan nie zdołał dostrzec niczego, co pozwoliłoby odgadnąć pochodzenie jeźdźca. Widać było tylko, że ma czarne szaty.

— Takie stroje nosi połowa mieszkańców tych ziem — powiedział Khezal, kiedy podjechał bliżej, żeby zrównać się z Conanem.

— Takie same nosi niewątpliwie również ta druga połowa, jeśli idą dostatecznie długo, nie myjąc się — dodał Farad.

— Mów za siebie, skalny łaziku — wymruczał sierżant Barak, zanim spojrzenia Conana i Khezala uciszyły następnych chętnych do zabrania głosu.

Obserwator wybrał najlepsze stanowisko. Miał z niego znakomity widok na drogę. Gdy się nieco zbliżyli, odszedł, a Conan zauważył, że wycofuje się w kierunku niedalekiej płataniny parowów i skał. Mógł się tam ukryć spory oddział, a poszukiwanie pojedynczego człowieka zabrałoby resztę dnia, zanim musieliby się przyznać do niepowodzenia.

Kilkaset kroków dalej teren przed Turańczykami stał się nierówny. Zwolnili do kłusu, by móc mówić w miarę cicho. Nie chcieli, aby jakikolwiek przypadkowy świadek zdołał coś usłyszeć. Rozmowa była krótka.

— Koczownicy nie mogli wysłać zbyt wielu ludzi w tę okolicę — zaczął Khezał. — W przeciwnym wypadku goniec z patrolu nie mógłby wrócić do obozu, żeby nas ostrzec.

— Chyba że pozwolili gońcowi przejść, aby wciągnąć nas w pułapkę — odparł Conan.

— Robimy wiele, więcej niż kiedyś, aby zatrzymać duże oddziały na północy i południu

— zauważył Khezał. — Poza tym wątpię, czy z taką liczbą Zielonych Płaszczy musimy się obawiać koczowników, jacy mogą się znajdować przed nami.

Nie byłoby rozsądne dyskutować z Khezalem na oczach jego własnych ludzi, i Conan nie chciał tego robić. Turański kapitan mógł na wet mieć rację, ale...

— Daleki jestem od tego, aby nie doceniać twoich ludzi — rzekł Cymmerianin — ale co się teraz z nimi dzieje? Założę się, że koczownicy uważają nas wszystkich tylko za zdobycz.

Jeśli otoczyli ich...

— Rozumiesz jasno. Jednak tylko naprawdę liczny plemienny oddział mógłby utrzymywać takie oblężenie i jednocześnie przygotować na nas zasadzkę.

Conan nieraz już płacił własną krwią i miał towarzyszy, którzy przelewali swoją za kapitanów mówiących, że „wróg nie może zrobić tego i tego”. Prorokowanie było domeną

czarowników i nieuczciwych kapłanów.

— Myślę, że powinniśmy jednak obawiać się zasadzki. Czy do naszego celu prowadzi jakaś inna droga prócz tej najkrótszej? Znasz ten kraj lepiej ode mnie.

— Istotnie, a większość moich ludzi lepiej niż ja. Jest taka droga, ale dłuższa i trudniejsza.

— Czy nadaje się lepiej czy gorzej do urządzenia zasadzki?

— Gorzej, o ile dobrze pamiętam.

— Dobrze by było, gdybyś pamiętał tak dobrze, jak pamiętasz, która dziewczka jest chętna, mój przyjacielu. Proponuję, żebyś wysłał sześciu spośród Zielonych Płaszczy ze mną i moimi Afghuli. Pojedziemy główną drogą. Ci czekający będą musieli uderzyć na nas, aby nie pozwolić nam zaatakować od tyłu ich towarzyszy. Tymczasem ty z resztą swoich ludzi pojedziesz dłuższą trasą.

Khezał spojrział na żołnierzy, a potem na pustynię przed sobą, i skinął głową.

— Nie chciałbym wystawiać cię na niebezpieczeństwo, ale sądzę, że nie będzie to nic gorszego od tego, co już przeżyłeś. Tylko przyprowadź moich żołnierzy całych i zdrowych, a przynajmniej daj dowód ich godnej śmierci.

— Jeśli odejdą w jakikolwiek inny sposób, to ja pójdę tam wraz z nimi — odpowiedział Conan.

— Nie miej zbyt wielkiej ochoty udawać się tam, gdzie nie ma ani wina, ani kobiet, ani porządnych bitew — powiedział Khezał, rozciągając twarz w uśmiechu. — Ja nie mam najmniejszej ochoty opróżniać na ziemię pucharów za nieobecnych towarzyszy!

*

— Jak się czujesz, kapitanie? — zapytał Danar, gdy w mdłym świetle lampy oliwnej

rozpoznał zwierzchnika. Muhbaras oniemiał. Spodziewał się, że młodzieniec będzie skrajnie wyczerpany, praktycznie jedną nogą w grobie. A już zupełnie nie oczekiwał, że będzie się troszczył o zdrowie swego kapitana. Danar uśmiechnął się szeroko.

— Nie byłem źle traktowany — rzekł. — Może tylko o tyle, że musiałem jeść chleb składający się wyłącznie z plew. Myślę, że właśnie tym karmią póludzi na polach.

— Bez wątpienia — zgodził się kapitan. Przyjrzał się ścianom i zatrzymał spojrzenie — miał nadzieję, że wystarczająco wymowne — na macie z sitowia.

Danar wzruszył ramionami.

— Wiem, że ściany mają uszy, a może i oczy. Jeśli masz dla mnie jakiś pożegnalny dar, to chyba tylko tyle, że nie uważasz mnie za głupca.

Muhbaras zapewnił, że nie myśli w ten sposób. Pragnął przekonać siebie samego, iż istnieje jakiś sposób, by zapewnić Danarowi godną i lekką śmierć. Jednak należało to zrobić na tyle zręcznie, aby uniknąć gniewu Pani Mgieł.

Kapitan nie dbał o to, co się z nim stanie, martwiło go tylko, że gdyby zginął, dowództwo nad misją w dolinie obejmie Ermik. Wtedy jego ludzi czekałby straszny los.

Być może Danar będzie musiał umrzeć straszną śmiercią po to właśnie, by chronić swych towarzyszy. Jak jednak mu o tym powiedzieć i jak zasnąć, gdy ta noc się skończy?

Jestem już za stary na intrygi, pomyślał Muhbaras. Byłem tylko mógł wziąć udział w ostatniej bitwie przeciwko wartemu tego wrogowi, a będzie mi wszystko jedno, czy ją przeżyję.

— Czy wiesz, że Pani pragnie twojej „esencji życia”, czy jak to tam nazywają w kapłańskiej gwarze? — spytał kapitan.

Danar powtórnie wzruszył ramionami.

— Być może, i stąd to dobre traktowanie. A może nie, jeśli myślą, że została splugawiona

nieczystym pożądaniem.

— Wiedza o tym, że kobieta taka jak Panna nie jest bez skazy, nigdy nie jest plugawa — parsknął Muhbaras. — Tylko ślepiec zdołałby tego uniknąć, a jestem pewien, że Władczyni nie chciałaby, aby usługiwali jej ślepcy lub eunuchy.

Tym razem Danar spojrział znacząco na ścianę.

— Nie — odpowiedział, ale nie patrzył przy tym kapitanowi w oczy. W jego głosie było coś, co sprawiło, że Muhbaras postanowił nie pytać, czy między młodzieńcem a Panną doszło do czegoś więcej niż wymiana spojrzeń.

W sakiewce zawieszanej przy pasie kapitan miał zawinięty w chusteczkę mały nóż z brązu. Teraz wyciągnął chusteczkę i nachylił się nad Danarem, udając, że chce zetrzeć pot z czoła żołnierza.

Zanim go jednak dotknął, ręka młodego mężczyzny wystrzeliła do góry i chwyciła nadgarstek kapitana. Był to uchwyt, który z odległości kilku kroków wyglądał niewinnie, ale w rzeczywistości był silny jak uścisk kajdan.

— Strzeż się moich towarzyszy i nie martw się o mnie — wyszeptał Danar. — Mam innych przyjaciół.

Słowa te kryły jakąś wielką tajemnicę, a zostały wypowiedziane tonem człowieka, który podąża na spotkanie swego losu z otwartymi oczyma i pewnym krokiem.

Być może uczynię tak samo jak Danar, kiedy nadejdzie mój czas, i Pani Mgieł mnie dopadnie, pomyślał Muhbaras.

Nie pozostało już nic więcej do powiedzenia, prócz formalnych słów pożegnania, przeznaczonych dla nadsluchujących uszu. Ostatni uścisk ramion i kapitan wyszedł. Gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku i słuchu stojących na straży Panien, wyszeptał krótką modlitwę dziękczynną do Mitry.

Khezał dodał jedną uwagę do opracowanego wcześniej planu. Odłączył tuzin Zielonych Płaszcy, by pozostali za oboma oddziałami i jeździli w kółko, podnosząc gęste chmury pyłu. — Nawet najbardziej doświadczony koczownik pomyśli, że im więcej kurzu, tym więcej ludzi — wyjaśnił kapitan. — Im więcej nieprzyjacielskich oczu skupi się na nich, tym mniej pozostanie do obserwacji, gdy będziemy się wymykać przy pierwszej sprzyjającej okazji. Conan wykonał typowy cymmeriański gest odpędzania uroku. Khezał przytaknął.

— To jednak nie wszystko, co zrobią. Kiedy już wzbiją pył, pojedą za nami, ale trzecią trasą, najwolniej ze wszystkich. Pozwoli im to przyjść z pomocą każdemu z naszych oddziałów. Być może nawet będą w stanie obejść zasadzkę i zaskoczyć tego, kto ją urządził. Conan uśmiechnął się szeroko i tym razem wykonał charakterystyczny dla Afghuli gest pozdrowienia honorowego wodza. Potem dał sygnał swoim ludziom, a jeden z sierżantów Kheżala odjechał z tuzinem żołnierzy, których zadaniem było wzbicie kurzu. Obaj Afghuli wskoczyli na konie i ściągnęli wodze, Zielone Płaszcze zgromadziły się pod czujnym okiem sierżanta Baraka i własnego kapitana, a chmura pyłu rosła wysoko w górę.

Conan poprowadził swych ludzi wzdłuż wyschniętego koryta, które wychodziło na wybraną przez nich trasę, nie obawiając się, że zostaną dostrzeżeni przez wrogów. Cały czas obserwował skały i grzbiety wzgórz wznoszących się po lewej stronie, podczas gdy Farad patrzył na prawo, Sorbim zaś baczył na towarzyszących im żołnierzy. Conan nie sądził, by Zielone Płaszcze były zdolne do zdrady popełnionej z zimną krwią. Wiedział jednak, że nie można być pewnym żołnierza, który jest opanowany przez myśl o pomśczeniu towarzysza lub krewnego. Przekonał się o tym już wiele razy i przeżył tylko dlatego, że niczego nie uznawał za pewne.

Tymczasem wyschnięte koryto doprowadziło ich do doliny, gdzie z obu stron wznosiły się

skaliste zbocza. W skałach mogła się ukryć mała armia, ale były tam też szerokie pasma terenu, gdzie nie zdołałby się schować nawet pies, a rączy koń mógł iść w dobrym tempie. Zatem Khezał nie skierował ich w miejsce, do którego nie dotarłaby pomoc — o ile zostałyby wysłana.

Zdawało się, że Farad czyta w myślach Cymmerianina.

— Jak do tej pory, chłopaki Khezala są posłuszne.

— Te chłopaki są tylko trochę młodsze od ciebie, Faradzie.

— Masz na myśli lata czy bitwy?

— Porozmawiaj z nimi kiedyś, gdy nasza przyjaźń nieco się pogłębi.

— Będę zbyt stary, żeby zrobić coś więcej niż kumkać jak bagienna żaba, jeśli będę czekać tak długo.

— Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że przerywanie swemu kapitanowi jest źle widziane?

— Jesteś moim wodzem, a nie moim kapitanem. Obyczaje armii z nizin, które nadają się tylko do walki z kobietami, nie są właściwe dla Afghuli.

— Obyczaje Cymmerian wobec tych, którzy bez sensu mielą językiem, każą im wbić go do gardła, póki jeszcze jest.

Farad i Sorbim popatrzyli po sobie. Conan widział, że dociera do nich fakt, iż ich „wódz” do końca nie żartował. Farad wymruczał coś, co Cymmerianin uznał za przeprosiny, i w milczeniu pojechali dalej.

ROZDZIAŁ VIII

Słońce skryło już się za zboczami Doliny Mgieł. Purpurowe cienie pochłonęły jej dno i teraz wspinały się po ścianach.

Kapitan Muhbaras miał nadzieję, że cała sprawa się zakończy, zanim konwój dotrze do jaskini, przed którą stał teraz, obserwowany czy raczej strzeżony, przez osiem Panien.

Zapewne uznano go albo za godnego szacunku, albo za budzącego poważne obawy, skoro został uhonorowany obecnością tak wielu strażniczek.

Wiedział, że jest to wyróżnienie, które przestanie doceniać, jeśli nie znajdzie się w drodze powrotnej do swojej kwatery, zanim w dolinie zapanują ciemności. Nigdy nie był tak daleko o tak późnej porze, ale istniała pewna przyczyna (lub przynajmniej wytłumaczenie), dla której postanowiono położyć życiu Danara kres w tej właśnie szczególnej godzinie.

W dolinie nie znajdowało się nic, czego by już wcześniej nie widział. Nie interesowało go też przypatrywanie się Pantom. Przy swoich siwiejących włosach i całym komplecie blizn mógł być już uważany za zbyt starego, aby patrzeć na nie z pożądaniem. Ponieważ jednak nosił broń, można go było podejrzewać, że zamierza uratować swojego człowieka. Wówczas czekałby go tak samo straszny koniec, jak Danara.

Zdecydował w końcu, choć niechętnie, że nie powinien poświęcać swojego życia w celu przyspieszenia końca męki Danara. Zaczął obserwować Panny, ale tak jak gość, który obserwuje strażę książęcego pałacu, oceniając ich sprawność i przydatność do bitwy.

Wszystkie Panny były wysokie, choć tylko dwie były wyższe od Muhbarasa. Żadna nie miała tej przykuwającej wzrok bardzo jasnej cery, ale też żadna nie miała ciemnej skóry i mocno kręconych włosów, typowych dla kobiet z Czarnych Królestw.

Zdawało się, że Pani Mgieł rekrutowała swoje Panny (lub przyjmowała te, które zgłaszały się same) ze wszystkich znanych ziem oprócz Khitaju i być może Vendhii. (Niektóre jednak nosiły ślady vendhiańskiej krwi; być może kobiety czystego pochodzenia były zbyt drobne i słabe, by podołać ciężarom wojny?).

Kilka — tutaj tylko jedną z ośmiu — można było nazwać pięknosciami. Ale wszystkie

posiadały wdzięk, siłę i gibkość, a także znały się na broni. Kapitan nie spotkał takiej, której nie przyjąłby do liniowego oddziału — albo do swego łóżka.

Być może Pani Mgieł lepiej znała się na sztuce wojennej niż podejrzewał. Bardzo starannie wybierała wojowników. Kapitan znał lordów, których oddziały domowe nie sprostająby takiemu testowi. Na przykład grubasy lorda Cleakasa — gdyby Panny kiedykolwiek przekroczyły mury jego zamku, byłiby jak myszy, z którymi bawią się koty.

Do uszu Muhbarasa dotarł odległy, miarowy odgłos bębna. Rozejrzał się wokoło. Nic nie zobaczył, ale dźwięk narastał. Teraz słyszał dwa bębny, a także tupot stóp i szczęknięcie broni.

Danar, syn Araubasa, podążał na spotkanie ze śmiercią.

Kapitan wziął głęboki oddech, potem powoli wypuścił powietrze i modlił się do tylu bogów, ilu tylko potrafił nazwać. Wszyscy, którzy czcicie odwagę, ocalcie cześć Danara!

Zanim mały oddział Conana przebył drugą część drogi, błękitne oczy Cymmerianina wypatrzyły dwadzieścia miejsc, w których można było przygotować zasadzkę. Zdecydował jednak, iż powinien zastosować do siebie radę udzieloną wcześniej Khezałowi i nie zakładać, że wódz nieprzyjaciół jest głupcem.

Oddział Conana był zbyt mały, aby pokrzyżować plany wodza nomadów, nawet jeśli dotarłby do celu bez szwanku. Można go było zignorować i szykować się do uderzenia na grupę Khezała. Być może wódz podzielił swój oddział i w ostatnim momencie rzucił przeciwko Cymmerianinowi garść ludzi. Jeśli Conan pokonałby ich, mógłby nawet pomóc, ludziom turańskiego kapitana.

Cymmerianin wybuchnął beztroskim śmiechem. Wódz nomadów nie znał ani jego, ani Afghuli, ani (by oddać im sprawiedliwość) doborowych jeźdźców z zastępów Yezdigerda, jeśli myślał, że łatwo się zmęczą. Jego ludzie zapłacą krwią za tę pomyłkę.

Conan jednego był pewien. Obserwator na wzgórzu nie był złudzeniem ani fatamorganą.

Tak więc bitwa się odbędzie, i to zanim zapadnie noc.

A ten czas był coraz bliżej. Cienie wydłużyły się, choć upał dokuczał tak samo jak wcześniej. Powyżej odległych szczytów wzgórz, gdzie padlinożerne ptaki wiły gniazda, by przetrwać najgorszy skwar, zataczały koła sępy — czarne plamki na tle jaskrawego błękitu.

Nie oczekiwały na świeże mięso na próżno.

Osiągnęli już, a nawet minęli dwa miejsca odpowiednie na zasadzkę. Conan próbował patrzeć we wszystkich kierunkach naraz i zaczęła mu od tego sztywnieć szyja. Pokręcił głową w tył i w przód, aby rozluźnić mięśnie. Chwila spóźnienia przy wypatrzeniu lub uderzeniu na wroga mogła spowodować, że dobrzy wojownicy zmieniali się w pokarm dla sępów.

Weszli w inne suche koryto, którego prawa strona była zryta pozostałościami powodzi z czasów Atlantis, lewa zaś stanowiła wzgórze niemal odpowiednie na pastwisko. Na szczycie wzniesienia ziemia przechodziła w skalną ścianę z kilkoma otworami. Conan pomyślał, że nawet mysz nie przecisnęłaby się przez szczeliny, o ile wcześniej przez tydzień by nie pościła i nie naoliwiła futerka...

U podnóża ściany uniósł się kurz. W pyłe Cymmerianina ujrzał dwunożne postaci o wiele większe od myszy. Gdy kurz opadł, postacie zamieniły się w mężczyzn, biegnących po zboczu w kierunku dna doliny. Przeskakiwali głazy i szczeliny w ziemi z niesłychaną zręcznością właściwą pustynnym plemionom.

Conanowi wydało się, że jest to źle przygotowana zasadzka w bardzo źle wybranym miejscu. Biegnący mężczyźni byliby dobrym celem dla łuczników. Cymmerianin nie zamierzał dawać koczownikom żadnej przewagi. Skoczył na konia, prowadząc go kolanami, gdy wzniosł obie ręce ponad głowę. W prawej dłoni dzierżył miecz. Ludzie z tyłu zrozumieli sygnał. Teraz oni z kolei wskoczyli na konie i zakołysali się w siodłach. Wszyscy mieli łuki i

pełne kołczany, a strzały zostały założone na cięciwy, zanim ich wierzchowce odwróciły łby.

I wszystkie łuki strzeliły, zanim weszli w cień skał.

Dla turańskich łuczników, a także dla Afghuli, trafienie z tej odległości w biegnącego człowieka nie było trudne, nawet jeśli strzelało się w pośpiechu. Po zboczu pędziło więcej koczowników niż wyleciało strzał, ale niektórzy z biegnących, chociaż nie zostali nawet draśnięci, rzucili się na ziemię, ze strachu lub może chcąc pomóc rannym.

Zdawało się, iż nomadzi nie rozumieją, że jeśli mają niewielu łuczników, to muszą szybko podejść do oddziału nieprzyjaciela, bo inaczej zostaną zbyt osłabieni, by wygrać rozstrzygające starcie.

Tymczasem ludzie Conana zniknęli w nierównym terenie po prawej stronie. Cymmerianin usłyszał przekleństwa i protesty koni, gdy żołnierze przynaglali swoje wierzchowce do biegu w górę zbocza, choć i było ono bardziej odpowiednie dla kóz. Usłyszał także wizg lecących strzał. Przynajmniej jeden z koczowników odzyskał odwagę i skoczył na nogi, ale natychmiast upadł powtórnie, gdy strzała przeszła mu gardło. Do rżenia koni dobiegającego spomiędzy skał dołączyły ludzkie okrzyki.

Conan zeskoczył z siodła, klepnął swoją klacz w zad, by podążyła w górę wzgórza, i zaczął się wdrapywać na najbliższą skałę. Nie przebył nawet jeszcze połowy drogi, kiedy usłyszał krzyk Farada.

— Na skałach jest ich więcej! Spieszcie się! Szybciej! Szybciej!

Conan miał nadzieję, że Turańczycy zrozumieją ostrzeżenie.

Ledwo przebrzmiało wołanie Farada, rozległ się wrzask koczowników czekających między skałami na ludzi Conana. Niewiele brakowało, a wjechałby prosto w ich ręce, jak owca wchodzi w szczęki wilka. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien uczynić. Przecież nie

będzie stał na tej skale, gapiąc się beczynnie na poczynania swoich towarzyszy, niczym nierozgarnięty pastuch na wiejską piękność. Nie będzie czekał, aż wśród wrogów znajdzie się łucznik, który dostrzeże jego głowę. Podjął decyzję.

— Na Croma! — wykrzyknął.

Nie było to wołanie do zimnego boga Cymmerii, ponieważ on nie słuchał takich wezwań.

Było to raczej przypomnienie, że jest tutaj cymmeriański wojownik gotów na śmierć i że to, jak umrze, powinno być zauważone.

Imię boga odbiło się echem pośród skał, przebiło przez wszystkie pozostałe okrzyki i pozostawiło po sobie krótkie stłumione milczenie. Conan sprężył się do skoku i runął w dół z mieczem w dłoni.

Na ścieżce wiodącej do jaskini ukazał się konwój. Osiem Panien przed Danarem i osiem za nim. Na samym końcu kroczyła zakapturzona postać odziana w luźną, sięgającą stóp szatę.

Można by ją wziąć za przechodzącą przez targowisko kapłankę, która ślubowała uchronić się przed spojrzeniami oczu gawiedzi. Jednak jarzące się pod kapturem złote kocie oczy i płynny gibki chód nie pozostawiały wątpliwości co do tego, kim jest ta osoba. To Pani Mgieł nadchodziła, tak jak obiecała, aby zadać śmierć za nieczyste pożądanie. Okrutną śmierć.

Ręce Danara były związane postronkami na plecach, a krótki łańcuch spinał jego kostki.

Więzień szedł, utykając. Jego oczy były szeroko otwarte i czujne, choć kilka pręg na twarzy i na szyi wskazywało miejsca uderzeń, przez które dowiedział się, jak niemądrze jest rozglądać się wokoło.

Nie był ani pod wpływem narkotyków, ani ranny, mógł więc z pełną świadomością patrzeć na zbliżającą się śmierć i czuć ją tak długo, jak długo życzyła sobie tego Pani Mgieł.

Muhbaras postanowił być twardy i żałował tylko, że nie może oślepić swoich oczu i ogłuszyć

uszu.

Panny strzegące kapitana cofnęły się, by odsłonić wejście na skałę. Musiały stać praktycznie ramię przy ramieniu, tworząc szereg okalający brzeg platformy, pośrodku której pozostawiono puste miejsce.

Danar wszedł na platformę tak spokojnym miarowym krokiem, jakby zgłaszał obecność na apelu. Tylko pot lśniący na jego smagłej twarzy zdradzał niepokój umysłu.

Muhbaras zmusił się do uśmiechu. Nie było to wiele, jak na ostatni dar dla dobrego człowieka. Chciałby wykrzyknąć do gór i niebios, i do tych przeklętych kobiet: „Patrzcie, jak umiera żołnierz z Khorai, i dowiedzcie się, jakich wrogów przysparza wasze szaleństwo!” Ale góry i niebo nie odpowiedziały; odpowiedzieć mogła tylko Pani Mgieł i jej magia albo włócznie i miecze Panien.

Conan miał nadzieję, że spadnie na wrogów jak głaz obrywający się z klifów. To mogłoby zbić z tropu lepszych wojowników niż koczownicy, a skonfundowani przeciwnicy nie stawialiby długo czoła Cymmerianinowi.

Wystarczyły trzy kroki, by spotkał pierwszych przeciwników, z który dwóch już wdało się w starcie z Zielonym Płaszczem. Żołnierz był w niewesołym położeniu, gdyż jego noga pozostała pod padającym koniem, ale bronił się z desperacją i wigorem. Na nim też koncentrowała się cała uwaga przeciwników, więc nie zachowali jej dla Cymmerianina. Zbliżył się do nich. Zaskoczenie pozwoliło mu uczynić z pierwszych koczowników łatwą zdobycz. Jeden runął na ziemię z czaszką rozszczępioną od ciemienia do nasady nosa, ochlapując mózgiem i krwią martwego konia Zielonego Płaszcza. Jego szabla upadła z brzękiem tuż obok Turańczyka, który szybko ją chwycił. Żołnierz ujął szablę swego przeciwnika w jedną rękę, a własny handzar w drugą. Koczownik spróbował sparować cięcie

szerokiego miecza Conana i równocześnie dosięgnąć sztyletem Zielonego Płaszczka.

Turańczyk ledwo drasnął kolano koczownika, ale zderzenie się szabli i miecza Cymmerianina zatrzymało oba ciosy, a dodatkowo wybiło broń z ręki koczownika. Szabla z trzaskiem poleciała na skały. Nic nie stanęło na przeszkodzie drugiemu ciosowi Zielonego Płaszczka. Uderzył w gardło nomady, niemal ścinając mu głowę. Na padłego konia spłynęło jeszcze więcej krwi i drugi napastnik runął na ciało pierwszego. Conan nie zauważył, gdzie pomknął wyrzucony sztylet, dopóki Turańczyk nie krzyknął, gdy Cymmerianin chwycił go za ramię. Teraz dopiero Conan dostrzegł, że sztylet tkwi w lewym barku mężczyzny. Wyciągnął go, wytarł o spodnie i wsadził za pas, a następnie wyciągnął rannego spod konia.

— Najlepiej czymś to sobie owiń — powiedział, wskazując na krwawiący bark. — Czy potrafisz walczyć lewą ręką?

Mężczyzna skinął głową.

— Lepszy leworęczny wojownik niż praworęczne zwłoki — rzekł Conan. — Trzymaj się blisko mnie, kiedy będziemy szukać naszych towarzyszy.

— A jeśli są martwi?

— Jeśli byliby martwi — burknął Conan — to nie słyszelibyśmy żadnej walki w górze na zboczu. Jeśli są martwi, to mogli zabić dość przeciwników, by pozwoliło nam to uciec. A jeżeli nie pójdziesz ze mną na szczyt, to ludzie idący doliną z pewnością cię zabiją.

— O ile ty nie zrobisz tego pierwszy.

Okazało się jednak, że Conan nie musiał ukłuć Turańczyka czubkiem miecza w słabiznę. Żołnierz wspinał się po zboczu w takim tempie jak biegacz pędzący po równym terenie, wykrzykując zawołanie Zielonych Płaszczki: „Nasza krew to nasz honor”.

Pani Mgieł weszła w środek koła. Muhbaras zauważył, że przyniosła ze sobą długą laskę w

kształcie węża, wyższą niż ona sama. Wąż miał jedno oko z rubinu, a drugie ze szmaragdu, a poniżej zamiast łusek wyrzeźbione były te same bezimiennie runy, które kapitan widział wiele razy.

Czarodziejka zatrzymała się tuż przed Danarem i trzykrotnie uderzyła laską w skałę. Za każdym razem skała odzywała się pod uderzeniem jak gigantyczny bęben. Muhbaras był świadom, jak starożytną konstrukcją jest ta platforma i że wystaje daleko poza zbocze, wisząc nad powierzchnią doliny. Nawet u Panien dostrzegł jakiś niepokój, wyrażony uniesieniem ramienia lub mrugnięciem oka, ale tak naprawdę robiły to co zwykle, mianowicie zajmowały się naśladowaniem posągów.

Pani Mgieł uderzyła po raz czwarty, ale tym razem dudnienie nie przetoczyło się przez dolinę. Wydawało się, że laska zanurza się w skale, jakby stamtąd wyrosła. Nawet się nie chwiała, choć Muhbaras miał wrażenie, że dostrzega lśnienie w rubinowym oku. Pani skinęła lewą ręką.

Osiem Panien ruszyło do przodu z miejsc dookoła platformy. Utworzyły wokół Danara i laski ciasny krąg. Jedna rozpięła kajdany przy jego kostkach. Na kolejne skinienie dłoni Pani Mgieł Panny podniosły Danara, tak jakby był beczką wina albo owczą skórą. Muhbaras pomyślał, że Danar zostanie wbity na pal. Zdziwił go brak wyobraźni Pani, świadczyłoby to bowiem, iż nie potrafi ona wymyślić gorszej śmierci.

Po chwili jednak Panny uniosły Danara w taki sposób, że laska znalazła się pomiędzy jego plecami a związanymi rękami. Młodzieniec uniósł się, potem opadł w dół. Widać było tylko czubek jego głowy pośród lśniących włosów strażniczek. Za chwilę także on znikł, a w następnym momencie Panny uciekały we wszystkich kierunkach, jak owce ścigane przez lwa. Danar wypadł z kręgu z obiema rękami wolnymi. Więzy zwisały z nadgarstków, a w prawej dłoni trzymał maty sztylet. Przeskoczył przez Pannę, która upadła, i pomknął na skraj

platformy, gdzie pomiędzy dwiema innymi Pannami ukazała się luka.

— Przepraszam panie — powiedział, gdy kobiety uniosły włócznie i ruszyły, by zasłonić wyrwę.

Przemówił do Panien przygotowujących się do zabicia go tak dwornie, jak zwróciłby się do wysoko urodzonej kobiety i jej córki, które znalazłyby się na drodze jego wojennego rydwanu. Ton poskutkował. A może sztylet w ręku Danara? W każdym razie zamarkował uderzenie sztyletem w Pannę stojącą po prawej jego ręce, jej towarzyszkę smagnął końcami rzemieni zwisającymi z lewego nadgarstka i odtworzył lukę. Stała się wystarczająco szeroka, aby mógł dosięgnąć skraju platformy i skoczyć.

*

Conan podążał za Zielonym Płaszczem spokojniejszym krokiem. Raz jeszcze próbował patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, przede wszystkim dlatego, że gdzieś dostrzegał skały, które nieoczekiwanie wyrastały mu tuż przed nosem. Widział wielu, stanowczo zbyt wielu ludzi ciągnących przez dolinę i mniej, chociaż też zbyt wielu, na grzbiecie zbocza po tej stronie. On i jego towarzysze byli odcięci, jakby znajdowali się w lochu, a dla takiej watahy koczowników kamienne ściany stanowiły nieco tylko trudniejszą do pokonania zaporę. Wkrótce zauważył, iż bitewny zgiełk dochodzący z góry zbocza zamiera szybciej niż powinien. Oznaczało to, że jego ludzie albo uciekli, albo odparli przynajmniej jeden atak. Pragnienie rozwiązania tej tajemnicy prawie kosztowało go życie. Obszedł bowiem skałę i łucznicy powyżej zobaczyli go w całej okazałości, po czym niezwłocznie wypuścili tuzin strzał w miejsce, w którym stał przed chwilą. Tylko szybkości człowieka urodzonego w górach zawdzięczał, że zadrapania, jakie otrzymał, nie zamieniły się w rany.

Ta sama niezwykła szybkość pozwoliła mu zebrać garść być może użytecznych w przyszłości skał, zanim odskoczył dalej. Tym razem jednak wylądował na czymś żywym i brzydko pachnącym, co miało przekleństwa w języku Afghuli, od których mogłyby popękać skały albo zatrzęść się ziemia.

— Faradzie! Słyszę, że krzyczysz. Jak się masz?

Farad kaszlał tak długo i głośno, że Conan podejrzewał go o złośliwość.

— Ludzie mają się dobrze, prócz jednego, który nie żyje, i jeszcze jednego, którego przygniótł koń. A może to ten, który przemknął obok mnie, jakby paliły mu się spodnie?

— Dokładnie ten sam. Miałem pewne problemy, aby go właściwie wychować. Teraz jednak nabierz powietrza, rozluźnij żebra. Powtarzam pytanie.

— Odparliśmy jeden atak z prawej strony. — Farad machnął niedbale ręką w tym kierunku. — Nikt nie podszedł z lewej, za co pochwaleni niech będą bogowie, ponieważ oznaczałoby to nasz koniec. Zatem koczownicy nie zajęli jeszcze stanowisk od naszej lewej strony.

Jeśli tak, to ludzie Cymmerianina otrzymali tylko odroczenie egzekucji, a nie ocalenie.

— No cóż, Conanie, zajmują wzgórza przez całą szerokość naszego frontu. Ale to nie są prawdziwi mężczyźni, ci, którzy stoją na lewo. Ledwo odważają się wysunąć w górę głowy. Kiedy to robią, z rzadka strzelają, a kiedy strzelają, nie mają w co trafić. Gdyby nawet ci słabeusze mieli wszystkie strzały, jakie są na świecie...

Conan zebrał oddział. Cymmerianin dostrzegał pewne możliwości, które umknęły Faradowi. Jednak najlepiej będzie nie dawać nikomu zbędnej nadziei.

— Wielkie dzięki. Teraz jest tutaj spokój. Zamierzam więc przeprowadzić zwiad na lewo.

Skok Danara był chyba czarem, który miał wszystkich patrzących zamienić w kamienie,

ponieważ na platformie zapanowała całkowita cisza i bezruch. Muhbaras spróbował zapanować nad strachem. Zdawało się, iż kobiety nie wierzą w to, co widziały ich oczy.

Kapitan przypuszczał, iż podejrzewanie własnych oczu, że tak zwodzą, mogło zaniepokoić, ale on nie miał żadnych wątpliwości i zaczął już układać hołd, który miał uczcić Danara, a który pośle krewnym żołnierza — o ile miał takich i o ile on sam będzie żył dostatecznie długo, żeby przyłożyć pióro do pergaminu.

Tymczasem Pani Mgieł i Panny zbudziły się z bezruchu. Z rękoma wzniesionymi w górę czarodziejka zbliżyła się do ośmiu Panien stojących wokół laski. Wokół jej prawej dłoni rozjarzyła się szkarłatna poświata, a słabsza, złota, skapywała z lewej. Oba kolory spłynęły w dół na kamienie, rozbryzgnęły się jak woda i zmieszały.

Utworzyły szkarłatnozłotą kulę wielkości dużego melona, rzucającą iskry. Kula zaczęła się obracać, jak się zdawało Muhbarasowi, w trzech kierunkach jednocześnie. Uznałby to za niemożliwe, gdyby nie fakt, że od kiedy przyszedł do Doliny Mgieł, dbał, by to słowo nie padało z jego ust. Mogło sprawić tylko tyle, że ktoś będzie podatny na zaskoczenie, a przecież Pani Mgieł i jej Panny miały dość niespodzianek dla żołnierza, który starał się postępować rozumnie.

Kula unosiła się do góry, obracając się i sypiąc w dół kaskadami iskier. Wyglądało na to, że zbliża się w kierunku pierścienia Panien. Lotem strzały pomknęła do przodu, dopóki nie znalazła się nad miejscem, z którego skoczył Danar.

Muhrabas zatkał uszy rękami, zanim je ścisnął tak, by pozostawały zamknięte, zobaczył, że Panny robią to samo. Zdawało się, że wszyscy słyszą wycie kogoś, kto jest obdzierany żywcem ze skóry, wycie, które będzie trwać aż do końca czasu, a może i dłużej, dopóki sami bogowie nie położą mu kresu...

Kapitan napiął mięśnie nóg i podobnie uczyniła większość Panien. Niektóre z nich jednak

chwiały się, a jedna przyklęła. Tylko Pani Mgieł stała tak, jakby nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, z wciąż uniesionymi rękami. Jej pierś miarowo wznosiła się i opadała, może nieco głębiej niż zwykle pod materią szaty, tak jakby czarodziejce było nieco ciężko oddychać. Jej nieruchome oczy lśniły, a usta były bledsze niż zwykle.

Nagle chwyciła obiema rękami laskę, a ta wyszła ze skały tak łatwo, jak chwast z mokrej ziemi. Podrzuciła ją jedną ręką, złapała drugą i zakreśliła, jakby była gotowa ruszyć do tańca. Taniec był ostatnią rzeczą, na jaką Muhbaras miałby teraz ochotę. Nie wierzył, żeby Pani Mgieł była w stanie wyczarować coś jeszcze bardziej przerażającego, ale następny moment dowiódł, jak bardzo się mylił.

Danar, a w każdym razie ludzka postać bardzo go przypominająca, unosił się powoli w górę z dna doliny. Wyglądało to tak, jakby niewidzialna ręka złapała go, zanim znalazł szybką śmierć, której szukał, i oddawała go na pastwę tortur Pani Mgieł. Z całą pewnością krzyki pochodziły od tej ludzkiej postaci, zawieszanej w powietrzu przed wypełnionymi przerażeniem oczami Muhbarasa.

ROZDZIAŁ IX

Conan stłumił w sobie nagły impuls, by pognać w górę zbocza, tak jakby ściągnął wodze narowistego zaprzęgu rydwanu. Pośpiech podczas marszu w tak nierównym terenie groził upadkiem, nawet jeśli miało się mocne nogi górala.

Upadając, ściągnąłby na siebie uwagę wroga, czego pragnął uniknąć tak długo, jak tylko to było możliwe. Jego towarzysze znajdujący się niżej nie byli dość liczni, by zmusić łuczników nieprzyjaciela do uważania na głowy, a nawet by przeszkodzić im w strzelaniu, gdyby tamci zechcieli przyłączyć się do starcia.

Cymmerianin poruszał się więc ze zręcznością leoparda, znajdując osłonę w skalnych szczelinach i ukrywając się w plamach cienia, które przypadkowemu świadkowi wydałyby się zbyt małe, by ukryć mężczyznę jego postury i cicho jak kobra, badając każdy uchwyt dla rąk i podporę dla stóp. Tylko najmniejsze kamyki cicho staczające się w dół i trochę wzbitego kurzu znaczyły jego przejście.

W miarę wspinaczki teren stawał się coraz trudniejszy, Conan musiał przywołać umiejętności zdobyte niedawno w górzystym Afghulistanie. Wznoszące się tam szczyty stanowiły wyzwanie nawet dla kogoś obdarzonego zręcznością kozicy.

Znalazłszy się w górnej części skalnego komina, gdzie dotarł opierając się nogami o skałę z jednej strony, a plecami z drugiej, przystanął, nabrał tchu i zaczął nasłuchiwać. Jednak zamiast wojennych okrzyków lub przekleństw usłyszał pokasływanie i kichnięcia, trzask pękających z gorąca skał i dalekie, dochodzące z góry głosy ptaków. Doświadczenie podpowiadało Conanowi, że taka cisza może oznaczać, iż wróg wśliznął się na pozycje jego towarzyszy i właśnie podrzyna im gardła. Nie wierzył jednak, by Afghuli i Turańczycy dali się zaskoczyć.

Rozmyślania te przerwał dźwięk dobiegający z góry. Był to odgłos kroków skradającego się człowieka, który próbuje poruszać się cicho, ale nie do końca mu się to udaje. Do tego dźwięku dołączyły inne: ktoś krzyczał, ale wyraźnie się starał, by nie słyszano go zbyt daleko. Krzyki urwał się jak ucięty nożem i Conan usłyszał teraz odgłosy towarzyszące walce. Tymczasem skradający się podchodził coraz bliżej. Cymmerianin uznał, że niedługo będzie już dość blisko, aby mógł mu napluć na głowę.

Nagle w górze ktoś krzyknął z wściekłości. Odpowiedział mu jęk śmiertelnie ранego człowieka. Chwilę później nad skałami pojawiła się okolona czarną brodą twarz, a zza krawędzi komina dobiegły krzyki i świst strzał. Obojętnie, czy ten mężczyzna był

przyjacielem czy wrogiem, musiał coś wiedzieć i mógł to przekazać Conanowi. Ale jeśli łucznicy zrobią z niego poduszkę do igieł, to umrze, nawet nie otworzywszy ust.

Cymmerianin wypadł z ukrycia. Jedną ręką chwycił czarne, splątane włosy, drugą kołnierz połatanej znoszonej szaty i z całej siły pociągnął. Mężczyzna prawie przefrunął mu nad głową, wrzeszcząc ze strachu. Bał się, że za chwilę polecą przez komin głową w dół. Jednak Conan skręcił się giętko jak węgorz i równocześnie przesunął miejsce chwytu. Jego ręce zacisnęły się na nadgarstkach mężczyzny. Na moment utracił równowagę, więc zaparł się nogami, a wtedy strzała drasnęła go w łydkę. Pod wpływem piekącego bólu rozluźnił chwyt. Mężczyzna zaczął krzyczeć jak nabijany na pal i chaotycznie walczyć. To ściągnęło jeszcze więcej strzał. Cymmerianin poczuł, że zsuwa się na dół. Honor i potrzeba zachowania jeńca przy życiu nie pozwoliły mu po prostu go puścić. Spróbował skoczyć, ale już nie starczyło mu czasu. Jeszcze obracał się, próbując umieścić nogi w pozycji zapewniającej łagodne lądowanie, gdy minął krawędź i runął w dół.

Pani Mgieł wydała z siebie krzyk przypominający miauczenie parzącego się dzikiego kota. Ognista kula, jakby w odpowiedzi, natychmiast trzykrotnie zwiększyła objętość i skoczyła ku zawieszonemu w powietrzu Danarowi. Oczy czarodziejki jarzyły się takimi kolorami, że Muhbaras nie uwierzyłby, że można je ujrzeć nawet w piekle. Odbijały się jak w lustrze w kuli, która teraz rozciągała się niby język ogromnego węża. Jej płomienne jądro przesunęło się między dwiema Pannami tak blisko, że obie upadły na plecy, jakby kopnął je koń. Część ich towarzyszek zawahała się, ale inne doskoczyły, by odciągnąć je w bezpieczne miejsce. Muhbaras prawie nie zwrócił uwagi na to, co dzieje się na tarasie. Przyglądał się Danarowi. Ten wisiał w powietrzu jak mydlana bańka, a ogień oplatał go oślepiającą szmaragdowoszafirową pajęczyną. Z każdym uniesieniem rąk Pani Mgieł pajęczyna zaciągała

się coraz ciaśniej. Zanim płomień zamknął się wokół Danara, Muhbaras dostrzegł, że na twarzy młodzieńca pojawił się wyraz nieludzkiego wręcz cierpienia, a plecy wygięły się tak silnie, iż lada chwila pęknie kręgosłup. Potem nie widział już nic, słyszał tylko krzyk, potworny i dziki, jakiego nie słyszał nigdy wcześniej w ciągu wszystkich lat, jakie spędził na wojnie.

Kapitan postąpił do przodu z mieczem w jednej i sztyletem w drugiej dłoni. Zanim ktokolwiek, czarodziejka lub Panna, zdążył rzucić czar lub użyć stali, aby go zatrzymać, podrzucił sztylet, złapał go za czubek i cisnął w kulę ognia. Sztylet zniknął w płomieniu. Gdy to się stało, Muhbaras zobaczył, jak Pani Mgieł obraca się ku niemu. Wznosił miecz, dopóki jego czubek nie dotknął ognia lejącego się strumieniem z ciała kobiety.

Mitro, bądź moim świadkiem i strzeż moich ludzi! Nie mogę postąpić inaczej, wyszeptał w duchu.

Cymmerianin i jego jeniec szczęśliwie wylądowali na piasku. Wprawdzie Conan znalazł się pod spodem, ale żelazne mięśnie zamortyzowały uderzenie. Umiejętności łagodnego upadania mógłby mu pozazdrościć linoskoczek. Niemniej upadek pozbawił go tchu i wstał powoli. Na szczęście jeniec również był bez tchu i zanim zdołał się podnieść, wielka dłoń Cymmerianina zamknęła się na jego lewej kostce.

Mężczyzna zaklął i już otworzył usta do krzyku, ale gdy spojrzał na Conana, na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

— Ty nie być człowiekiem Girumgi? — wydukał niewyraźnie. Był to bez wątpienia język turański, ale stanowił jakiś dialekt tak pomieszany, że Conan nie był pewien, czy dobrze rozumiał.

— Nie jestem Girumgi — powiedział wolno po turańsku, tak jakby mówił do dziecka. —

Nie chcę zrobić ci krzywdy, ani też żaden z moich przyjaciół. Chodź ze mną.

Wydawało się, że mężczyzna nie rozumie słów, ale ton i gesty wystarczająco oddały ich znaczenie. Jeniec był niski i szczupły nawet jak na pustynnego koczownika. Osobnika takich rozmiarów mógłby Cymmerianin nieść pod pachą. Mężczyzna najwyraźniej doszedł do podobnego wniosku, ponieważ wolał użyć własnych nóg, by unikać podobnego losu.

Szybkim krokiem wracali do skalnej kryjówki. Znajdujący się powyżej nieprzyjaciele krzyczeli coraz głośniej. Conan wolał dołączyć do swoich towarzyszy, zanim krzyk ponownie zamieni się w strzelanie. Jeśli chodzi o ludzi znajdujących się poniżej, teren na pewno nie był ich sprzymierzeńcem, byli za to bardzo liczni. To, dlaczego jeszcze — a się nie zbliżyli, było więc zupełną zagadką. A dwie zagadki na jednym polu bitwy to o dwie zagadki za dużo. Bitwy były dostatecznie nieprzewidywalne nawet wtedy, gdy każdy robił dokładnie to, co przypuszczano, że zrobi. Jeśli zaś tego nie robił, tylko bogowie mogli dostrzec jakąś celowość w bitewnym chaosie.

Gdyby nie to, że był coś winien swoim towarzyszom, wykorzystałby zamieszanie w szeregach wrogów i po prostu pokazał im piętę podczas ucieczki. Skoro jednak od jego obecności zależało życie innych, no cóż...

Farad był pierwszym, który powitał Conana i zaprowadził szybko do niskiej pieczary.

Wejście do niej zostało odkopane, kiedy Cymmerianin był zajęty zdobywaniem jeńca. Grota była zbyt płytka jak na miejsce ostatniego oporu i pozbawiona wody. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, by bitwa trwała na tyle długo, aby wyczerpali nawet te zapasy, które mieli.

— Żadnych ataków? — zapytał Conan.

— Czy znajdowalibyśmy się tutaj, gdyby były? A kim jest ten przerośnięty chłopiec?

Mężczyzna ponownie nie zrozumiał słów, ale wyczuł drwinę w głosie Farada. To

wystarczyło, aby obnażył sztylet. Cymmerianin natychmiast wytrącił mu go z ręki, potem podniósł i wsadził sobie za pas.

— Masz szczęście, że żyjesz — powiedział. — Zatrzymam ten nóż, dopóki nie powiesz nam, co się dzieje na górze. Dlaczego boisz się Girumgi?

Mężczyzna zaczął udzielać pospiesznych wyjaśnień. Cymmerianin rozumiał może dwa słowa na trzy, ale kiedy przypomniał sobie, że Girumgi byli jednym z potężniejszych pustynnych plemion, znalazł w opowieści mężczyzny więcej sensu. Zanim ten skończył, Conan usłyszał, że krzyki na wzgórzu milkną. Wydało mu się także, iż doszedł go dźwięk turańskich rogów wojennych, na tyle jednak niewyraźny i daleki, że nie sposób było stwierdzić z całą pewnością, czy nie jest to tylko złudzenie wywołane pustynnym wiatrem zawodzącym wśród skał.

Conan pokazał rękoma sygnał: Przygotujcie się do ataku. Farad skinął głową i rozpiął pas, aby związać nim ręce jeńca. Mężczyzna potrząsnął głową i wzniosł oczy do góry na znak dezaprobaty. Cymmerianin spojrzał na niego groźnie.

— Poderżnie ci gardło, jeżeli sienie podporządkujesz, a ja go nie powstrzymam — rzekł.
— Ja nie walczyć, ja być twój przyjaciel. Ja walczyć z Girumgi — powiedział jeniec i energicznym gestem wskazał na szczyt.

Conan zrozumiał, że Girumgi szykują się do ataku. Ale nie było to wszystko, czego potrzebował do wyjaśnienia zagadki. Skinął na Farada, który zadzierzgnął rzemień wokół nadgarstków mężczyzny i zaczął go ściągać.

Chwilę potem wydawało się, że na wzgórzu rozszalały się demony. Krzyczało przynajmniej pięćdziesięciu ludzi, ze strachu lub w śmiertelnej agonii. Przez wycie przebijał się odgłos turańskich rogów wojennych, tym razem już nie tak daleki. Było nawet lepiej, niektóre z wojennych okrzyków z pewnością wydawali Turańczycy.

Conan spojrział na jeńca, który był blady ze strachu. Potem popatrzył na Farada, a ten zrobił taką minę, jakby chciał rzec: Czy masz mnie za wyrocznię?

Cymmerianin przesunął się na najbliższą pozycję, z której mógł dostrzec, co dzieje się na wzgórzu, zorientować się, gdzie posłać strzałę, nie narażając przyjaciół.

Muhbaras nie oczekiwał drugiego życia na innym świecie, ponieważ przez zbyt długi czas służył zbyt wielu złym panom. Nie spodziewał się, by ktokolwiek mówił dobrze o jego śmierci lub ułożył na ten temat poemat, który będą śpiewać w halach khorajańskich możnych. Wątpił także, by jego śmierć mogła stanowić zadośćuczynienie dla duszy Danara. Tym, czego Muhbaras nie wiedział o czarach, można by zapełnić kilka długich zwojów. Wiedział jednak, że chłodna stal, taka jak ostrze miecza, może zakłócić wiele zaklęć.

Wszystkie te myśli przemknęły przez jego głowę w czasie krótszym niż uderzenie serca.

Chwilę później język ognia strzelił do przodu, wytrącając miecz z jego dłoni tak gwałtownie, że rękojeść zraniła mu dłoń.

Ognisty język skręcał się w powietrzu niczym śmiertelnie ugodzony wąż. Pani Mgieł rozstawiła szerzej nogi, starając się nie upaść. Muhbaras usłyszał, jak śpiewa, a potem krzyczy tak głośno, że jej głos przebił się nawet przez agonię Danara. Był jednak zbyt zaskoczony faktem, że jeszcze żyje, aby przyjrzeć się uważnie jej twarzy.

Spodziewał się, iż to on umrze następny. Nie padł martwy w chwili, gdy jego miecz przebił ogień. Obawiał się więc że czeka go cierpienie, Przy którym męki Danara będą wyglądały na łagodne.

Krzyk Danara się urwał. Ogień dookoła niego znikł. Pozostał tylko szary popiół, który z wieczornym wiatrem opadał powoli w dolinie, unosząc z sobą to, co pozostało z życia, bólu i strachu.

Pani Mgieł znowu śpiewała, a język ognia chwiał się jak ogon ogromnego kota. Wszystkie Panny się cofnęły, na platformie pozostali tylko czarodziejka i Muhbaras. Stał nieruchomo, jakby jego stopy zamieniły się w kamień i połączyły z tarasem. Spojrzał na dół, by się upewnić, że nic takiego się nie stało.

Nadal żył, ale wiedział, że nie potrwa to długo. Praktycznie był martwym człowiekiem, który jeszcze stoi, nie mógł jednak zachować się niegodnie w ostatnich chwilach swego życia, szukając ucieczki. Być może jego śmierć nie przesłaby nie zauważona, przynajmniej między Pannami. Niektóre z nich miały z pewnością bardziej dusze kobiet niż wieźm. Danar tego dowiódł. Może nie okażą się aż tak bezwolnymi narzędziami swojej szalonej mistrzyni, będąc świadkami śmierci Muhbarasa?

Nagle w jednej chwili język ognia skurczył się do wysokości człowieka. Potem kurczył się dalej, w kulę nie większą niż jabłko, wreszcie upadł na kamienie i zniknął. W miejscu, gdzie uderzył, podniósł się dym. Muhbaras zobaczył, że kamień gotuje się i zamienia w lawę.

Stali oboje, czarodziejka i najemnik, wpatrując się w siebie ponad płamą stygnącej lawy.

Gdyby ciszy dokoła nich można by teraz dotknąć, to okazałaby się ona z brązu lub z kamienia, wiążąc ich kończyny tak mocno, że sama myśl o ruchu wydawała się daremna.

Tylko wznoszenie i opadanie piersi Pani powiedziało Muhbarasowi, że czarodziejka jeszcze żyje.

Nie wiedział dlaczego, ale w miarę jak mijały kolejne chwile, poczuł, że może nie będzie musiał umrzeć. Zaraz jednak pomyślał: Porzuć nadzieję. Śmierć, która przychodzi mimo nadziei, jest najstraszniejsza.

Ale potem pojawiła się inna myśl — że uczynił coś, czego Pani Mgieł nie mogła się spodziewać i teraz nie wie, co z tym zrobić. Dopóki się wahała, mógł żyć.

Nie próbował nawet ucieczki, kiedy czarodziejka stała tak zadziwiona i wątpiąca, może po

raz pierwszy, od kiedy zawładnęła doliną. Gdyby potrafił wskazać tego przyczynę, okazałoby się, że uważa, iż każdy jego ruch mógłby złamać ten kruchy rozejm.

Ciszę przerwał jakiś dźwięk — brzęk stali na kamieniach. Muhbaras wciąż się nie poruszał. Nie musiał tego robić. Nawet nie poruszając oczami, ujrzał swój miecz, leżący pomiędzy nim a czarodziejką. Spodziewał się, że ostrze będzie szerniałe i skręcone.

Tymczasem lśniło, jakby najbiegły pług świata strawił całe dnie na nadawaniu blasku stali. Na rękojeści, tam, gdzie poprzednio znajdowało się tylko kilka srebrnych krążków, błyszcząły klejnoty.

— Podnieś to — powiedziała Pani Mgieł.

Tak mu się przynajmniej zdawało. Nie odważyłby się przysiąc, że słowa te nie dotarły do niego po prostu z powietrza, wiedział jednak, że postąpi źle, zmuszając Panią Mgieł, by powtórzyła rozkaz.

Przysiadł i nie odrywając oczu od jej twarzy, uniósł miecz. Był lżejszy i tak dobrze wyważony, jak nigdy przedtem. Muhbaras słyszał już o takich mieczach w starych opowieściach o bohaterach, którzy umarli, gdy fale przetoczyły się ponad świeżym grobowcem Atlantis, ale trudno mu było uwierzyć, że jego własny stary miecz zmienił się w taką broń.

— Odetnij pukiel swoich włosów tym ostrzem, dostojny kapitanie — rozkazała Pani Mgieł.

Tym razem Muhbaras wiedział, że to ona przemówiła. Wiedział także, iż nie powinien być nieposłuszny. Wykonał polecenie i w tym momencie przypomniał sobie inną starą opowieść: Jeśli dasz wiedźmie cokolwiek, co należy do ciebie, może ona rzucić potężne zaklęcie przeciwko tobie albo uczynić z ciebie swego sługę. Muhbaras zastanowił się nad tym, a potem pomyślał o odmowie.

Zamiast zamienić go na popiół, Pani Mgieł uśmiechnęła się, jakby próbowała uspokoić zarówno siebie, jak i jego. Wydawało się to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne.

Czyżby czarodziejka miała wyrzuty sumienia? W takim razie dlaczego postąpiła z Danarem tak, jak postąpiła? Na twarzy Pani znów pojawił się uśmiech, który po chwili Muhbaras odwzajemnił. Później dał krok do przodu, nie ofiarował jednak czarodziejce pasma włosów ani też nie usunął myśli o oporze ze swego umysłu.

— Nie musisz się obawiać daru, jaki masz złożyć, dostojny kapitanie — powiedziała Pani Mgieł.

Zlustrowała go od stóp do głów złotymi kocimi oczami. Muhbaras nie mógł uwolnić się od myśli, że ma do czynienia z kobietą, która patrzy na niego jak na mężczyznę. W jej oczach było coś, na pewno nie czułość, ale z pewnością jakieś ciepło. Ta myśl również nie wywołała niosącego śmierć zaklęcia.

Muhbaras zrobił drugi krok i tym razem Pani Mgieł także się poruszyła. Dotknęły go zimne dłonie, sięgając aż do nadgarstków. Szybko się zacisnęły i wycofały z kilkoma włosami ściśniętymi między kciukiem a palcem wskazującym.

W tym momencie przestał cokolwiek widzieć, słyszeć i czuć. Gdy powróciła mu świadomość, zobaczył, że stoi w tym samym miejscu, otoczony przez osiem Panien, pod niebem, z którego już prawie spęzło światło dnia.

Nie zdziwiło go, że Panny wyglądają teraz raczej jak niecierpliwe kobiety, a nie córki bogini wojowników. Nie zadziwiło go nawet to, że niektóre z nich drżały w wieczornym chłodzie.

Gdy przemówił, jego głos zadrżał, co, jak miał nadzieję, było już ostatnią niespodzianką tego wieczoru.

— Nie musicie iść wszystkie, chyba że tak rozkazała nasza Pani.

— Pani rozkazała, że mają iść wszystkie — odpowiedziała jedna; z Panien głosem nawet bardziej bezbarwnym niż wcześniej. Widać było, że nie są na tyle poruszone, by kierować się raczej jego sugestiami niż rozkazami Pani Mgieł.

Conan wracał do groty, nie znalazłszy miejsca dogodnego do strzału, gdy zdało się, iż zbocze wzgórza pogrąża się w całkowitym chaosie, takim jak przy stworzeniu świata. Pył wzbił się niby burza piaskowa, a z brązowej chmury wytaczali się, wyskakiwali i wybiegali wojownicy. Pomimo kurzu Conan mógł rozpoznać wśród nich nomadów, niewątpliwie Girumgi, oraz turańskie Zielone Płaszcze. Widocznie oddział Khezala przyjechał Conanowi z pomocą.

Przybycie przyjaciół nie zapewniało jednak zwycięstwa ani nawet przetrwania.

Koczownicy kłębiący się u stóp wzgórza byli bardzo liczni. Ponadto mogli strzelać albo w dół, albo w górę, nie ryzykując trafienia towarzyszy. Turańczycy nie mieli takiego szczęścia.

Najlepiej polegać na stali, pomyślał Cymmerianin, a potem krzyknął to głośno.

Zaprotestował jeden z łuczników Afghuli, ale Farad chwycił za jego luk, jakby chciał go złamać. Łucznik wyciągnął długi nóż, który Conan uważał za najlepszą broń w starciu wręcz.

Teraz podeszli już do nich Girumgi.

Conan rzucił jedno szybkie spojrzenie na lewo, gdzie nikt nie strzelał ani nie krzyczał.

Potem widział już tylko skały po obu stronach i pokrytego pyłem nomadę o dzikim wzroku.

Uderzył mocno z prawej strony w klatkę piersiową przeciwnika, złapał jego lewy bark i ciął w dół. Przedramię mężczyzny i jego handzar upadły na ziemię, a on sam krzyknął i próbował pchnąć Conana w twarz krwawiącym kikutem. Kres wysiłkom umierającego położyło ostrze barbarzyńcy, wbijając się głęboko w tors i docierając do serca.

Koczownik upadł w wąskim przejściu między dwiema skałami, częściowo je blokując.

Conan, odchyliwszy się, porwał kamień i cisnął go w następnego Girumgi, który pojawił się w przejściu. Kamień zamienił jego twarz w krwawą miazgę. Nomada potykając się nadział się na ostrze przed chwilą wyciągniętego sztyletu barbarzyńcy i padł na swego towarzysza.

Wypuszczona z prawej strony strzała świsnęła tuż przy uchu Cymmerianina. Zwrócił się w tamtym kierunku, porwawszy inny kamień i skoczył do przodu. Koczownik, który strzelał, był zbyt blisko, by w niego rzucić. Z tej odległości nie powinien był chybić, ale panika i pośpiech sprawiają, że nawet najlepszy wojownik staje się niewiele więcej wart od dziecka, a z pewnością o wiele mniej od Conana. Cymmerianin uderzył łuczника obciążoną kamieniem lewą ręką i przebił mieczem jego bark. Głowa mężczyzny z trzaskiem poleciała do tyłu, zapewne łamiąc mu kark. Zatoczył się na nomadę, który stał za nim. Ten chciał uskoczyć, ale w tym momencie miecz Conana dotarł do jego gardła. Obaj koczownicy upadli, jeden na drugiego.

Teraz Conan stanął w otwartej przestrzeni. Mógł zostać trafiony strzałą z łuku, mogli go też otoczyć nomadzi. Wycofał się więc w stronę wąskiego przejścia, mieszczącego tylko jednego mężczyznę. Zanim tam dotarł, musiał zabić kolejnego koczownika. Z okrzyków i wycia po obu stronach wywnioskował, że jego towarzyszom lepiej się poszczęściło.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Conan znalazł wreszcie chwilę, by złapać oddech i z grubsza oczyścić ostrza, kiedy w dole rozległy się krzyki ludzi, zmieszane z rżeniem spłoszonych i śmiertelnie ranionych koni. I powtórnie wśród owych wojennych okrzyków rozpoznał turańskie zawołania. Ledwo miał czas zastanowić się, że w tej bitwie roi się od zagadek, gdy pojawiło się jeszcze więcej uciekających napastników. Wydawało się, że przyszli z dołu, ale pragnęli tak bardzo wspiąć się na wzgórze, jak ich towarzysze przedtem chcieli zejść.

— Na Croma! — zawołał Cymmerianin. — Te wszy nawet nie pozwolą człowiekowi

zatrzymać się, żeby oczyścić miecz.

Ruszył do przodu walczyć z nowymi wrogami, ale musiał uskoczyć, gdy spadł koło niego grad strzał. Jedna rozdarła mu lewe przedramię. Rana nie była głęboka. Zdarzało mu się już walczyć cały dzień, nosząc tuzin podobnych, a ta bitwa z pewnością nie potrwa tak długo. Strzała nie wyrządziła Cymmerianinowi większej krzywdy, ale niewiele brakowało, by uczynił to Girumgi, który leżał tuż za nim. Gdy Conan się wycofywał, chwycił go za kostki i pociągnął. Większość ludzi mogłaby równie dobrze próbować poruszyć góry Kezankian, ale koczownik był wielkim mężczyzną i miał w sobie desperację umierającego. W chwili gdy złapał barbarzyńcę, ten stracił równowagę. Zachwiał się, ale padając zdołał jeszcze rozpocząć atak. Jego pięść otarła się o szczękę mężczyzny, lecz głowa nie otarła się, a uderzyła o wystającą skałę. Czaszka mniej twarda z pewnością by pękła, a nawet i Cymmerianin zobaczył ciemność, w której tańczyły płomienie. Wtedy umierający Girumgi przetoczył się na niego, mierząc sztyletem w gardło.

Jednak sztylet nie sięgnął celu. Za koczownikiem stanęła szczupła postać i miecz o złotej rękojeści spadł na niego jak gniew Croma. Czaszka nomady rozpadła się na dwie części, a jego sztylet osunął się na pierś Conana. Do tego czasu Cymmerianin mógł już skupić wzrok dostatecznie, aby rozpoznać przybysza.

— Kheza! Na hełm Erlika, przybywasz w samą porę!

— Musisz być poważnie ranny, mój przyjacielu, gdyż twoja mowa jest tak dworna, że aż sprzeciwia się to naturze.

— Czy chciałbyś, abym wstał i udusił cię, aby dowieść czegoś wręcz przeciwnego?

— Bynajmniej. Jeśli mógłbym prosić o niektóre z tych klejnotów...

— Te należące do mnie, jak mniemam. Jeśli weźmiesz jakikolwiek z części Afghuli, zrzucę cię głową w dół do suchej studni, a potem pogrzebię pod wielbłądzim łajnem.

Khezał udał, że się zżyma, a potem odwrócił głowę, by przysłuchać się odległemu dźwiękowi, którego Conan nie mógł słyszeć, gdyż wciąż jeszcze huczało mu w uszach.

— To sierżant, który oblegał twoich zbiegłych Afghuli — wyjaśnił Turańczyk.

— A co on tutaj robi?

— Kiedy ja się o tym dowiem, ty będziesz następny. Zdążył mi tylko powiedzieć, że on i jego ludzie wypędzili konie koczowników z doliny, a teraz ścigają uciekinierów na piechotę.

— Lepiej ich niż mnie — powiedział Conan. Spróbował usiąść, a ziemia zakółsała się tylko umiarkowanie.

— Hej tam! Nosze dla kapitana Conana! — krzyknął Khezał.

— Odnosiłem już cięższe obrażenia, wypadłszy z kolebki — przekomarzał się Cymmerianin.

— Ale wtedy nie było to tak wysoko jak teraz, kiedy już urosłeś — powiedział Khezał.

Pchnął przy tym Cymmerianina tak, iż ten się położył. Fakt, że Turańczyk mógł to zrobić, a on nawet nie próbował się, temu sprzeciwić, przekonał nawet Conana, iż powinien pozostawić losy bitwy w rękach Kheżala. Nie wątpił, że odniosą w niej zdecydowane zwycięstwo, nawet jeśli nie wiedział jeszcze dokładnie, w jaki sposób. Obawiał się, że więcej czasu zajmie mu odkrycie, czy była to ostatnia potyczka, jaką przyszło im stoczyć w czasie wyprawy w góry Kezankian, czy też, jak podejrzewał, tylko pierwsza z wielu.

Były to jednak zbyt poważne rozważania dla mężczyzny, którego boli głowa, więc Conan przyjął wygodną pozycję i poczekał na nosze.

Kapitan Muhbaras jechał w kierunku swych kwater. Zazwyczaj chodził tędy na piechotę, ponieważ ścieżka była zbyt stroma dla koni, a godność wojownika nie pozwalała mu dosiadać osła. Dziś jednak więcej godności utraciłby spadając prosto na nos i staczając się w dół, niż

jadąc na osle. Jego nogi nie były tak słabe od czasu, gdy po raz pierwszy maszerował z całym oddziałem od świtu do zachodu słońca. Pani Mgieł patrzyła na niego jak na mężczyznę. W to nie wątpił. Na domiar złego uczyniła to w obecności Panien, które mogły być nielojalne albo niedyskretne. Tak więc, jakiegokolwiek czarodziejka miała myśli, być może nie są już tajemnicą.

To, że Pani Mgieł rozważała taką rzecz w podobny sposób, nie mogło skończyć się szczęśliwie. Istniały różne opowieści o losie kochanków wiedźm, a żadna z nich nie pozostawiała wiele nadziei na uniknięcie straszego losu. Z drugiej strony obrażenie Pani Mgieł odbierałoby nadzieję na bezpieczeństwo dla jego ludzi. Już raz nimi zaryzykował, aby ocalić swój honor, i cudem albo za sprawą kaprysu czarodziejki, która jeszcze była kobietą, udało im się wszystkim ująć cało. Za drugim razem los może nie okazać się aż tak łaskawy.

— A więc Girumgi zamierzają wzniecić rebelię? — zapytał Conan.

— Na to wygląda — odparł Khezał.

— Zatem jedna zagadka rozwiązana — Cymmerianin odchrząknął i nalał sobie wina do pucharu.

— Jesteś pewien, że powinieneś...? — zaczął Khezał.

— Jestem pewny, że nie po to uczyłeś się rzemiosła wojennego od Khadyjara i swojego ojca, aby być moją niańką — burknął Conan. — Głowa już prawie mnie nie boli, choć widzę tylko to, co jest przede mną. Nie wymiotowałem jednak ani nie straciłem przytomności.

— To dowodzi, że głowy Cymmerian są naprawdę twardsze od kamieni — wtrącił Farad.

Conan rozłożył w powietrzu ręce udając wstręt.

— Skoro moja głowa nadaje się już do myślenia, to może pomyślimy, co robić dalej?

Jeniec, którego wziął Conan, pochodził z klanu Ekinari. Syn wodza Ekinari zawarł braterstwo krwi z wodzem Girumgi. To wyjaśniało, dlaczego Ekinari jechali razem z

Girumgi, ale pozostawało jeszcze pytanie, czemu nie walczyli ramię przy ramieniu.

— Nawet gdybyś znał mowę tego plemienia, to nie mógłbyś uzyskać odpowiedzi od tego mężczyzny, ponieważ on sam jej nie zna — kontynuował Khezał. — Nie pomaga również w tej sprawie fakt, że reszta klanu uciekła, jakby następowało im na pięty pięćdziesiąt demonów.

— Demony, a może wszyscy pozostali Girumgi? — powiedział Farad.

— Ci, dzięki łasce Mitry, byli zupełnie nieliczni — zauważył Khezał. Conan pomyślał, że Turańczyk ma słuszość. Wyglądało na to, iż Khezał nie był jedynym, który nadciągnął słysząc odgłosy walki. Zielone Płaszczce oblegały zbiegłych Afghuli, kiedy zgiełk bitewny wzrósł. Dowódca Afghuli, przekonany, że bitwa musi wciągnąć Conana spieszącego im z pomocą, zaproponował negocjacje i zaoferował warunki rozejmu. Afghuli mieli zwolnić wszystkich zakładników bez okupu i zwrócić im broń. W zamian Zielone Płaszczce przysięgli nie skrzywdzić żadnego z Afghuli, dopóki będą razem walczyć ze wspólnym wrogiem. Zielone Płaszczce przyjęły ofertę i rozejm zaprzysiężono. Miał trwać dopóty, dopóki obie strony nie zostaną z niego zwolnione przez swych dowódców. Turańczycy byli pewni przybycia Khezała, tak samo jak Afghuli nadejścia Conana. Pragnęli ponadto przyłączyć się do bitwy pod dowództwem swego ukochanego kapitana.

Tak więc Zielone Płaszczce i Afghuli odjechali razem, szerząc w dolinie spustoszenie na tyłach koczowników. Wzięli bogaty łup, składający się z koni, uzbrojenia i bagaży.

Pozostawili także za sobą ciała około pięćdziesięciu koczowników. Nowi sprzymierzeńcy stracili nie więcej niż siedmiu ludzi. Zostali oni złożeni w kamiennym kurhanie.

Khezał okazał się dobrym towarzyszem oraz mądrym i doświadczonego dowódcą. Conan przysięgł, że pojedzie z nim na północ, i nie zamierzał złamać tej przysięgi, choćby wszystkie demony pustyni, wszystkie jej plemiona, wszyscy ich wodzowie i synowie wodzów stanęli im

na drodze. Nie spodziewał się jednak, że powróci z tej wyprawy żywy.

ROZDZIAŁ X

Byli już cztery dni jazdy na północ od miejsca, w którym stoczyli bitwę z Girungi. Góry Kezankian majaczyły na horyzoncie, a śnieżne czapy na wyższych szczytach nabierały różowej barwy o wschodzie i o zachodzie słońca. Wiatr przynosił wieści o świecie położonym poza pustynią, co cieszyło Conana i Afghuli, ale Khezał nie był tak radosny i sądził, że ma ku temu powody.

— Jesteśmy w miejscu, z którego niedaleko już do szlaków karawan — powiedział Cymmerianin — a ty jeszcze się skarżysz. Są tutaj studnie z wodą, drzewa, które dają cień, a nawet jaskinie, w których mogliby się schronić nasi ludzie, jeśli zachorowaliby lub poraziłoby ich słońce. Czego właściwie chcesz? Żeby smoki zaniósł nas do gór Kezankian, zanim zliczysz do dziesięciu?

— Wolałbym raczej nakłonić je, by poszukały w górach rozwiązania tajemnic i przyniosły nam wieść o tym, czego się dowiedziały — oznajmił Khezał.

— A nie wolałbyś, żeby przy tym od razu zabiły czarowników?

— Nie odważyłbym się postawić siły smoka przeciwko mocy czarowników, jeśli ci ostatni potrafią dokonać bodaj połowy tych rzeczy, które czynią w opowieściach — odpowiedział Khezał, wzruszając ramionami. — Ponadto mam podobne do twojego zdanie, jeżeli chodzi o zadawanie się z zaklinaczami. Nie należy się z nimi bawić w uprawiane przez nich gierki, ale podejść blisko i nakarmić stałą właściwej długości.

Conan skinieniem głowy wyraził aprobatę.

— Cóż więc cię trapi, mój przyjacielu?

— Tym, co mnie trapi, jest fakt, iż jedziemy ku jeszcze jednej tajemnicy. Nie udawaj, że w głębi duszy jesteś mniej niespokojny ode mnie. Co więcej, zabiliśmy dwie dwudziestki Girumgi i jeśli nie wszczęli oni otwartego buntu przeciwko królowi, to na pewno zwołają się, by wyrzucić na nas krwawą zemstę.

— Ha! W takim razie nie pozostanie wielu Girumgi, którzy będą się buntować, jeśli wcześniej spotkają się z nami. Ponadto, jeśli my obaj będziemy wracać do tej bitwy, to i twój, i moi ludzie łatwiej zapomną, że kiedykolwiek dzieliło ich coś więcej niż kwaśne spojrzenia.

Khezał odwrócił się i spojrzał na Afghuli jadących za Conanem w zwartej grupie.

Niektórzy Turańczycy jechali swobodnie obok nich, gawędząc tak, jakby byli od lat towarzyszami. Jednak inne Zielone Płaszczki trzymały się od nich z daleka, a ich spojrzenia nie wróżyły niczego dobrego. Z kolei Afghuli groźnie rozglądali się wokoło, a ręce, w których zazwyczaj trzymali miecze, przez cały czas pozostawały wolne.

— Mów za własnych ludzi — rzekł Khezał. — Ja jestem pewny większości moich. Ale zawsze znajdzie się jeden taki, który jest obciążony dziedzictwem krwawej zemsty, albo też trawi go smutek i gniew po straconym towarzyszczu. A taki może złamać nawet najlepszą dyscyplinę. Będę strzegł twoich pleców, Conanie, ale nie mogę obiecać, że to wystarczy.

— Jesteś wojownikiem, a nie bogiem — odpowiedział Conan, klepiąc Khezała po plecach tak silnie, że prawie zrzucił szczupłego Turańczyka z siodła. Kapitan spojrzał ze złością, a potem raz jeszcze popatrzył w przód.

— Najlepiej zrobimy, jeśli natychmiast poszukamy miejsca na obóz, i to w pobliżu wody

— odezwał się. — Koniecznie w pobliżu wody — dodał po chwili.

— A to czemu?

— Czy widzisz tę mgłę na horyzoncie?

Conan podążył wzrokiem po linii wskazanej przez wyciągnięty palec kapitana. Horyzont

rzeczywiście wydawał się zamglony i jakby rozmyty. Wyglądał mniej więcej tak, jakby patrzyło się na niego po wieczornym pijaństwie. Tyle tylko, że żaden spośród jeźdźców nie tknął wina od tak długiego czasu, że prawie zapomnieli, jakie to przyjemne.

— Burza piaskowa?

— Widzę, że nie zapomniałeś wszystkiego, czego się nauczyłeś w turańskiej służbie.

— Nie, chociaż jedną z rzeczy, które mimo wszystko zapomniałem, jest twój język.

Któregoś dnia Yezdigerd może kazać ci go wyrwać.

— A ty zapewne dasz katu napiwek?

Chłód w głosie Khezala powiedział Conanowi więcej, niż chciałby wiedzieć o tym, w jak niepewnej sytuacji mogą się znaleźć najuczciwsi nawet ludzie pod rządami bezwzględnego władcy.

— Skręcę mu kark, przywrócę cię życiu i ofiaruję wolność — zadeklarował Cymmerianin

— ale nie będę oczekiwał za to podziękowania.

— Znasz mnie dobrze — powiedział Khezal — a teraz, jeśli znasz także tę pustynię, poszukajmy miejsca na obóz. O tej porze roku jazda podczas burzy oznacza pewną śmierć, a niemałym ryzykiem jest nawet obozowanie w miejscu oddalonym od wody. Wszak może wiać przez parę dni.

Wiatr zawodził monotonie, niekiedy podnosząc się aż do lamentu. Muhbaras drżał, nie tyle z powodu jęków wichury, ile na myśl o mężczyźnie siedzącym po drugiej stronie pokoju. Poprzez dym wychodzący z napełnionego węglami kosza twarz Ermika wyglądała na bardziej zadowoloną z siebie i pełniejszą niż zwykle. Trudno było w to uwierzyć, ale przez cały czas, jaki spędził w górach, Ermik nie stracił ani funta. Muhbaras zastanawiał się, ile pieniędzy wydał na łapówki, wyciskając z litej skały wystawne bankiety, i ile zabił jucznych zwierząt,

sprawdając luksusowe produkty z bardziej cywilizowanych krajów czy nawet z samej Khorai. Szpieg przyszedł porozmawiać o plotce, która ostatnio krążyła w dolinie. Po trzech pucharach wina Muhbarasa pozostawało mu jeszcze przedstawić ją w odpowiednich słowach. Głos Muhbarasa stwardniał.

— Powiedz mi, co to za plotka, albo zatrzymaj ją dla siebie.

— A co zrobisz, jeśli nie uczynię ani jednego, ani drugiego? — drażnił się Ermik.

— Naprawdę chcesz się tego dowiedzieć? — zapytał Muhbaras, coraz bardziej zniecierpliwiony.

Ermik wzruszył ramionami.

— Mam tylu przyjaciół, ilu miałem wcześniej. Ty również, ale zawsze miałeś ich niewielu

— powiedział. — To, o czym chcę mówić, dotyczy sposobu, w jaki obaj możemy zyskać tutaj więcej przyjaciół.

— Będziemy mieli mniej przyjaciół i wielu wrogów, jeśli nie przestaniesz włóczyć się tam, gdzie nie wolno chodzić naszym ludziom. To zaś jest tak samo prawdziwe teraz, jak i wcześniej.

— Wątpię, czy twój strach jest dobrym doradcą.

— Albo nie nazywaj mnie tchórzem, albo przygotuj się na to, że stracisz język — warknął Muhbaras.

Zdawało się, iż tym razem Ermik zrozumiał, że mężczyzna, który potrafi wyciągnąć stal w czasie krótszym niż jedno uderzenie serca, może być niebezpieczny. Skłonił więc głowę w geście zarazem uprzejmym i pogardliwym.

— Proszę o wybaczenie. Nie nazywam cię tchórzem, ale i ty nie nazywaj mnie głupcem, dopóki nie dam ci na to więcej dowodów, niż dałem do tej pory.

Westchnął i ciągnął dalej:

— Panny mówią, że Pani Mgieł pożąda ciebie tak, jak kobieta pożąda mężczyznę. Nie zdradziły, skąd o tym wiedzą, i bez wątpienia jest to kolejna zagadka Doliny Mgieł i jej władczyni. Ale Panna, która mi o tym powiedziała, zaklinała się na wszystkich bogów, jakich znam i jakich nie znam, więc jestem pewny, iż mówiła prawdę. Przynajmniej tak jak ją pojmuje.

Ermik przejawiał niezwykłą dla niego troskę o dobór właściwych słów, ale Muhbaras nadal pozostawał czujny.

— Tak więc musimy stawić czoło czarodziejce, która zaczęła myśleć lędźwiami, tak jak robi to wiele zwykłych kobiet — powiedział po chwili. — Jednak wiele kobiet panuje nad swoimi lędźwiami albo przynajmniej nie włóczy się jak głodujące lwice w poszukiwaniu mężczyzn, którzy by je obsłużyli.

— Niewątpliwie wiele tak robi, o ile znajdą bodaj kilku chętnych mężczyzn — odpowiedział Ermik. — Ale nie sądzę, aby Pani Mgieł była jedną z nich.

Nawet rozżarzone do czerwoności szczypce i wrzący olej nie wydobyłyby teraz z kapitana opisu twarzy Pani Mgieł. Jeżeli jednak Panny były jeszcze na tyle kobietami, aby rozpoznać pożądanie, to szpieg nie potrzebował takiego opisu. Albo...

— Dlaczego ja? — Nawet w jego własnych uszach te słowa zabrzmiały patetycznie.

Ermik roześmiał się głośno.

— A dlaczego nie ty? Nie wiem, w jaki sposób kobieta ocenia mężczyznę, ale nie ma wątpliwości, że Władczyni Mgieł dostrzega w tobie coś, czego pragnie.

— Tak, ale dlaczego ja, skoro potrzebuje jakiegokolwiek mężczyzny?

— Któż może wiedzieć, czym kieruje się kobieta? Oczywiście możesz mieć rację. Jeśli nie zależy jej specjalnie na tym, który mężczyzna zaoferuje się jako pierwszy, to ja...

— Nie!

— Zazdrosny?

Tym razem Muhbaras naprawdę wstał ze stołka, ale powstrzymał się przed obnażeniem miecza. Ermik okazał przynajmniej tyle przyzwoitości, by nie śmiać się z niego.

— Cały ten pomysł zaprowadzenia Pani Mgieł do łóżka graniczy z szaleństwem — powiedział Muhbaras, gdy odzyskał panowanie nad głosem. — Nie wiadomo, co zadowoli Jej Magiczność, ani też co jej nie zadowoli, ani tym bardziej, co zrobi z mężczyzną, który nie zdoła jej zadowolić. Ponadto nie jest rozsądna, jeśli chodzi o Panny. Pewnie nie wiesz, jak to wygląda dla kogoś, kto prowadził żołnierzy w bitwie.

— Czy rozumiesz przez to, że Pani Mgieł jest jakby kapitanem swoich Panien — żołnierzy?

— Tak, i bierze udział w wojnie, która ma zapewnić zwycięstwo jej magii.

— Może być i tak — orzekł Ermik.

Potem, nie pytając Muhbarasa o pozwolenie, podszedł do dzbana z winem znajdującego się w kamiennej kadzi do połowy wypełnionej zimną wodą. Kapitan zauważył, że drżenie rąk Ermika zmniejszyło się, gdy jednym haustem wypił wino.

— Tak właśnie jest — powiedział Muhbaras. — A jedna z reguł, których przestrzegają mądrzy dowódcy, brzmi: nigdy nie ulegaj żadnym przyjemnościom, których zabraniasz własnym ludziom. Czy myślisz, że Khoraja odniesie korzyść z buntu Panien, który doprowadzi do wojny w dolinie i zrujnuje nasze plany zagrożenia Turanowi?

— Nie — odpowiedział Ermik. — Ale nie skorzysta także wtedy, gdy wzgardzona kobieta obróci się przeciwko nam i naszym planom. Jak myślisz, czy długo byśmy żyli, gdyby Pani Mgieł użyła przeciwko nam swej magii?

Muhbaras odpowiedział, że wątpi, by człowiek był w stanie zmierzyć tak krótki przedział czasu.

— A zatem Pani Mgieł nie powinna czuć się wzgardzona, nawet jeśli to sprawi, że jej Panny będą zazdrosne. Niczego nie musimy się specjalnie obawiać. A nie musimy się obawiać w ogóle, jeśli mężczyzna uda się do niej dyskretnie.

— To oznacza, że z całą pewnością nie możesz to być ty — odpowiedział Muhbaras.

Ledwo skończył mówić, zamknął usta, aż trzasnęły zęby, gdyż zdał sobie sprawę, że dał się zwabić w pułapkę z chytrze dobraną przynętą. Zmusił się do śmiechu.

— Widzę, że mówiłem o sobie tak, jakbym to ja miał spełniać życzenia czarodziejki, która, oczywiście, pragnie, bym śpiewał w tawernie piosenki o kuglarzu dojącym kozę.

Teraz Ermik się roześmiał. Muhbaras dolał mu wina, opróżniając dzban. W jego własnym pucharze pozostało jeszcze dość, by przepłukać wyschnięte gardło. Jednak nawet całe wino świata nie mogłoby pomóc w udzieleniu odpowiedzi na najważniejsze pytanie: Jak zwykły mężczyzna może nasycić zgłodniałą czarodziejkę?

Burza srożyła się w nocy i następnego dnia ciągle jeszcze wiał wiatr. W obrębie obozowiska nie było studni, ponieważ Khezał i Conan wybrali miejsce dogodne do ewentualnej obrony. Na szczęście jednak znajdowała się blisko i dzięki linie przeciągniętej pomiędzy najdalej wysuniętym posterunkiem straży a studnią noszący wodę mogli chodzić bezpiecznie tam i z powrotem, nawet gdy piasek ograniczał widoczność do odległości wyciągniętego ramienia. Jeden z Zielonych Płaszczy, mężczyzna jeszcze nie obeznany z pustynią, oddalił się od liny. Miał na tyle rozumu, by zatrzymać się tam, gdzie zaskoczyła go noc. A ponieważ właśnie wracał od studni z workami pełnymi wody, nie ucierpiał z pragnienia. Wrócił rankiem, cały zsiepany przez piasek, ale nie odniósł innych obrażeń. Khezał nakazał zwinąć obóz. Piasek wciąż spadał z zakurzonego, mrocznego nieba, a horyzont był ledwo widoczny. Kapitan powiedział, że następne obozowisko rozbije w

miejscu, gdzie są dwie studnie, a w dodatku można się tam bronić przed całą armią.

— Czy nawet taką, która nie liczy się ze stratami, jeśli może pognębić przeciwnika? — spytał Conan.

— Dobrze rozumiesz koczowników, Conanie.

— Jestem Cymmerianinem.

— Rozumiesz ich dobrze — podjął Khezał — ale nie do końca. Żaden wódz nie może sobie pozwolić na stratę zbyt wielu wojowników. Wtedy pozostali mogliby się obrócić przeciwko niemu. A jeśli nawet pozostaliby lojalni, byłoby ich zbyt mało i jego plemię lub klan mogłoby ulec liczniejszemu przeciwnikowi lub też on sam mógłby wpaść w ręce niedoszłemu wodzowi, który znalazłby więcej popleczników. Tak więc rzadko się zdarza, aby koczownicy walczyli do ostatniego człowieka. Chyba że nie pozostawi się im wyboru. Być może teraz będzie jeden z takich przypadków — zakończył z ironicznym uśmiechem.

— Na zawsze zapamiętam cię jako pogodnego towarzysza — odpowiedział Conan.

— Obyśmy tylko obaj żyli wystarczająco długo, żeby móc wspominać się nawzajem.

— A nie będziemy, jeśli nie zaczniesz bardziej uważać na węże — prychnął Conan, wskazując na pustynną żmiję, sunącą w kierunku przedniej nogi wierzchowca kapitana.

— Uważam dostatecznie — odpowiedział Khezał. Błyskawicznie chwycił sztylet, zeskoczył z konia i w mgnieniu oka zatopił go w piasku, rozcinając żmiję tuż poniżej głowy.

Odjechali w szyku, którego Zielone Płaszcze używały, gdy istniało niebezpieczeństwo burzy piaskowej. Podążali w podwójnych kolumnach, a nikt nie oddalał się od towarzysza bardziej niż na długość włóczni.

Conan pomyślał, że chłopiec, którego poznał w górach Ilbars, stał się prawdziwym mężczyzną. Jeśli wola Khezala mogła zapewnić mu bezpieczeństwo, Cymmerianin był gotów wrócić do turańskiej armii. Jednak inne były wyroki bogów, więc Conan raz jeszcze odjedzie

na zachód, kiedy ta wyprawa dobiegnie końca.

ROZDZIAŁ XI

Tego ranka stanęli na granicy obszaru, który Girumgi uważali za własny — w każdym razie na tym skrawku pustyni podróżni ginęli z rąk Girumgi daleko częściej niż z rąk innych wojowników. (Tak mniej więcej przedstawiały się sprawy realizacji roszczeń terytorialnych na pustyni, gdzie plemię może poruszać się swobodnie, jak flotylla kupieckich statków na otwartym morzu.) Nadal jechali w szyku, ale wypatrywali raczej ewentualnych obserwatorów niż oznak burzy.

Gdy powtórnie zerwał się wiatr, nie zdziwiło to nikogo, natomiast gwałtowność samej burzy zaskoczyła nawet najbardziej czujnych. Chwilę wcześniej po prawej stronie ujrzeli jeźdźców. W tym momencie widoczność była jeszcze znakomita, zdążyli więc zliczyć nomadów — około trzech dwudziestek, oraz rozpoznać sztandar Girumgi i przyjrzeć się nakryciom głowy jeźdźców stojących najbliżej.

Conan był pewien, że ci najbliżsi to Girumgi, miał jednak pewne wątpliwości co do reszty jeźdźców. Nie potrafił powiedzieć, z jakiego plemienia pochodzą, ale mógł się założyć, że nie są to Girumgi.

Kiedy niebo i powietrze nabrały brązowego koloru, poprowadził swych ludzi do doliny, gdzie ustawił ich w pojedynczym szeregu. Siedząc ciągle jeszcze na koniach widzieli, jak ciągną za nimi Turańczycy. Wynurzyli się z narastającej burzy i schronili w naturalnej niecce w północnej części doliny.

— My będziemy pilnować na górze, wy patrzcie na dole! — zawołał Khezał, starając się przekrzyczeć wichurę. Burza piaskowa szalała niczym morski sztorm.

— W porządku! — odkrzyknął Conan.

Nie dodał przy tym, że zamierza wykraść się z doliny i zobaczyć, z kim przyjdzie im się spotkać. Trudno byłoby ukarać go za nieposłuszeństwo wobec rozkazu, który nie został wydany.

Cymmerianin odczekał, dopóki Turańczycy i Afghuli nie znaleźli się na wyznaczonych pozycjach, a przeciwny kraniec doliny stał się równie niewidoczny, jak gdyby znajdował się w Vendhii. W dolinie burza dawała się we znaki mniej niż na otwartej pustyni, ale Conan uznał, że może się podkraść do tajemniczych jeźdźców, nie będąc zauważonym. Ta wyprawa obrodziła już zdecydowanie zbyt wieloma zagadkami. Być może tutaj mógł rozwiązać jedną z nich, ryzykując tylko własnym życiem. Jednak przyjmując to założenie, nie wziął pod uwagę Farada. Gdy prześliznął się między koźmi i wspiął się na skałę, zobaczył, że siedzi tam Farad.

— Niewiele brakowało, żeby poderżnięto ci gardło — warknął Conan. — Kto wie, może grozi ci to nadal.

— Czy nie byłaby to kiepska zapłata za moją wierność? — spytał Afghuli.

— Jesteś więc wierny, naprawdę? A może jest to wierność wszy, która pełni wartę w spodniach?

— Wydawało się nam, że nie powinieneś iść na zwiady samotnie. Kto nam powie, co się dzieje, jeśli skrećisz nogę albo rozbijesz sobie głowę?

— Moja głowa nie należy do takich, które łatwo rozbić, mój przyjacielu.

— ...upadając na skałę — kontynuował Farad z niewzruszonym spokojem. — Tak więc rzuciliśmy kości, aby rozstrzygnąć, komu przypadnie zaszczyt pójścia z tobą.

— Oczywiście użyłeś swoich kości? — spytał Conan, przy czym nie udało mu się powstrzymać uśmiechu wywołanego tak wielką determinacją Farada.

— Oczywiście. Nie należę do takich, którzy pozostawiają zbyt wiele przypadkowi.

— A zatem chodźmy. Gdybym faktycznie musiał iść sam, wtedy wydałbym ci właściwe rozkazy.

Cymmerianin zeskoczył z wysokiego szczytu skały, a Farad poszedł w jego ślady. I razem weszli w burzę. Ta burza musiała dosłownie przeorać całą pustynię, oślepiając i dusząc każdego podróżnego, który nie miał dość szczęścia, aby znaleźć schronienie. Zanim Conan i Farad przebyli połowę drogi do posterunków obcego oddziału, zasłonili całe twarze, prócz oczu, aby w ogóle móc oddychać.

Conan słyszał o plemionach w Khitaju, które posiadały sztukę wyrobu masek z pęcherzy pewnej ryby. Maski takie, choć cienkie i przezroczyste, były dostatecznie wytrzymałe, aby sprostać sile tamtejszych piaskowych burz. Cymmerianin postanowił, że jeśli uda mu się przeżyć tę wyprawę i jeszcze kiedyś powędrować daleko na wschód, odwiedzi owe khitajskie plemiona. Teraz jednak musiał radzić sobie bez maski. Szczęśliwie był na tyle obyty z pustynią, aby wiedzieć, jak zbadać teren wokół siebie, nie wystawiając twarzy na bezpośrednie ukąszenia wiatru i jak chronić oczy przed palącymi promieniami słonecznymi oraz ostrymi ziarenkami piasku. Dziś przynajmniej nie trzeba się było obawiać oślepiającego słońca.

W miarę jak zbliżali się do krańca doliny, teren stawał się coraz bardziej skalisty. Wkrótce mogli dostrzec sylwetki wartowników. Było ich niewielu i wyglądało na to, że przynajmniej jeden z nich ma niedostateczne pojęcie o swych obowiązkach. Jego głowę okrywał typowy dla Girumgi zawój, a za pasem miał zatknięte dwa długie sztylety i sakwę przy boku. Na twarzy wartownika malowało się uczucie całkowitego zniechęcenia, najwyraźniej nie podobało mu się to, że musi stać samotnie w chmurze niesionego wiatrem piasku. Zapewne dlatego większość czasu spędzał pod dającą mu schronienie skałą, która co prawda zatrzymywała piasek, ale też zasłaniała mu widok. Jeśli już stawał na otwartej przestrzeni,

częściej patrzył do tyłu niż do przodu, zupełnie jakby oczekiwał, że wróg wyskoczy z jego obozu, a nie z doliny.

Conan był przygotowany na schwytanie innego jeńca, ale Farad dostrzegł słabości wartownika tak samo szybko jak on. I uderzył jeszcze szybciej. Przysiadłszy na tyle nisko, że całkiem schował się za sięgającą mu normalnie do pasa skałę, podkradł się do nomady na odległość wyciągniętego ramienia. Nagle mężczyzna coś usłyszał lub może zobaczył. Jego oczy rozszerzyły się. Po chwili rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy wyrósł przed nim Farad. Sztylet Afghuli zatopił się w nie osłoniętym gardle. Conan przysiadł za powalonym wartownikiem, a niesiony przez wiatr piasek szybko zasypywał kałuże krwi.

— Chciałem go złapać po cichu.

— Byłem cicho. I to nawet bardziej niż ty, który mnie napominasz. Conan zmusił się, by pamiętać, że swobodne zwracanie się do wodza jest jednym z najświętszych praw wolnego wojownika Afghuli. Człowiek, którego należy się obawiać, to ten, który boi się rozmawiać twarzą w twarz, co oznacza, że planuje rzucić w plecy coś bardziej ostrego niż słowa. —
Zatem musimy iść dalej. Tym razem ja uderzę pierwszy.

— Oczywiście, Conanie. Z głupimi wartownikami jest tak, jak z chętnymi kobietami.

Zazwyczaj wystarczająco wielu kręci się w pobliżu.

Minęli linię straży i zaczęli się skradać w stronę głównego obozu. Gdy znaleźli się na tyle blisko, by rozpoznać plemienne barwy, burza przybrała na sile. W tumanach pyłu i piasku ledwo mogli odróżnić skałę od zbitych w tłum ludzi. Poza rym nomadów było zbyt wielu, by bezpiecznie porwać jeńca. Nawet chrzęst skóry przy wyciąganiu sztyletu z pochwy mógł zaalarmować kilku towarzyszy niedoszłej ofiary i tym samym spowodować krwawe starcie w najgorszym możliwym momencie. Zginęliby obaj, pozostawiając Afghuli bez przywództwa.

A Conan nawet Khezalowi nie ufał na tyle, by wierzyć, że nic by się wtedy nie stało jego

towarzyszom.

Teraz skradali się dość szerokim półkolem ze środkiem w miejscu zlikwidowanego posterunku. Dająca schronienie zabitemu wartownikowi skała niemal zniknęła w brązowej chmurze, gdy wiatr zmienił kierunek i burza coraz gwałtowniej atakowała dolinę, bombardując ją niesionym z sobą piaskiem. Conanowi wydawało się, że dostrzegł jakieś ludzkie postaci poruszające się przy tej skale, ale nie był tego pewny. Burza piaskowa w nieznanym kraju jest czymś, co sprawia, że zaczyna się wierzyć, iż z podziemnego świata wychodzą istoty szukające okazji do czynienia zła. Jednak chwilę potem Cymmerianin był pewien, że nie uległ złudzeniu. Ktoś obserwował ich z miejsca, które wcześniej zajmował wartownik. I z pewnością ich zobaczył.

W głębi doliny piasek i pył kotłowały się jeszcze gęściej, a wiatr wył, jakby niósł z sobą żalobne zawodzenie demonów. A jednak uszy Conana wychwyciły brzęknięcie stali o skałę i poruszonych kamieni. Cymmerianin dwukrotnie przypadł do ziemi i zobaczył, że coś z tyłu się porusza. Najwyraźniej ten, kto ich śledził, nie był na tyle ostrożny i szybki, by ująć przed bystrym spojrzeniem barbarzyńcy.

W końcu Conan podszedł do Farada i szepnął mu do ucha, że choć nie udało im się porwać żadnego jeńca z szeregów nieprzyjaciela, być może ten jeden, który się skrada, trafi prosto w ich ręce.

— W twoje ręce, jak sądzę — powiedział Farad.

— Jeden z nas musi pozostać wolny i być gotów, by zerwać się do biegu, jeśli coś pójdzie źle — wyjaśnił Cymmerianin.

— Nie musisz poganiać chętnego muła — rzekł Farad kwaśno. — Zatem pomyślnych łowów, mój wodzu.

Conan odpełził w lewo, potem prześliznął się nieco w prawo i przypadł do ziemi. Farad zaś

przestał zadawać sobie trud maskowania się. To z kolei wywabило z ukrycia ściąających.

Byli ich trzech. Żaden nie nosił na sobie oznak plemiennej przynależności, które Conan potrafiłby rozpoznać. Wyglądało na to, że najniższy jest dowódcą, ale pozostali mieli widoczną ochotę dyskutować z jego rozkazami. W końcu wszyscy trzej na coś się zdecydowali i powoli ruszyli za Faradem.

Wkrótce mężczyzna idący po lewej stronie znalazł się tak blisko Conana, że ten mógł wyciągnąć rękę i go dotknąć. I właśnie tak zrobił. Ogromna pięść barbarzyńcy wylądowała na karku nomady. On również zobaczył Conana. Krzyknął, chcąc ostrzec towarzysza, ale potem popełnił fatalny błąd, sięgając po łuk. To dało Cymmerianinowi czas, aby zbliżyć się do najmniejszego i go schwytać. Ten uderzył Conana sztyletem, który był chyba jedyną jego bronią, ale na tyle skuteczną, by dodać jeszcze jedną ranę do kolekcji Cymmerianina. Kopał też, i krzyczał wysokim głosem. Conan pomyślał, że złapał eunucha albo jakiegoś młodzika. Tymczasem Farad zajmował się łucznikiem. Koczownik miał dość czasu na podniesienie alarmu, ale widząc kolejnego napastnika, zaniemówił. Próbował sięgnąć po handzar, jednak Farad był szybszy. Kopnął nomadę w brzuch z taką siłą, że ten wypuścił łuk oraz handzar i padł na piasek. Afghuli spojrzali na swoją ofiarę.

— Czy ten też jest nam potrzebny? — spytał.

— Nie — odpowiedział Conan, krępijąc i kneblując swojego jeńca. — Wątpię nawet, czy warto go wiązać. Będzie mógł oddychać bez bólu nie wcześniej niż wieczorem.

Jeniec Conana był w lepszym stanie. Wprawdzie nie mógł ani mówić, ani walczyć, gdyż został starannie zakneblowany i związany, jednak jego uczernione henną oczy patrzyły całkiem przytomnie.

— Zawadiacki mały kogucik — powiedział Farad, dźgając mężczyznę palcem w żebra. — Spójrz, jaką ma szatę! A jaki pas! Założę się, że to syn wodza.

Conan przyjrzał się uważnie szacie i pasowi, a także temu, co, jak mu się wydało, znajdowało się pod nimi. Przyklęknął i pociągnął ręką po barkach jeńca, a potem w dół po łopatkach i przez pierś.

— Ohoho! — powiedział. — Przegrałbyś ten zakład!

— Jak to? — wyjąkał Farad zdziwiony.

— To jest córka wodza.

— Więc to tak — odezwał się powtórnie Farad, ale tym razem w jego głosie można było wyczuć żądzę.

Conan potrząsnął głową.

— Ona będzie dobrym zakładnikiem tak długo, dopóki pozostaje nietknięta i ani chwili dłużej. Tu, na pustyni, zakładnik jest wart dziesięciu kobiet.

— Powiedz to ludziom, którzy już od miesiący nie widzieli kobiety — odpowiedział Farad. — Nie mam szczególnej ochoty bić się o tę jedną z Zielonymi Płaszczami.

Kobieta nie rozumiała języka Afghuli, którym posługiwali się obaj mężczyźni, ale ton głosu był wystarczająco wymowny. Jej oczy rozszerzyły się, a oddech przyspieszył.

Conan przewiesił dziewczynę przez swe masywne ramię i poklepał delikatnie po pupie.

— Nie martw się — powiedział po turańsku. — Prócz tego, że jesteś dobrym zakładnikiem, wykazałaś dość odwagi, by zasłużyć na traktowanie, jakie przysługuje prawdziwemu wojownikowi. Każdy, kto do ciebie podejdzie, zrobi to po moim trupie.

— Stanę u boku mojego wodza, służąc mu krwią i bronią — dodał Farad.

Chociaż mówił w języku Afghuli, kobieta zapewne zrozumiała intencje, bo wyraźnie się odprężyła.

Conan ruszył długim, typowym dla ludzi pochodzących z gór krokiem, a Farad strzegł tyłów. Gdy usłyszeli, że ktoś podnosi alarm, docierali już do swego obozu.

Imię kobiety brzmiało Bethina. Przyznała się, że ma ledwo dziewiętnaście wiosen, ale nie wyglądała nawet na tyle. Była siostrą Doirana, dziedzica wodza Ekinari i brata krwi przywódcy Girumgi. Jechała z mieszanym oddziałem Girumgi i Ekinari, aby odprowadzić bezpiecznie do domu tych Girumgi, którzy zdołali uciec z bitwy na południu.

Wszystko to powiedziała, gdy tylko dotarli do obozu. A potem Conan i Farad uratowali jej życie.

Dotarli na miejsce, rozwiązali dziewczynie nogi i usunęli knebel. Nim zdołali zrobić więcej, z góry skoczył mężczyzna z uniesionym do pchnięcia nożem. Conan szybko wyprostował nogę i położył ją na drodze napastnika. Ten potknął się o nią jak o konar i padł na wznak. Wtedy Farad nadepnął mu na nadgarstek, a tamten krzyknął i wypuścił nóż z osłabłych palców. Farad chwycił za sztylet i wręczył go dziewczynie. Conan skinął głową. — Uważaj, dziewczyno, wobec kogo go użyjesz — powiedział. — Nie mam w sobie aż tyle krwi, bym mógł ją stracić dla przyjaciół.

Bethina uśmiechnęła się, a potem uniosła sztylet w sposób, który wskazywał na pewne doświadczenie w obchodzeniu się z bronią. Zrobiła to w samą porę.

Wokół nich zgromadziły się Zielone Płaszcze. Conan i Farad przesunęli się tak, że wraz z dziewczyną mieli za plecami tylko skałę. Cymrnerianin spojrział w górę i zobaczył, że jeszcze więcej Turańczyków wspina się na skałę, aby zaatakować ich z góry. Pomyślał, że może opuści Turan nie splamiwszy swego honoru, ale z pewnością nie z całą skórą.

— Stać!

Khezał miał zadziwiająco donośny głos jak na kogoś o tak szczupłej budowie. Okrzyk kapitana przebił się przez ryk burzy i osadził na miejscu Zielone Płaszcze.

— No więc, co ma znaczyć ta awantura? — zapytał Khezał, podchodząc bliżej.

Uważnie słuchał, gdy obie strony udzielały mu wyjaśnień.

— Zielone Płaszcz nie krzywdzą cudzych jeńców — powiedział w końcu. — Milgun, poproś kapitana Conana o wybaczenie!

— Kapitanie... — mężczyzna prawie splunął.

— Milgun — powtórzył Khezał.

Nie musiał mówić nic więcej ani też obnażyć broni. Wystarczyło spojrzenie. Milgun dokonał niechętnych przeprosin.

— Proszę o wybaczenie, Conanie.

— A teraz, Conanie, wiedz, że Milgun stracił brata w potyczce z Girumgi. Nikt, kto jedzie razem z nimi, nie może być jego przyjacielem.

— Ja nie być wróg Zielone Płaszcz — powiedziała Bethina.

— Twój brat jedzie razem z Girumgi, a ty też byłeś z nimi! — wykrzyknął ktoś.

Bethina zagryzła usta. Conanowi było przykro, że sprawi kłopot Khezałowi, ale zdecydował się już przebić mieczem pierwszego mężczyznę, który krzyknie powtórnie.

Jednak nikt się nie odezwał, ponieważ wszyscy zobaczyli to postanowienie na ponurej twarzy Cymmerianina.

— Bethino — powiedział w końcu Khezał, używając jakiegoś dialektu, który Conan ledwo rozumiał. — Mówisz, że nie jesteś wrogiem Zielonych Płaszcz, ale twój brat jedzie wraz z Girumgi, którzy z pewnością przelali naszą krew, i to nie tak dawno temu. Powiedz nam coś więcej.

— Ja nie mieć odpowiednich słów — jękała się Bethina.

— Przełożę twoje słowa na język moich ludzi — oznajmił Khezał.

— A ja zajmę się pierwszym, który zacznie rozrabiać — dodał Conan.

Dopóki Bethina nie zaczęła mówić, ciszę przerywały tylko odgłosy wiatru.

Doiran, brat Bethiny, knuł intrygi już od dawna. Na początku zawarł z wodzem Girumgi braterstwo krwi, by zapewnić sobie sukcesję, gdyby jego ojciec zmarł. Jednak stary Irgas nie umarł. Złożony chorobą i prawie na stałe przykuty do łóżka, mówił tylko o dawno minionych bitwach i zmarłych przed laty żonach.

— Umrze w pokoju — tłumaczył Khezal słowa Bethiny — ale jego dziedzictwo obejmie syn, który poprowadzi ludzi na wojnę.

Girumgi zawsze byli gotowi do poszukiwania porozumienia z Turanem, więc przysłuchiwanie się co młodszym wojownikom o rozpalonych głowach nie przysłużyło się dobrze osądowi Doirana. Był jednak zbyt przebiegły, aby zaufać tylko jednej grupie sojuszników.

Khoraja już od dawna rywalizowała z Turanem, o ile można powiedzieć, że lis jest w stanie rywalizować ze słoniem. W ostatnim stuleciu, ilekroć Turan zechciał zamienić Khoraję w satrapię, zawsze mógł to uczynić. Chociaż cena w złocie, krwi i liczbie nowych wrogów Turanu była wielka, można było ją zapłacić. Wydawało się prawdopodobne, że rządzący żelazną ręką młody Yezdigerd spróbuje ujarzmić Khoraję, tak więc Khorajańczycy poszukiwali sposobów obrony — knuli intrygi z plemionami pustyni i znaleźli chętne uszy (i otwarte dłonie) u Doirana i jego popleczników w zastępach Ekinari.

Potem Bethina mówiła już sama.

— Wielu Ekinari — przyjaciele Turanu. Albo nie przyjaciele — uczciwi ludzie. Myśleć... Khoraja używać nas jak... jak zabawki. Ja, Bethina, mówić to za nich.

Zdawało się, że nikt nie wierzy, by jacyś pustynni nomadzi mogli być czyimiś przyjaciółmi, zwłaszcza przyjaciółmi Turanu, jednak to, że nie zamierzają stać się kocimi

pazurami Khorai, wydawało się wielce prawdopodobne. Ostrożność, o ile nie uczciwość koczowników była przysłowiowa niemal od czasu, gdy imperium na wschód od pustyni nazwano Turanem.

— Koczownicy nie są głupcami — przyznał Milgun. — Ekinari zaś najmniej ze wszystkich. Wybacz mi, pani, być może nie pomyślałem.

Wzbudziło to śmiech, ponieważ powszechnie uważano, że Milgun nie potrafi jednocześnie iść i żuć orzechów. Lecz był to zdrowy śmiech i teraz mężczyźni rozchodzili się już, by zająć się swymi wierzchowcami i ekwipunkiem.

W końcu Bethina, Farad, Khezal i Conan pozostali sami. Khezal wciąż się rozglądał, jakby w obawie, że lada chwila spod piasku wyłoni się zwarty mur wojowników.

— Powinniśmy być gotowi do walki lub do ucieczki, jeśli po naszą damę przyjdą jej przyjaciele — powiedział.

— Och, myślę, że tak się nie stanie, w każdym razie nie na tyle szybko, by było się czego obawiać — odezwała się Bethina. Mówiła po turańsku, w sposób typowy dla kobiet z wyższych sfer.

Trzej mężczyźni spojrzeli na kobietę tak, jakby niespodziewanie wyrósł jej długi ogon, a potem spojrzeli po sobie. Bethina roześmiała się.

— Prawdę mówiąc, towarzyszący mi mężczyźni — jestem wdzięczna, że nie zostali zabici — znaleźli się tam razem ze mną tylko po to, aby pomóc w schwytaniu mnie. Kiedy zostaną odnalezieni, pokażą, do której szczeliny wpadłam. Inni będą myśleć, że nie żyję, dostatecznie długo, byśmy mogli bezpiecznie odjechać na północ.

Conan skinął głową i był to chyba najbardziej grzeczny gest, na jaki mógł się zdobyć.

Pomyślał, że sojusz z Bethiną jest o wiele większym darem losu, niż się z początku wydawało. O ile dobrze pamiętał, ziemie Ekinari znajdowały się daleko na północy, w

sąsiedztwie gór Kezankian. Ekinari mogli zatem znać tajemnice tych gór lepiej niż ktokolwiek inny.

Bethina z wdziękiem skinęła głową, jak mogłaby to uczynić wobec trzech starszych służących dziedziczka jakiegoś dostojnego rodu.

— Tak więc, panowie, spodziewam się, że pojedę z wami, albowiem dostrzegam w was mądrość i siłę.

Chwilę później zniknęła w mroku tak zręcznie i cicho, że Conan przez moment zastanawiał się, czy kobieta nie jest duchem. Jednak wkrótce dojrzał ślady stóp, a zza skały doszedł go śmiech dźwięczący jak świątynne dzwoneczki.

Trzej mężczyźni raz jeszcze spojrzeli po sobie i każdy wypowiedział w swym ojczystym języku jedno tylko słowo:

— Kobiety...

Wyruszyli, zanim wiatr osłabł na tyle, by nie mógł już przykryć ich śladów, i nim opadł z powietrza zasłaniający ich pył. Oddaliwszy się od Girumgi o kilka godzin marszu przez pustynię, znaleźli szlak wiodący przez nierówny, zarośnięty kolczastymi krzakami teren i wydostali się w końcu na równinę.

Jadąc nocą i odpoczywając za dnia, po pięciu dobach dotarli do ziem Ekinari. W każdym razie łatwiej tam było spotkać jeźdźców Ekinari niż wojowników z jakiegoś innego plemienia.

Ekinari byli wojowniczym ludem — na pustyni, tak jak w Afghuli — stanie, niewielu zwolenników pokoju za wszelką cenę żyło dość długo, by spłodzić synów. Mieli jednak więcej dobrych studni i bezpiecznych miejsc dla swoich dzieci niż inne plemiona.

— Nasi wojownicy nie muszą patrolować każdej ścieżki i każdego skrawka terytorium i

oczyszczać go z wrogów, żeby plemię mogło przetrwać — powiedziała Bethina. — Potrafimy spojrzeć poza dzisiejsze krwawe waśnie. Właśnie dlatego Doiran ostatecznie nie uzyska przewagi.

— Nie uzyska, jeżeli jego sukces lub upadek będą zależały od tego, co zrobią Ekinari — zauważył Conan. — Przy wsparciu w złocie i wojownikach ze strony Girumgi uzna, że może uczynić, co zechce. I może mieć rację.

— To nie jest ten brat, jakiego znałam — odparła Bethina. — Utrzymujesz, że byłby gotów zamienić w niewolników własne plemię, jeśli z nadania Girumgi mógłby zostać jego panem?

— Dobrzy ludzie robili o wiele gorsze rzeczy, kiedy ambicja zawróciła im w głowie — odpowiedział Cymmerianin. — Ponadto nietrudno znaleźć nomadów, którzy pójdą za tobą, gdy tylko ogłosisz, że chcesz przeciwstawić się hegemonii Turanu. Turan nie był szczególnie sprawiedliwy w swych stosunkach z ludami pustyni, a one długo pamiętają zniewagi.

Bethina obdarzyła Conana promiennym uśmiechem. Khezał rzucił mu kwaśne spojrzenie, a na twarzy Farada, który cały czas uważnie obserwował pustynię, również pojawił się uśmiech.

I tak jechali pod gwiazdami ku górom Kezankian.

*

Góry Kezankian nie wznosiły się tak wysoko jak pasmo Ibars w Turanie, nie mówiąc już o górach Himelias w północnej Vendhii, których pokryte śniegiem szczyty sięgały ponad chmury. Jednak południowe zbocza, a te właśnie ukazały się oczom Conana i jego towarzyszy, wyrastały prawie pionowo z pustyni, tworząc jednolitą skalną ścianę. Gnieźdzące

się w połowie jej wysokości orły wydawały się małe jak gołębie, a ptaki fruujące wyżej były zupełnie niewidoczne.

Tymczasem ochłodziło się, a wiatr wiejący z pustyni był coraz bardziej porywisty. Od jego zawrota między skałami niejednemu człowiekowi włosy stanęłyby dęba.

— Zupełnie jakby sam wiatr wiedział, że tego miejsca należy unikać — powiedział Farad.

— Ha! — wykrzyknął Conan. — A ja myślałem, że będziesz czuł się bardziej swojsko, w każdym razie bardziej swojsko niż...

— Najbardziej swojsko od czasu, jak uciekliśmy z Afghulistanu? — przerwał mu Farad. I chociaż obnażył w szerokim uśmiechu wszystkie białe zęby, w jego czarnych oczach nie było radości. Powoli potrząsnął głową.

— Wiem, co może się znajdować w górach mego ojczyznanego kraju.

— Bandyty, owce i wszy — wtrąciła Bethina.

Farad spojrzał na nią zaskoczony, po czym wybuchnął śmiechem, aż rozległo się echo.

— Całkiem trafnie, moja pani — powiedział w końcu. — Lecz nawet wszy nie są... nie nazwę ich przyjaciółmi... nie są obce człowiekowi. W tych górach zaś każdy jest obcy; wyglądają, jakby każdego przybysza traktowały jak wroga.

Spoglądając na wznoszące się przed nimi szare ściany i raz jeszcze wsłuchując się w odgłosy wiatru, Conan w głębi ducha przyznał, że Afghuli ma rację.

Następnego ranka, po rozbiciu dziennego obozu, znaleźli pozostałości innego obozowiska.

Conan, który wraz z Faradem wybrał się na polowanie, pierwszy dostrzegł pośród zdeptanej ziemi ślady ogniska.

Farad trzymał straż, a Cymmerianin przykucnął i zbadał to miejsce. Przesiał ziemię między palcami, powąchał popioły, w końcu wstał.

— Wyglądasz jak chart łapiący wiatr — powiedział Farad.

— Zapewne — przyznał Conan. — Teraz poszukajmy jamy, do której wrzucili śmieci.

Założę się, że obozowało tu przynajmniej czterdziestu — jacyś koczownicy, a także inni ludzie. To, co pozostawili w jamie, powie nam, kim są.

— O ile zdołamy ją odnaleźć i wykopać to, co zostawili — zauważył Farad.

— Myślę, że sobie poradzimy, a co do odkopywania, zrobię to sam, jeśli nie będzie innego sposobu.

— Mogę ci tego zaoszczędzić, mój wodzu.

Jednak rozkazy Khezala sprawiły, że obaj uniknęli tego brudnego zajęcia. Cała gromada Zielonych Płaszcy szparko rzuciła się do pracy, kopiąc nożami, rękoma i dziwacznym szpadlem (kawalerii zazwyczaj nie używano do wznoszenia umocnień polowych, nie posiadali więc stosownych narzędzi). Znalezione śmieci nie powiedziały wiele więcej ponadto, co już wiedzieli.

— Dwie dwudziestki rozbójników; koczownicy nazywają ich włóczykijami — obwieścił Khezal. — To zazwyczaj zdolne do wszystkiego, podłe kreatury.

— Zatem skąd to się wzięło? — zapytał Conan, podnosząc do góry szerniały kwadratowy kawałek metalu.

— Jakiś Khorajańczyk zostawił zapinkę płaszcza — odpowiedział Khezal. — Khorajański kapitan, a w każdym razie na pewno oficer. To srebrna blaszka z podobizną króla, o ile dobrze rozpoznaję, co jest pod sadzą.

— Czy jesteś pewny, że służba dla Mishraka nigdy cię nie kusiała? — zażartował Conan z Turańczyka. — Masz talent do szpiegowskiej roboty.

— A także sumienie wrażliwe na tego typu sprawy — odparł Khezal. — Zwłaszcza od czasu, gdy na tron wstąpił Yezdigerd. I założę się, że nie tylko ja — dorzucił, zniżając głos.

Conan nie wątpił, że w Turanie było nie mniej uczciwych ludzi niż gdzie indziej, a może nawet więcej niż w pewnych krajach, przez które podróżował (i w większości przypadków opuszczał tak szybko, jak tylko mógł). Odkąd jednak Yezdigerd zaczął nęcić swych poddanych zarówno obietnicą przyszłej potęgi, jak i złotem, uczciwość w jego królestwie wyraźnie staniała.

Wyprawa Conana i Khezala mogła dobrze przysłużyć się Turanowi, ale sam Cymmerianin zamierzał zakończyć ją daleko od tego królestwa i ze swymi klejnotami za pasem, a potem raz jeszcze ruszyć na zachód, do Koth.

— Powinniśmy wystawić solidną straż — dodał Khezał. — Czterdziestu włóczykijów pod dowództwem cywilizowanego kapitana mogłoby nam zaszkodzić, gdyby nas zaskoczyli.

Conan skinął głową.

— Być może, ale jeśli to my byśmy ich zaskoczyli, zaszkodziłoby im bardziej.

Khezał zmarszczył brwi, a Conan wybuchnął śmiechem.

— Wy, Turańczycy, nadal myślicie tak jak jeźdźcy z równin, którzy byli waszymi przodkami. Nigdy nie powinniście wybierać się na wojnę bez górala albo nawet kilku, którzy powiedzą wam, co robić, kiedy teren stanie się stromy.

Khezał rzucił Conanowi ponure spojrzenie.

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu. Ty mówisz, a ja słucham. Ale na wszystkich bogów, za każde zbyteczne słowo, jakie powiesz, zabiorę z tej sakiewki jeden klejnot, zanim ci ją zwrócę. Mów, póki nie ogłuchnę, a udasz się do Koth z pustą sakiewką.

— Lepiej z pustą sakiewką, niż z pustą głową — odparował Conan, po czym wyciągnął sztylet i zaczął kreślić jego czubkiem linie na piasku.

Conan szedł bardzo ostrożnie, uważając, by jakiś potracony kamyk nie stoczył się z

hałasem w dół. Pustynna noc była cicha i wydawało się, że w tej chwili nawet wiatr śpi.

Plan Cymmerianina był prosty. Główna grupa miała obozować w samym środku rzucanego przez klify cienia, w miejscu, którego nie można było zaatakować z góry, chyba że napastnicy przylecieliby tam na skrzydłach orłów. Żołnierze mieli zachowywać się głośno, udawać pijanych i niedbale trzymać wartę, jakby myśleli, że są we własnych koszarach. W gasnącym świetle dnia każdy obserwator powinien dostrzec tę łatwą zdobycz.

Po zmierzchu maskarada trwała dalej, przy czym Khezał zagroził, że wykastruje każdego, kto rzeczywiście ośmieliłby się zwilżyć usta bodaj kroplą wina. Tymczasem oddział żołnierzy, wybranych ze względu na zręczność w obchodzeniu się z bronią i bystre oczy w nocy, wykradł się z obozu, obsadzając trzy możliwe podejścia do grupy głównej.

Teraz każdy, komu przyszłoby na myśl wymordowanie i złupienie niczego nie podejrzewających bezradnych ofiar, stanąłby w obliczu wielkiej niespodzianki.

W pewnym momencie mała dłoń dotknęła barku Cymmerianina. Nie poruszył się, ale serce podeszło mu do gardła. Chwilę później dłoń delikatnie spoczęła na jego ustach. Poczł na wargach szczupłe, ale silne palce i wyczuł ledwo uchwytną woń perfum.

Odwrócił się. Jego oczy przywykły już do ciemności i bez problemu rozpoznał Bethinę.

Nie miał pojęcia, dlaczego znalazła się na zewnątrz obozu, wśród żołnierzy leżących w zasadzce. Nie chciał jej jednak teraz o to pytać, gdyż najcichszy szept mógłby ostrzec czającego się gdzieś nieprzyjaciela. Bethina najwyraźniej nie zamierzała czekać na pytania Conana. Wślizgnęła mu się w ramiona i zbliżyła wargi do jego ucha. Cudownie było poczuć te ochocze usta lekko muskające mu skórę, gdy zaczęła się tłumaczyć.

— Mężczyźni biorą swoją rolę zbyt poważnie. Nie robią nic poza tym, że śpiewają jedną sprośną piosenkę po drugiej.

Conan westchnął i obrócił się tak, by mógł odpowiedzieć Bethinie, skoro już się do niego

odezwała. Wyczuł wargami jej ucho i to również okazało się bardziej niż przyjemne.

— Nie jesteś ogrodową różą, by zwiędnąć z powodu paru grubszych słów. Powiedz mi prawdę — zażądał.

Milczała przez chwilę.

— Widzę, że znasz kobiety — szepnęła w końcu.

— Gdybym nie znał ich w tym wieku, znaczyłoby to, że albo jestem głupcem, albo stertą bielejących kości.

— Być może. Ale — chodzi o to, że zgodnie z prawem to ja mogę być wodzem Ekinari zamiast Doirana. Zgodnie z prawem, o ile będę robić to, co robią mężczyźni.

— A cóż takiego robią mężczyźni z plemienia Ekinari?

— Muszą być... no... muszą być prawdziwymi mężczyznami, a nie eunuchami. Z pewnością muszą pojmać w bitwie wroga.

Obietnica skryta w pierwszych słowach Bethiny rozgrzała Conanowi krew, ale to, co dziewczyna powiedziała później, natychmiast ją ostudziło.

— To nie zabawa, Bethino.

— Bandyci nie są przyjaciółmi ani Ekinari, ani żadnego innego plemienia. Khorajańczycy jeszcze mniej. Conanie! Ja nie przyszedłam tutaj dla zabawy!

Cymmerianin stłumił śmiech.

— Istnieją różne rodzaje zabaw, pani. Ale zgadzam się, że mroczny grób czekający na zapchlonych bandytów nie jest miejscem dla większości z nich. — Ścisnął lekko sprężyste krągłe ramię. — Możesz być pewna, że zawsze będę gotów, by...

Raptownie urwał zdanie. Ciszę, jaka zapanowała po kolejnej sprośnej piosence śpiewanej w obozie, zakłócił jakiś zdecydowanie nie pasujący do tej radosnej atmosfery dźwięk. Mógł to być wiatr, który właśnie zrywał się powtórnie, ale i szelest piasku osypującego się pod

nieuważnie postawioną stopą. Teraz najbardziej rozsądną rzeczą było oczekiwanie na kolejny błąd ewentualnego intruza.

Bethina wydobyła sztylet ze swych szat i zastygła w bezruchu.

Dźwięk powtórzył się. Conan nie miał już wątpliwości, że to odgłos kroków. Chwilę później zagrzechotał kamyk, a ten dźwięk był na tyle wyraźny, iż Cymmerianin zdołał ustalić kierunek. Intruz znajdował się blisko z lewej strony, zbyt blisko, aby pozostawić go w spokoju. Jednak Conan nie chciał, by pułapka zatrzęsnęła się dla pojedynczego człowieka.

Pamiętał, co Khezał powiedział swoim ludziom: „Musimy ich wciągnąć w zasadzkę, większość zabić i dowiedzieć się czegoś ciekawego od reszty”.

Cymmerianin poruszył się jeszcze raz, tak zręcznie, jak zbliżający się do ptaka wąż. Na tle granatowego nieba w odległości pchnięcia włócznią ujrzał ciemniejszą plamę w kształcie człowieka. Mężczyzna miał na sobie łachmany rozbójnika i równie bujne jak oni włosy oraz brodę, ale przy pasie zwisały miecz i sztylet o srebrnych rękojeściach. Zbyt próżny i dumny ze swej broni, żeby zaczernić ją przed nocną wyprawą. Pozostali nie odczują jego braku, pomyślał Conan.

Mężczyzna obrócił się w ostatniej chwili, by ujrzeć, jak nadchodzi jego śmierć, przybrawszy kształt potężnej, ciemnej postaci. W mgnieniu oka ogromna pięść uderzyła go w brzuch, a ramię jak gigantyczny wąż zamknęło się wokół szyi. Mężczyzna stracił przytomność, zanim napastnik zdążył powalić go na ziemię.

Conan przykucnął i ściągnął z mężczyzny ubranie. Potem Bethina zaciągnęła nieprzytomnego do rowu i skrępowwała mu dłonie oraz stopy kawałkami jego łachmanów. W tym czasie Cymmerianin zajął miejsce swojej ofiary. Uczyniwszy to, wyciągnął rękę w dół i dotknął czoła Bethiny. Wydało mu się, że usłyszał lekki stłumiony chichot, i przysięgł sobie, iż dotknie wielu innych miejsc, nie tylko czoła, gdy tylko będzie ku temu czas i sposobność.

U tej dziewczyny serce i rozum szły w parze z wyglądem!

Ogniska w obozie powoli dogasały. Nie było już potrzeby wypalania brakującego nawozu, by kontynuować przedstawienie. Blask gwiazd zmętniał i niebo z wolna zaciągnęło się mgłą. Kolejna burza piaskowa? Conan miał nadzieję, że jednak nie. Poruszanie się po omacku w obliczu wroga o wiele bardziej niebezpiecznego od „strażników” Bethiny zdecydowanie nie należało do przyjemności.

Nocną ciszę zakłócił kolejny dźwięk. Tym razem był to odgłos kroków wielu ludzi. Starali się iść tak cicho, że mogliby podejść niemal każdego, ale nie Cymmerianina. Naliczył przeszło dwadzieścia ciemno odzianych zakapturzonych postaci, uzbrojonych w łuki i miecze. Po chwili usłyszał jeszcze, dochodzące z dość odległego miejsca, parsknięcie konia. Rozbójnicy sami rozdzielili swe siły. Niewątpliwie niektórzy mieli popędzić naprzód i zaskoczyć obóz oraz posiać w nim panikę. Wtedy nadjechaliby ich konni towarzysze, aby zakończyć dzieło, uprowadzając Turańczykom konie oraz biorąc łupy i jeńców. Ocalałe Zielone Płaszcze miałyby niewielkie szansę na pościg, a nawet na przeżycie kolejnego starcia z najsłabszym nawet przeciwnikiem.

Nawet wojownik o doświadczeniu mniejszym niż Conan nie miałby wątpliwości, że rozbójnicy nie zdołali sami ułożyć takiego planu. Za rozkazami, jakie wykonywali rabusie, krył się dowódca przebiegły i rozważny.

W obozie wciąż było cicho. Conan zaklął szpetnie. O ile wcześniej dałby wiele za to, żeby móc przekazać do obozu prośbę o spokój, by mógł usłyszeć zbliżających się nieprzyjaciół, tak teraz równie chętnie wysłałby wiadomość, prosząc, by tańczyli i śpiewali, byle tylko nie wzbudzić w rozbójnikach podejrzania, iż zostali wykryci.

Kolejne parsknięcie rozległo się bliżej. Conan obrócił głowę w kierunku, z którego dotarło. Rozbójnicy dosiadający koni zbliżali się, przecinając wyschnięte koryto strumienia. Sądzili,

że całkowicie ich osłania, ale niższa część brzegu pozwoliła oczom Conana wyłuskać ich z ciemności. Wcześniej, zanim jeszcze zapadła noc, Conan spenetrował spory obszar wokół obozu, szeroki na kilka strzałów z łuku. Zauważył wówczas, że wyschnięte łożysko kończyło się zwężeniem i w tym miejscu garstka ludzi mogła zatrzymać cały oddział. Najchętniej udałby się tam sam, wiedział jednak, iż w przypadku bitwy toczonej nocą znalezienie się w miejscu, w którym nikt się tego nie spodziewa, jest najłatwiejszym sposobem, by zostać zabitym przez własnych towarzyszy.

Odwrócił głowę w drugą stronę i znowu z jego ust posypały się przekleństwa. Dostrzegł inny oddział rabusiów, poruszający się cicho jak ruchoma wydma. Podążali prosto ku zwężeniu, a więc teraz nawet jego miecz nie zagroziłby jeźdźcom drogi.

Przekazał rękoma znaki sześciu Afghuli czuwającym na swoich posterunkach. Plan zakładał, że na tyły wroga uderzą wszystkie trzy wysunięte grupy. Jednak ludzie rozlokowani bliżej klifu nie mogli już poruszać się dostatecznie szybko nie ryzykując, iż usłyszą ich lub zobaczą, a na koniec przygwożdżą do ziemi w odkrytym terenie łucznicy przeciwnika. W tej sytuacji powinni wycofać się do obozu i zasilić szeregi obrońców. Zatem atak na tyły nieprzyjaciela będą musieli przeprowadzić Conan wraz z sześcioma Afghuli. Ci ostatni, nawykli do walki w ciemności, byli przeciwnikami, których nikt nie powinien lekceważyć. Conan miał nadzieję, że zdołają uchronić Bethinę, choć jeśli uprze się, by za wszelką cenę pojmać jeńca, zadanie to będzie bardzo trudne.

Cymmerianin nie zwykł powstrzymywać przed wzięciem udziału w walce kobiet, które wdawały się w nią z własnej woli. Niemniej Ekinari nie będą mu wdzięczni, jeśli pozwoli Bethinie walczyć, ale nie zapewni jej bezpieczeństwa. Mogliby wówczas stać się zagrożeniem dla wyprawy lub pokoju z Turanem, a już na pewno byłiby zagrożeniem dla Khezala.

Przyszło mu do głowy, że nie trzeba się zadawać z lichwiarzami, by w pewnym momencie

odkryć, iż jest się dłużnym zbyt wiele zbyt wielu ludziom.

Tymczasem za plecami Conana przemknęli Afghuli. Poruszali się niemal bezszelestnie.

Dotrzymywała im kroku Bethina, idąc równie cicho.

— Jii...ha!!! — wojenny okrzyk przeszył ciemności nocy, ale to nie Cymmerianin ani żaden z jego towarzyszy zaalarmował skradających się rozbójników.

Conan ujrzał przed sobą migoczące roztańczone cienie, gdy kilku nieprzyjaciół obróciło się w jego stronę, aby odeprzeć atak na swoje tyły. Pozostali rzucili się do przodu, mając nadzieję, że gdy dotrą do obozu, zastaną tam zaspanych, pijanych i usiłujących wypłatać się z koców ludzi.

Teraz, kiedy walka już się zaczęła, szybkość była ważniejsza od ciszy. Conan zerwał się do biegu, zwalniając tempo tylko na tyle, by nie wyprzedzić swych towarzyszy. Choć mógł z łatwością stawić czoło kilku wojownikom naraz, nie było sensu rozpocząć bitwy samotnie bez wyraźnej potrzeby. Toteż gdy w końcu zmierzył się z rozbójnikami, tylko o parę kroków wyprzedzał Farada, którego z kolei dzieliła od pozostałych Afghuli podobna odległość.

Bethina biegła na końcu. W chwili, gdy Cymmerianin dobywał miecza, zawołała:

— Zostaw jednego dla mnie, Conanie!

Roześmiał się i zaklął jednocześnie. Nie potrzebował żadnych rad, Bethina zaś zdradzała wrogom swoją obecność. Chętnie pozostawiłby dla niej jednego czy dwóch żywych nieprzyjaciół, ale wątpił, czy po bitwie nadal będzie pragnęła okryć krwią ostrze swej broni. Świadomość, że na ostrzu ich miecza spoczywa życie innych ludzi, ciążyła większości wojowników, ci zaś, którzy o to nie dbali, byli niczym wściekłe psy i im szybciej zostali zabici, tym lepiej dla wszystkich ludzi honoru.

Ziemia zapadła się Conanowi pod nogami, ale zdołał zmienić upadek w salto. Wylądował, mając piach w ustach i żwir we włosach, ale nie wypuścił miecza z dłoni. W ten sposób

znalazł się tak blisko pierwszego przeciwnika, że ledwo zdołał się zasłonić przed ciosem handzara. Riposta Conana wytrąciła rozbójnikowi nóż z ręki, a gdy umknął do tyłu, pozostawiając miejsce dla swych lepiej uzbrojonych kamratów, Cymmerianin pozwolił mu uciec. Walczył teraz przeciwko czterem lub pięciu jednocześnie, ale radził sobie świetnie, albowiem przeciwnicy wiedzieli o walce na miecze nie więcej niż dzieci — to znaczy dzieci z krajów innych niż Cymmeria.

Uznał, na podstawie siły ciosów, które wstrząsnęły ramieniem, i wycia trafionych, że zabił dwóch mężczyzn; było jednak zbyt ciemno, by mógł ich zobaczyć. Trzeciego, który rzucił się na niego z długim sztyletem w dłoni, potraktował pięścią. Rozbójnik zatoczył się do tyłu, a wtedy Conan kopnął go kolaniem w szczękę tak mocno, że odskakująca do tyłu głowa zatrzymała się dopiero na plecach.

Ziemia wokół Cymmerianina stała się śliska od krwi. Na szczęście mógł iść dalej, ponieważ na obu flankach walczyli Afghuli. Słyszał szczęk mieczy i jęki trafionych, ale nie patrzył w tamtą stronę. Oczy miał zajęte wyłącznie tym, co działo się z przodu.

Z tego powodu nie zobaczył nadbiegającej Bethiny, dopóki nie minęła go, zmierzając w sam środek szyków wroga. Dlaczego nie została zabita przez pomyłkę, pozostało tajemnicą znaną tylko bogom bitewnych pól.

Bez wątpienia Bethinie zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Uratowały ją szybkość i siła Conana, właściwy użytek, jaki zrobiła ze swej broni, oraz tępotą rozbójników.

Okazało się, że Bethina nic sobie nie robi z przestarzałych zasad dotyczących uczciwego prowadzenia walki na śmierć i życie — pierwszego przeciwnika zabiła, wbijając mu sztylet w plecy. Jego krzyk ostrzegł pozostałych, ale gdy wyszarpnęła sztylet i zwracała się ku nim, rozbójnik był już martwy.

Jeden z rabusiów tak się zdumiał, widząc przed sobą kobietę, że Conan nawet nie musiał

używać broni. Szybkiem kopnięciem strzaskał mu kolano, a gdy mężczyzna runął na ziemię, nadepnął mu na rękę i wytrącił z dłoni handzar.

Następny przeciwnik Bethiny okazał się bardziej odporny. Choć miał tylko sztylet, był zwinny i szybki jak kot. Zwarł ostrze z bronią dziewczyny i chwycił ją za włosy. Krzyknęła z bólu i próbowała uderzyć go kolanem, ale straciła przy tym równowagę i upadła, pociągając napastnika za sobą.

Dziewczyna walczyła cicho, nie poddając się, choć może bez wielkiej umiejętności.

Jednak napastnik, silniejszy i cięższy, szybko zyskał przewagę. Udało mu się skierować ostrze sztyletu Bethiny w jej własną pierś. Nóż coraz bardziej zbliżał się do jej ciała. Mimo to rabusiowi nie było dane cieszyć się przyszłym zwycięstwem dłużej, niż trwa jedno uderzenie serca. Odebrała mu je śmierć. Palce Conana zacisnęły się na włosach mężczyzny, a jego miecz zakreślił śmiercionośny łuk, rozcinając bandycie kark i plecy.

Bethina skoczyła na nogi. Była blada, poza miejscami, które spryskała krew zabitego.

— Ten jest twój — powiedziała tylko, skinąwszy Conanowi głową!

Oczy miała nienaturalnie rozszerzone, ale jej głos był zadziwiająco spokojny jak na kogoś, kto właśnie stał się wojownikiem. Conanowi wydało się, że te oczy są bardziej kuszące niż zwykle. Oczywiście, nie miał im nic do zarzucenia już wcześniej.

— Uważaj! — krzyknęła Bethina.

Atakującemu mężczyźnie musiało się wydawać, że Cymmerianin porusza się w trzech kierunkach jednocześnie. Jego miecz pojawił się w powietrzu jakby za sprawą czarów i ciął napastnika przez gardło. Bezwładnie zwisała prawie odrąbana od tułowia głowa, ale rozbójnik utrzymał się jeszcze przez chwilę na nogach i zablokował przejście kamratom.

Dało to Bethinie czas na przygotowanie. Uderzyła, gdy upadający mężczyzna otworzył swym towarzyszom dostęp do Conana. Skoczyła do przodu z niskiego przysiadu, kierując nóż

do góry, pod szczękę pierwszego przeciwnika. Miał on co prawda na szyi ochraniacz ze skóry, ale zamiast zasłonić się lub chwycić za ostrze, tylko podbił je w górę. Czubek sztyletu rozdarł rabusiowi gardło. Nie dotarł do mózgu — ostrze było zbyt krótkie, a ramię Bethiny zbyt słabe, żeby zadać tak głębokie pchnięcie — niemniej pozbawił mężczyznę życia tak samo skutecznie, jak uczyniłby to miecz Cymmerianina.

— Ten jest twój — oznajmił Conan. — Zaświadczę o tym przed bogami i ludźmi.

Przez chwilę zdawało się, że dziewczyna pocałuje go lub nawet obejmie, co na placu boju byłoby czystym szaleństwem i zmniejszyłoby uznanie, jakie żywił dla jej rozsądku. Niemniej powstrzymała się i po chwili znów otoczył ich zgiełk bitwy. Musieli stanąć oparci o siebie plecami i bronić się tak przez dłuższy czas. Była to niewątpliwie zbyt niewygodna pozycja, by się pocałować.

Wkrótce większość rozbójników poległo lub uciekło, a kilku pozostałych trzymało się z daleka. Jeden z nich miał łuk i nie obawiał się, że może trafić któregoś z przyjaciół. Jego strzały dość przypadkowo padały na ziemię opodal Bethiny i Conana.

— Będzie lepiej, dziewczyno, jeśli się schowasz.

— Nie jestem dziewczyną, a ten łucznik nie zdołałby trafić wielbłąda nawet w swoim namiocie.

— Być może, ale nawet gorsi od niego zabijali już ludzi — odpowiedział Cymmerianin, biorąc ją na ręce i opuszczając do zagłębienia.

— Farad?! — zawołał.

— Tutaj, mój wodzu.

— Dotrzymaj tej damie towarzystwa. Usiądź na niej, jeśli będzie trzeba.

— Jeśli to zrobisz, już nigdy żadna kobieta nie da ci przyjemności — dobiegła z dołu groźba.

— To złamie mi serce!

— Nie miałam na myśli twojego serca!

Poleciwszy reszcie Afghuli pozostać tam, gdzie stali, Conan skoczył w ciemności.

Postępował wbrew swojemu wojennemu doświadczeniu, ale coś go niepokoiło. Jeźdźcy nie uderzyli na obóz, chociaż wciąż słyszał ich wierzchowce niedaleko stąd. Nigdzie nie było widać trzeciego oddziału rozbójników, zupełnie jakby nagle zapadli się pod ziemię albo też urosły im skrzydła i ulecieli ku gwiazdom.

Nie chciał opuszczać swych Afghuli, ale był świadom, że w turańskich szeregach nie ma człowieka lepiej przygotowanego do zwiadu w nocy niż on i z pewnością nikt prócz niego nie zdołałby wyjaśnić kolejnej tajemnicy.

U podnóża niskiej wydmy natknął się na grupę leżących w zasadzce koczowników.

Zachowywali się tak cicho, że nawet jego uszy nie pochwyciły odgłosu ich oddechów w ciszy pustynnej nocy. On zaś skradał się bezszelestnie, niczym kot, a ponieważ koczownicy nasłuchiwali innych dźwięków, nic ich nie ostrzegło.

Pomknęły ku niemu cztery strzały, wystrzelone prawie jednocześnie. Tylko dzięki łasce bogów — nie wspominając już o tym, że padł na ziemię i przetoczył się na bok z szybkością błyskawicy — żadna z nich ciężko go nie zraniła. Dotarłszy na odległość wyciągniętego ramienia do najbliższego z koczowników, wyciągnął go z ukrycia tak łatwo, jak chłopiec zrywa gruszkę z drzewa, i popchnął do przodu, osłaniając się nim jak tarczą.

— Stać — wyszeptał. — Kogo szukacie?

— Bethiny — odpowiedział ktoś i natychmiast został uciszony przez pozostałych. A potem

— niewiarygodne! — rozległ się głos starej kobiety:

— Wstań, niech cię zobaczę.

W odpowiedzi Conan obraźliwie zauważył, co stara kobieta może zrobić z tym pomysłem.

Wtedy zamiast starczego rechotu usłyszał cichy śmiech; tak mogła śmiać się kobieta niewiele starsza od Bethiny.

— Nie. Na Croma, Mitrę i wszystkich dobrych bogów, przeklnę każdego, kto skrzywdzi tego mężczyznę bez mojego pozwolenia.

Conanowi przyszło do głowy, że gdyby ta kobieta, której nie miał powodu ufać, wyraziła zgodę, to byłby martwy, nim zdążyłby upaść na ziemię. Było jasne, że łucznicy nie chybią po raz drugi.

Jednak ci ludzie nie zachowywali się jak wrogowie, a jeśli nimi nie byli, to nie należało ujawniać ich obecności. Ponadto widział teraz zawój mężczyzny, którego trzymał przed sobą jako żywą tarczę. Było zbyt ciemno, by rozpoznać kolory, ale ułożenie zawoju było takie samo jak tego, który nosiła Bethina.

Conan uniósł się, nie uwalniając jeńca.

— Puść Coroka! — powiedziała stara kobieta tonem kogoś, kto jest przyzwyczajony do rozkazywania.

Czyżby była to matka Bethiny? A może plemienna czarodziejka? Kimkolwiek była, Conan zdecydował, że powinien jej usłuchać. Niemniej, zanim uwolnił jeńca, wyciągnął i miecz, i sztylet.

— Właśnie tak...

To wyszczone słowo przypomniało mu odgłosy dochodzące ze świątyni Seta — Wielkiego Węża — w porze karmienia świętych gadów. Poprzysiął, że jeśli kobieta zmieni się w węża, będzie to ostatnia rzecz, jaką zdąży zrobić na tym świecie.

Ale zamiast tego kobieta tylko raz jeszcze cicho się roześmiała.

— Głupcy! To jest ten, który ocalił Bethinę! Widziałam to. Czy któryś z was zaprzeczy teraz, że miałam prawdziwą wizję?

Nikt nie zaprzeczył. Ta kobieta zdawała się coraz bardziej podobna do bardzo starych kobiet z cymeryjskich wiosek; kobiet, które szanowano i których się obawiano, nawet wtedy, gdy nie były szalone.

— Jestem przyjacielem Bethiny — oznajmił Conan, starannie dobierając słowa. — Jeśli jesteście jej krewnymi lub przyjaciółmi, z pewnością nie jestem waszym...

— Tsss! — ktoś mu przerwał.

Conan przykucnął. Teraz rozumiał, dlaczego jeźdźcy nie ruszyli jeszcze do szarży — albo byli towarzyszami koczowników, albo też zobaczyli ich i teraz przemieszczali siły, by na nich uderzyć.

W tej podróży pojawiała się tyle zagadek, że uczciwy wojownik nie miał czasu, by się nad nimi spokojnie zastanowić. Conan nie znał żadnego boga, który dałby się przekupić ofiarami. Gdyby jednak taki bóg istniał, z radością przyrzekłby mu niemal wszystko, byle tylko mieć pewność, że nie będzie już żadnych tajemnic.

Być może jakiś bóg usłyszał to ciche życzenie, ostatnia zagadka bowiem wyjaśniła się niemal w chwili swych narodzin.

Być może konni rozbójnicy usłyszeli odgłosy towarzyszące spotkaniu Conana z koczownikami; może ich towarzysze wezwali pomocy; a może po prostu jednego z niższych rangą hersztów zmęczyło oczekiwanie. Jedno było pewne — jeźdźcy atakowali.

Conan wskoczył na szczyt wydmy, dołączając do koczowników, którzy ruszyli w stronę napastników. Nie biegła tylko stara kobieta, ale i ona maszerowała nadzwyczaj żwawo jak na swój wiek. Chyba że prawdziwy wiek zdradzał nie głos, lecz śmiech. W takim razie mogła być wiedźmą, liznąwszy, że to całkiem prawdopodobne, pomyślał, iż bardzo niewielu czarowników kiedykolwiek służyło innej sprawie niż ich własna. Ostatecznie Conan doszedł do wniosku, że jeśli kobieta naprawdę jest przyjaciółką Bethiny, to wtedy mają wspólny cel.

Potem nie miał już czasu na rozmyślania, bo rozbójnicy byli już bardzo blisko.

Czterech lub pięciu jechało nieco z tyłu, trzymając się jednej strony. Podobnie trasa, którą wybrał Conan, oddzielała go od towarzyszy. Napastnicy zauważyli, że zmierzają prosto ku samotnemu piechurowi, i wydali triumfalne okrzyki na myśl o tak łatwej zdobyczy.

Żaden z nich nie przeżył wystarczająco długo, by mógł zrozumieć, jak bardzo się mylił.

Przyszło im zmierzyć się z człowiekiem, który był doświadczonym wojownikiem, zanim po raz pierwszy dosiadł konia. Co więcej, był dzieckiem Cymmerii — kraju, w którym nigdy nie powstała konna armia, ale który dużo takich armii pochłonał.

Conan sypnął piaskiem w oczy pierwszego wierzchowca, uskoczył w bok szybko jak strzała i przemykając poniżej linii zatoczonej przez miecz jeźdźca, podciął od tyłu ścięgna następnego konia. Musiał przy tym sparować kolejne idące w dół cięcie, ale spowolniło to napastnika na tyle, że zdołał chwycić go za nogę.

Jeździec wyleciał z siodła jak szpunt od beczki pełnej piwa. Jego ciało zakreśliło łuk ponad głową Conana i z głuchym łoskotem spadło na ziemię. Żaden człowiek nie mógł przeżyć takiego uderzenia.

Następny jeździec wycelował lancę i krzyknął radośnie, gdy wydało mu się, że Conan utyka. W rzeczy samej, „utykanie” wymagało ogromnej uwagi, ponieważ Cymmerianin utrzymywał czubek lancy na szerokość palca od ciała, nie wychodząc z zasięgu broni atakującego. Ten nagle odkrył, że jego koń okulał i ustaje. Ustawał zaś pod ciężarem Conana, który wskoczył mu na grzbiet. Jeździec krzyknął z bólu, gdy wbity w plecy sztylet rozerwał mu wnętrzności, i upadł z głuchym łoskotem, gdy Conan cisnął nim o ziemię jak workiem zboża.

Ostatni jeździec w zamieszaniu nie zauważył, że bezradny piechur porusza się już konno.

Cymmerianin nie dał mu dość czasu, by zdążył pożałować tego błędu. Gdy tylko zobaczył, że

koń rozbójnika obrócony jest ku niemu zadem, przekornie wychylił się z siodła i mocno pociągnął za ogon.

Koń spróbował równocześnie stanąć na tylnych nogach i kopnąć, ale nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Zwierzę straciło równowagę i upadło. Jeździec poczuł, że nieubłagane ześlizguje się przez tył siodła, gdy nagle mocarne ramię Conana zawiesiło go w powietrzu.

Mężczyzna spojrział w zimne, niebieskie oczy. Zobaczył w nich samą śmierć. Zemdlął ze strachu i nawet nie poczuł upadku, gdy Cymmerianin go puścił.

Dopiero teraz Conan spojrział ponad głowami swych nowych towarzyszy, strzelających i ściągających z siodła ostatnich rozbójników. Zobaczył też biegnącą przez piaski Bethinę. — Padnij! — krzyknął, unosząc miecz. Ostrze spadło na ramię rozbójnika mierzącego w Bethinę z łuku. I ramię, i łuk, i strzała osunęły się na ziemię. W ślad za nimi osunął się na piasek łucznik z rozłupaną czaszką.

Bethina, biegnąc z obnażonym sztyletem, z łatwością minęła walczących, po czym objęła ramionami drobną postać stojącą pod wydzwigniętą pionowo skałą. Conan usłyszał głos starej kobiety:

— Bethino! Na miłosierdzie bogów, nie połam mi żeber!

W tym głosie pobrzmiwał ton, jakim stara piastunka przemawia do ukochanej dziewczynki, która już dorosła i stała się kobietą.

Cymmerianin zeskoczył z siodła i przeciągnął się, rozluźniając napięte mięśnie barków.

Nie wiedział, kim są mężczyźni towarzyszący starej kobiecie, ale jednego mógł być pewien — nie są to na pewno wrogowie przyjaciół Bethiny.

ROZDZIAŁ XIII

Wezwanie, które pochodzić mogło tylko od Pani Mgieł, dotarło do Muhbarasa kilka dni później.

Samo wezwanie nie zaskoczyło kapitana, ale komnata, do której zaprowadziła go jedna z Panien — bardzo. Na ścianach wisiały butwiejące draperie, a na kamiennej podłodze leżały stosy zatechłych futer i niewyprawionych skór. Jedyнным meblem był niski stół nakryty niedbale grubą tkaniną, dźwigający tanie mosiężne talerze, misy napełnione ciastkami i owocami oraz dzban wina i dwa puchary.

Muhbaras miał dość czasu, by ochłonać ze zdziwienia, jeszcze zanim zamknęły się drzwi. Pomyślał z obawą, że kochając się na zimnej podłodze, nie zdoła zadowolić Pani. Chętnie napiłby się wina, ale nie wiedział, co do niego dodano.

Usiadł i oparł się o ścianę, podłożywszy sobie pod plecy zwinięte futro. Był właśnie zajęty przybieraniem takiej pozycji, z której mógłby ogarnąć wzrokiem całe pomieszczenie, gdy nagle usłyszał za sobą najpierw łoskot, a potem ciche westchnienie.

Poderwał się i stanął na środku komnaty, przeklinając skóry, którymi miał oplatanie stopy. Zaczął je odsuwać kopniakami na boki, i wtedy fragment ściany obrócił się, odsłaniając ciemny korytarz.

Z korytarza wysączył się strumień zimnego powietrza, niosący słaby zapach mchu. Po chwili ciemność poruszyła się, zblękitniała. Świetlista mgła wypełniła przestrzeń po obu stronach kamiennej płyty i w końcu z mroku wyłoniło się białe ramię.

Pani Mgieł wkroczyła do komnaty.

*

— Jak sądzisz, czy ta stara kobieta może być potężna? — zapytał Khezał.

— Omyela? I to ty mnie o nią pytasz? — Conan spojrzał krytycznie na turańskiego kapitana.

— Jesteś doświadczonym człowiekiem, Conanie. A przy tym przewidującym. Potrafisz ocenić tę starą wiedźmę o wiele lepiej niż większość ludzi.

— Czarodziejów znam tylko na tyle, by móc ich pokonać lub unikać. Jeśli pragniesz prawdziwej wiedzy, poślij do Agraphuru.

— Do Agraphuru, mój przyjacielu, daleka droga, a ty jesteś tutaj. Ponadto, jeśli bodaj połowa opowieści o tobie jest prawdziwa, umiesz nie tylko wymykać się czarodziejom. Wielu pozostawiłeś martwych.

— Postąpiłem tak z tymi, którzy próbowali wykonać jakiś nieprzyjazny gest.

— Zatem na pewno wiesz o czarodziejach o wiele więcej, niż ci się wydaje.

— Być może. Ufam Bethinie, a ona dobrze mówi o Omyeli. Sądzę, że stara jest chytrym babskiem, ale nie mam pojęcia, czy uda jej się sprostać Pani Mgieł. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o czarodziejce z Doliny Mgieł.

Conan jednym haustem dopił wino i beknął, co wedle obyczaju plemion pustyni oznaczało uznanie dla gościnności gospodarza.

— A jeśli już o tym mowa, jak przebiega przesłuchiwanie naszych jeńców?

— Dość dobrze i dziękuję ci za troskę, jaką wykazałeś, dostarczając nam tych Khorajańczyków. Niestety, jeden z nich zmarł, zanim zaczął mówić, a inny powiedział niewiele ponad to, co już wiemy.

— Na przykład co?

— Że tak naprawdę, to tylko jeden Khorajańczyk, kapitan imieniem Muhbaras, wchodzi do Doliny Mgieł. Właśnie jego oddział eskortuje jeńców do wrót doliny. Chodzą słuchy, że Pani Mgieł darzy go większym uznaniem niż innych mężczyzn.

— Zatem życzymy mu szczęścia. To los, jakiego nie pragnąłbym nawet dla kapłana Seta.

Coś jeszcze?

Khezał wzruszył ramionami.

— Muhbaras może mieć równie dobrze dwudziestu ludzi, jak i setkę. Może ma własnego czarodzieja? A może tylko królewskiego szpiega? Wszystko to plotki, a każda kolejna zaprzecza poprzedniej.

— Poślijmy więc zwiadowców aż do wrót doliny. Mogliby wypytać wieśniaków, spośród których porywano ludzi na ofiary. Jestem pewien, że obietnica ochrony rozwiąże im języki.

— Poparłbym to, ale nie możemy rozdzielać ludzi w ten sposób. Jeśli wyślemy odpowiednio liczny oddział zwiadowców, będziemy tu bezradni, gdyby pojawili się Girumgi.

— Khezał pokręcił głową i ciągnął dalej. — No cóż, nie cierpię, kiedy ktoś mi rozkazuje.

Myślę jednak, że powinniśmy wezwać posiłki. Jeszcze dziesięć dwudziestek Zielonych Płaszcy lub nawet sprzymierzeńców rekrutowanych z plemion i będziemy mogli posłać do doliny dość ludzi, żeby wykonali konkretną robotę. Nie tylko zwiad.

— Będziemy musieli związać Bethinę, żeby nie pokąsała ludzi — roześmiał się Cymmerianin. — Ogromnie chce przepędzić tę niebezpieczną mgłę z ziemi swojego plemienia.

— Sądząc ze sposobu, w jaki ta młoda dama na ciebie patrzy, jestem pewien, że potrafisz znaleźć z parę innych, przyjemniejszych sposobów na to, by ją powstrzymać.

Conan uśmiechnął się szeroko. Niczym nie zdradził Khezałowi, że rozkaz spędzenia czasu w towarzystwie Bethiny był dokładnie tym, co próbował uzyskać.

Istniały jednak okoliczności, które mogły sprawić, że plany Khezała zawiodą. Aby je wykorzystać, Cymmerianin potrzebował pomocy kobiety z plemienia Ekinari.

Muhbaras nie wiedział, w co może być ubrana Pani Mgieł. Zważywszy jednak, jak niewiele miała na sobie, gdy ją zwykle spotykał, nic nie było w stanie go zaskoczyć.

Czarodziejka zrobiła kilka kroków w głąb komnaty, a wtedy płyta obróciła się, zasłaniając korytarz tonący w błękitnej poświacie. Dopiero teraz Muhbaras zobaczył, że Pani ma na sobie suknię z długimi rękawami, zakrywającą ją od szyi po kostki. Ta skromna, prosta suknia podkreślała smukłość kształtów. Czarodziejka była niewątpliwie piękną kobietą.

Pani Mgieł uniosła ręce i rękawy osunęły się do łokci. Na nadgarstkach nosiła cienkie srebrne bransolety, przy czym ta na prawej ręce była wysadzana szmaragdami, drobnymi jak ziarenka piasku.

Muhbaras wziął głęboki oddech, widząc ten ruch. Wzniesione ręce mogły być wstępem do rzucenia czaru.

— Nie musisz się niczego obawiać, prawy i szlachetny kapitanie.

— Być może ja nie muszę się niczego obawiać — odrzekł Muhbaras. — Ale ty? Czy jestem godzien, aby zająć się tobą tak, jak na to zasługujesz?

Pani Mgieł zagryzła wargi, powstrzymując śmiech. Muhbaras zdumiał się na ten widok.

Nagle zapragnął podejść i wziąć ją w ramiona. Przypomniawszy sobie jednak, że śmiech jest ledwie częścią człowieczeństwa. Pani Mgieł mogła śmiać się jak młoda dziewczyna, a równocześnie dręczyć kogoś jak najbardziej szaleni, zestarzali w zepsuciu i nieprawości despoci.

Muhbaras poczuł pulsowanie w skroniach.

— Jesteś godzien... — zaczęła Pani Mgieł miękko — lepszej oprawy naszego... — zawahała się i chyba zarumieniła. — ...naszego spotkania.

Nie przyniosła ani laski, ani amuletów, ani żadnych innych magicznych przedmiotów.

Wszystko, co ujrzał, to trzy ruchy dłoni o długich palcach; pięknych palcach, z paznokciami

koloru pustynnego nieba o świcie; palcach, które aż prosiły, aby je ucałować...

Nagle komnatę zalało złote światło, oślepiając go na chwilę. Poczł ciepłó na twarzy, na stopach, a potem dookoła. W końcu ciepłó osłabłó, lecz nie zniknęłó całkówicie.

— Możesz otworzyć oczy — dobiegł go głos czarodziejki. Ściany i sufit wyłóżone były kafelkami o subtelnym, błękitnym odcieniu, a podłógę pokrywał drobny, złoty piasek. W rogu, gdzie wcześniej piętrzył się stos cuchnących futer, wyrosłó łóże, którego szkarłatno — błękitny jedwabny baldachim rozpostarty był na czterech palisandrowych kolumienkach, a każda z nich była pięknie rzeźbiona na kształt innego zwierzęcia. Wydałó mu się, że rozpoznaje leoparda, węża, wydrę i smoka. Pod baldachimem leżały jedwabne poduszki, a obok nich pojawił się niski hebanowy stolik z nogami z kości słoniowej, zastawiony złotymi misami z ciastkami i słodyczami, umieszczonymi wokół srebrnego dzbana napełnionego winem.

Na poduszkach leżała Pani Mgieł. Miała na sobie tylko bransolety, a jej włosy spływały jak jedwab po obnażonych ramionach. Teraz mógł nie tylko patrzeć na piękne ciało, ale nawet go dotknąć. Poczł, jak krew w żyłach zaczyna mu krążyć szybciej, i zdał sobie sprawę, że również jest nagi.

Pierwszy krok w kierunku łóża był dla niego tak trudny, jakby nosił buty z żelaza. Ale każdy następny był coraz łatwiejszy. Wkrótce siedział już obok Pani Mgieł i gryzł podane mu przez nią ciasteczko miodowe. Jej główa spoczywała na jego ramieniu. Gdy przełknął ostatni kęs ciastka, zaczął całować palce czarodziejki.

— Miód smakuje jak prawdziwy — szepnął. — I ty też.

— Tak właśnie jest — odpowiedziała nieco niepewnym głósem. — Wszystko tutaj i wszystko, co się zjawi, jest i będzie prawdziwe.

— Wydaje się to zbyt piękne.

— Wątpisz w moje piękno? — zapytała, siadając tak, że mógł widzieć ją całą.

To, co zobaczył w jej oczach, mogło być tylko lękiem. Przepłynęła przez niego fala pożądania i czułości. Taka oto była Pani Mgieł, czarodziejka władająca potężną mocą, a zarazem przestraszona kobieta, po raz pierwszy smakująca pożądanie, oddająca się mężczyźnie, który może je zaspokoić, i odkrywająca, że cała jej magia może okazać się tu bezużyteczna. Gdyby od tygodni planowała, by spojrzeć na nią jak mężczyzna na kobietę, to nie znalazłaby lepszego sposobu.

Muhbaras pochylił się ku niej, uniósł jej palce do ust i zgarnął z nich językiem resztki miodu, po czym, obróciwszy jej rękę, zaczął całować wewnątrz dłoni. Jego usta wspięły się powyżej bransolet i wkrótce potem Pani Mgieł objęła go i ofiarowała mu swoje ciało.

Gdy po raz pierwszy krzyknęła z rozkoszy, pomyślał, że nigdy nie słyszał niczego wspanialszego. Prawie zapomniał o ostatnich jękach Danara, który poniósł śmierć z jej rąk.

— Omyła czeka i będzie niezadowolona — powiedziała Bethina. Z łukiem w ręku i kołczanem na plecach szła obok Conana. Pod pretekstem polowania znaleźli się razem na tyle blisko obozu, by nie groziło im niebezpieczeństwo, ale dostatecznie daleko, by uniknąć uszu, które mogłyby usłyszeć ich rozmowę.

— Nie spodziewałem się, że będzie musiała czekać — odrzekł Cymmerianin. — Jeśli jest gotowa, by odjechać dziś w nocy...

— Sprzeciwiłbyś cię Khezałowi? — zapytała Bethina.

Conan uśmiechnął się szeroko.

— Chciałabyś to zobaczyć, prawda? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Nie jestem małą dziewczynką. Od kiedy skończyłam czternaście lat, ojciec pozwolił mi zasiadać na zebraniach rady plemienia — odparła Bethina z godnością.

— O, przepraszam — powiedział Conan. — Wystąpiłbym przeciwko Khezałowi, gdybym musiał. Ale nie jestem pewny, czy jadąc na północ, rzeczywiście występuję przeciwko jego rozkazom, czy raczej prawdziwym oczekiwaniom.

— Jeśli tak, to może próbuje się tobą posługiwać jak marionetką — zastanawiała się Bethina. — Gdyby ci się udało, Khezał będzie mógł sobie rościć prawo do sławy. Jeżeli zaś przegrasz, to może powiedzieć, że sprzeciwiłeś się jego rozkazom. A twoja śmierć bez wątplenia ucieszy twych wrogów w Turanie.

— Khezał musi przede wszystkim chronić własną głowę. On także ma wielu wrogów.

Wśród Zielonych Płaszczy niewątpliwie są królewscy szpiedzy. Ja natomiast potrzebuję moich Afghuli, a oni pragną znaleźć się jak najdalej od Kheżala. Musimy więc umożliwić im ucieczkę.

— Pozwól mi pomówić z Omyelą — poprosiła Bethina. — Jeśli dasz jej szansę oszukania Turańczyka, ucieszy się bardziej, niż gdybyś obdarował ją workiem złota.

Pani Mgieł była dziewicą ale, jak uznał Muhbaras, za sprawą magii lub przychylnego losu pierwszy kontakt z mężczyzną przyniósł jej przyjemność i nie sprawił bólu. W żadnym znanym sobie języku nie potrafił znaleźć słów, które mogłyby w pełni oddać jego rozkosz, i zastanawiał się, czy takie słowa w ogóle istnieją.

Pani Mgieł jednym gestem wyczarowała na środku komnaty basen wypełniony mieniącą się światłem wodą i zaprowadziła doń Muhbarasa. Zmyli z siebie ślady niedawnych namiętności, by tym samym rozpalić w sobie nowe. Wkrótce znów leżeli na złotym piasku spleceni w miłosnym uścisku.

— Zaczynam wierzyć, że to wszystko jest rzeczywiste — powiedział Muhbaras, pieszcząc ciało czarodziejki.

W odpowiedzi zatrzymała jego rękę w swej dłoni i ucałowała mu palce.

— Bo jest rzeczywiste — szepnęła. — To, co umieściłam w komnacie, pochodzi z ziemi, tak jak moja moc. Łatwiej jest przemienić coś, co istnieje, niż stwarzać z niczego.

Muhbarasowi przyszło do głowy, że równie łatwo można przywrócić rzeczom ich pierwotny wygląd. Wydawało się, że Pani Mgieł czyta w jego myślach.

— Nie obawiaj się — rzekła. — Zanim izba stanie się taka jak poprzednio, już stąd odejdiesz. Nie przebudzisz się pośród wyliniiałych futer i zatęchłych skór.

— A czy powinienem się obawiać, że opuszczę tę komnatę w stroju, który miałem na sobie, kiedy przyszedłem na świat?

— Jeśli ja się tego nie obawiam, to dlaczego miałbyś ty? Nie będzie nam zimno.

Zanim Muhbaras zdążył raz jeszcze pomyśleć o ubraniu, powtórnie ogrzała komnatę.

A on znów był odziany tak, jak poprzednio. Tylko broń wyglądała inaczej, jakby została wypolerowana i naostrzona.

— Widzisz? Jeśli to potrzebne, mogę przywrócić wszystko, co przechowuję w pamięci.

Ale czy potrzebujesz teraz żołnierskiego stroju? Nie wydaje mi się.

Strzeliła palcami i ubranie Muhbarasa ponownie zniknęło.

— Jeszcze z tobą nie skończyłam, kapitanie — powiedziała, uśmiechając się. — Myślę, że ty ze mną też nie. Chodź. Jeśli będę musiała prosić, zrobię to. Ale przy tobie chyba nigdy nie będę musiała.

Gdy wziął ją w ramiona, zapragnął, aby wszystko to było prawdą. Nawet gdyby Pani Mgieł przyszła do niego z tak zakrwawionymi rękami, że nie mogliby ich obmyć sami bogowie, nie pożałowałyby jej tej odrobiny szczęścia, jaką mógł ją obdarzyć.

Wprawdzie stara Omyela nie była większa od dziesięcioletniej cymmeriańskiej dziewczynki, ale ani Conan, ani nikt inny nie potrafił długo wytrzymać spojrzenia jej czarnych oczu. Była przy tym tak sprytna, jak sprytny może być tylko potomek plemienia od wielu pokoleń wiodącego trudne życie na pustyni. Ponadto znała się na czarach.

Pod osłoną jednego z zakłęć Omyeli udało się uciec Conanowi, wszystkim Afghuli, dwudziestu pięciu Ekinari, Bethinie i jej samej. Wzięli nawet zapasowe konie, „pożyczone” od Zielonych Płaszczy. Wysłanie do obozu obrazu tańczącej Bethiny było czarem tyleż prostym, co skutecznym. Wszyscy Turańczycy, łącznie z wartownikami, utkwili wzrok w pływającej dziewczynie, odzianej w zwiewną szatę, która więcej odkrywała niż zasłaniała. Wówczas Afghuli wymknęli się z obozu. Kiedy dotarli na miejsce spotkania z Ekinari, ci mieli już dla wszystkich wierzchowce. Po chwili oddział odjechał na północ.

Miejsce, w którym mogli zacząć poszukiwania Doliny Mgieł, było odległe o dobre trzy dni drogi. Conan narzucił bardzo ostre tempo, mordercze nawet dla Afghuli. Obawiał się, czy obie kobiety podołają trudom podróży, jednak żadna z nich nie sprawiała najmniejszych kłopotów. Bethina była młoda i sprawna, a Omyela — doświadczona i nawykła do wysiłku. — Kiedyś uważano, że kobieta, która nie potrafi jechać przez trzy kolejne dni od świtu do zmierzchu, nie powinna rodzić dzieci — powiedziała Omelia, z troską spoglądając na Bethinę. — Dbaj o siebie, dziewczyno. Zużyjesz wszystkie swe siły i gdy ten Cymmerianin cię zapragnie, już nic ci nie zostanie — roześmiała się sprośnie, a smągła twarz Bethiny stała się jeszcze ciemniejsza.

Conan oddalił się po cichu i niemal wpadł na Farada.

— Dziewczęta nie powinny brać udziału w wyprawie, która wszystkim może przynieść śmierć — powiedział Afghuli ściszym głosem.

Cymmerianin roześmiał się.

— Zapewne, masz na myśli dziewczęta, które podziwiasz. O ile mi wiadomo, kobiety z plemienia Afghuli nie tłoczą się przy kuchniach.

— Ja miałbym podziwiać tę dzikuskę z pustyni?! — zachnął się Farad.

— Tak — potwierdził Conan. — A może ktoś inny stał jak wryty i gapił się z otwartymi ustami, kiedy Bethina tańczyła? Gdyby mucha założyła ci gniazdo między zębami, nawet byś nie zauważył.

Farad skrzywił się i spojrzał na Conana.

— Mój wodzu, jeśli nadejdzie dzień, w którym pozostanę obojętny widząc tańczącą piękną kobietę, będzie to oznaczało, że jestem albo martwy, albo ślepy. Ostatniej nocy zaś nie zdarzyło się ani jedno, ani drugie.

Conan znów się roześmiał i aby ułagodzić druha, rzucił kilka lekkich żartów. Zastanawiał się, czy wspomnieć Bethinie o zachwycie Farada, ale w końcu zdecydował się milczeć. W ostatnim etapie podróży czekało go dostatecznie wiele zadań i nie chciał dodawać do tego jeszcze zabawy w swata.

Gdy zbudziwszy się następnego ranka Khezał odkrył, że Conan odjechał z pozostałymi Afghuli i Ekinari, nie był ani zaskoczony, ani zaniepokojony. W gruncie rzeczy żywił nadzieję, iż Cymmerianin odejdzie na długo przedtem, nim Zielone Płaszcz otrzymają wsparcie.

Było prawdopodobne, że wraz z żołnierzami przybyłby oficer starszy rangą od Khezala.

Może nie wszyscy dowódcy byliby skłonni wysłać do Aghrapuru głowę Conana umieszczoną w torbie z solą, ale z pewnością znalazłoby się paru takich. W obawie przed raportami szpiegów mogli postąpić tak nawet ci, którzy starali się postępować uczciwie. Lęk przed

szpiegami Yezdigerda ogarniał Turan niczym zaraza już przed kilkoma laty i wciąż nie widać było oznak jego wygasania.

Khezał zdawał sobie sprawę, że ryzykuje własne życie. Wolał jednak stracić życie niż honor. Wszak Conan, zapuszczając się w krainę najbardziej mrocznej magii, narażał się na los gorszy od śmierci.

Kapitan rozesłał zwiadowców na północ i na południe, a teraz wypatrywał gońców powracających z oddziału, który posłał za Cymmerianinem.

Pozostawili za sobą piaszczystą równinę i teraz jechali wzdłuż górskiego łańcucha. U podnóży potężnych zboczy mogli znaleźć i cień, i wodę. Dobrze się stało, że nie towarzyszyły im Zielone Płaszcz, ponieważ żadne plemię na tych ziemiach nie sprzyjało Turanowi.

Przed południem czwartego dnia rozbili obóz u wejścia do wąwozu znanego z nieustannie bijących źródeł. Pierwszą wartę poprowadził Farad. Gdy jego ludzie wrócili, Conan zaczął rozstawiać drugą. Podążał szybkim krokiem w górę wąwozu, a tuż za nim szła Bethina, zgrabnie pokonując nierówności terenu.

Wkrótce dotarli na rozległą skalną półkę. Przeciwległy kraniec wąwozu wznosił się ku niebu pionową szczeliną, wyższą od niejednego drzewa. Ze szczeliny w skale wypływała woda, tworząc tuż obok półki mieniącą się perliście sadzawkę. Jej brzegi porastał miękki niebieskawy mech.

Conan zapragnął usiąść, zzuć buty i zamoczyć nogi w chłodnej wodzie.

Bethina już wcześniej poddała się podobnemu impulsowi. Zanurzyła stopy w sadzawce, a potem zaczęła kopać i chlapać jak małe dziecko. Nagle wstała.

— Myślę, że jest tu dostatecznie głęboko, aby popływać — oznajmiła, zdejmując wierzchnią szatę.

— Ale także śmiertelnie zimno — odparł Conan, marszcząc brwi.

— Czyżby lud górali był słabowity? A może jesteś tak czysty, że nie potrzebujesz kąpieli?

— przekomarzała się Bethina. — Nie, to niemożliwe. A więc musi to być jakaś słabość Cymmerian. Świat powinien się o tym dowiedzieć. Wszystkim o tym... och!

Urwała w pół zdania, krzycząc radośnie, gdy Conan podszedł i podniósłszy ją, wrzucił do sadzawki. Było na tyle głęboko, że cała się zamoczyła. Kiedy wynurzyła się na powierzchnię, trzęsła się z zimna i z trudem łapała oddech. Potem roześmiała się, zanurkowała jeszcze raz i wypłynęła mu pod nogami. Bryznięły strugi wody, mocząc Cymmerianina do pasa.

— No, Conanie? — zapytała wyczekująco.

W odpowiedzi spojrział na nią z udawaną złością, usiadł i zaczął ściągać buty, ale po chwili przerwał, widząc unoszącą się na wodzie wierzchnią szatę Bethiny, do której za moment dołączyły spodnie. Po chwili dziewczyna wyszła z wody. Bujne ciemne włosy spływały na nagie ramiona, a na pełnych krągłych piersiach migotały srebrne kropelki. Conan rozpostarł ramiona... Nie wiedział, jak długo spoczywali na posłaniu z mchu. Jednak nawet przez chwilę nie pomyślał o niebezpieczeństwie.

Jakiś czas leżeli w milczeniu, a potem Cymmerianin spojrział na Bethinę i roześmiał się cicho.

— Czy rozbawiłam cię, Conanie? — spytała.

— Tak, a nawet więcej. Zastanawiałem się... Jesteś teraz w pełni kobietą, prawda?

— No cóż...

— Nie brak ci niczego, co posiada jakakolwiek inna kobieta, jesteś nawet obdarzona lepiej niż większość. A może nie to twój lud nazywa pełnią kobiecości?

— Byłoby najlepiej, gdybym urodziła dziecko, by dowieść, że linia mojego ojca nie wygaśnie. Oczywiście, dziecko poczęte przez mężczyznę dobrej krwi i przyjaciela plemienia.

Conan delikatnie klepnął Bethinę w goły pośladek.

— Kobieto, z pewnością nie pozostanę wobec ciebie obojętny i mam nadzieję, że twój lud nazwie mnie przyjacielem. Jeśli jednak będziesz nosiła w sobie dziecko, kontynuowanie wyprawy nie będzie możliwe.

— Będę o tym pamiętać. Ale przecież nie pozostaniemy w tych górach tak długo?

— Może tak, a może nie. Nie chciałbym, abyś następnej zimy rodziła dziecko w jakiejś zasypanej śniegiem górskiej grocie.

Cymmerianin przytulił ją, gdy wzdrygnęła się na tę myśl. Miał nadzieję, iż nie odkryła jego najbardziej utajonych obaw — że do następnej zimy nikt z nich nie pozostanie przy życiu. Jeśli to, co mówiono o służących Pani Mgieł potężnych mocach było choć w połowie prawdziwe, nie będą może martwi w pełnym znaczeniu tego słowa, ale z całą pewnością nie będzie ich wśród żywych.

— Czy jeszcze trochę wina, moja pani? — spytał Muhbaras, podsuwając jej dzban.

Siedzieli nadzy na krawędzi basenu.

Pani Mgieł skinęła głową i wyciągnęła obnażone ramię.

— Byłby z ciebie dobry sługa, Muhbarasie — stwierdziła, gdy strumień złotego wina spływał do jej pucharu. — Być może powinnam sprawić, żebyś został tu już na zawsze.

Muhbaras nie zdołał opanować drżenia dłoni. Dzban przechylił się lekko i kilka kropel wina spadło do wody.

Pani Mgieł spojrzała na rozchodzące się po wodzie złotawe kręgi i roześmiała się.

— Bałbyś się tego, Muhbarasie?

— Tak, moja pani, bałbym się. Całe życie spędziłem jako człowiek wolny, który sam decyduje za siebie oraz za tych, którymi dowodzi, i chętnie bym z tego nie zrezygnował —

rzekł kapitan. — Ponadto, skoro posiadm takie umiejtnoci jako czlowiek wolny, nie pragnelabyś chyba zamienić mnie w niewolnika — dodał i uśmiechał się.

Wślizgnął się do wody i delikatnie objął kobietę. Udawała, że walczy, ale jego wargi zakryły jej usta. Nie cofnął ich nawet wtedy, gdy wylała mu na głowę wino, więc w końcu przywarła do niego z okrzykiem triumfu i rozkoszy.

Teraz leżeli pod jedwabnym baldachimem, a delikatny wietrzyk osuszał ich nagie ciała.

— Nigdy nie zrobię z ciebie niewolnika — Pani Mgieł potrząsnęła głową. — Przrzekam to i zaklinam się na...

Muhbaras nie rozpoznał imion połowy bogów (o ile byli to bogowie), których przywołała.

— ...a gdybym to uczyniła, niechaj spotka mnie za to kara i nie ominie żal.

— Nie wydaje się, aby żal leżał w twojej naturze.

Pani Mgieł odwróciła twarz i chowając głowę w poduszkach, powiedziała:

— Przez wiele lat nie dopuszczałam do siebie smutku ani żalu, a w każdym razie od czasu, gdy równocześnie stałam się dorosłą kobietą i poznałam moc magii.

Zaczęła opowiadać. Muhbaras, ułożył ją przy swym boku, oparł głowę o tors i kołysał jakby była nieszczęśliwym zranionym dzieckiem. Gdy wysłuchał tego, co powiedziała tłumiąc łkanie, wstrząsnęło nim przerażenie. Pragnienie zemsty rozpałoby mu krew, gdyby nie to, że winowajcy od dawna nie żyli. Pani Mgieł wzięła pomstą we własne ręce i rzetelnie jej dopełniła.

Teraz rozumiał, jak się to stało, że córka szlachetnego aquilońskiego wodza została Panią Mgieł. Dręczyło go jednak jeszcze jedno ważne pytanie: w jaki sposób zwykły śmiertelnik mógłby pozostawać towarzyszem życia czarodziejki na tyle długo, aby wyleczyć jej rany i sprawić, by była w pełni kobietą i w pełni magiem?

*

Przez dwa następne dni oddział Conana trzymał się podnóży gór. Jechali nocą, chcąc uniknąć niepożądanych oczu obserwatorów, którzy mogli czatować wśród skał bądź między dolinami.

— Możemy mieć pewność, że moc Władczynie Mgieł pozwala jej obserwować nas od chwili walki z rozbójnikami — oznajmiła spokojnie Omyela. — A jeśli nas zobaczyła, to niewątpliwie szykuje nam takie przyjęcie, że nie będziemy potrafili jej odmówić. Może się jednak okazać, że będę dużo bardziej uciążliwym gościem, niż spodziewała się tego w chwili, gdy mnie zapraszała.

Na myśl o tym, że mogą być obserwowani za pomocą czarów, Cymmerianin poczuł się nieswojo. Niemniej, decydując się na udział w tej wyprawie, wiedział, że w końcu zetknie się z magią. Poza tym prowadził zbyt wielu ludzi, by móc sobie pozwolić na okazywanie wątpliwości czy obaw.

— A ja byłem uciążliwym gościem dla niejednego czarodzieja — rzekł pewnym głosem.

— W starciu ze stalą zaklęcia nie zawsze działają tak, jakby rzucający je sobie życzył. O ile, rzecz jasna, stal jest w dobrych rękach.

— Mam nadzieję, że twoja stal nigdy nie zwróci się przeciwko moim zaklęciom — powiedziała Omyela. Roześmiała się, ale jej oczy pozostały poważne, a na twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

— Nie musisz się tego obawiać — odparł, patrząc jej w oczy. — Chyba że dałabyś mi powód.

Dalej jechali w milczeniu.

W samym sercu potężnego szczytu wznoszącego się ponad Doliną Mgieł zaczęło kielkować niezadowolenie. Zrodzone z czegoś, co nie było ani żywe, ani martwe, ani obdarzone inteligencją, ani bezrozumne. To coś po prostu było.

I mogło się odżywiać. Karmiło się esencją życia, zatem można je było zwać istotą, czy raczej odrębnym bytem. Ów byt przyzwyczał się do tego, że otrzymuje pożywienie, i nabrał przekonania, iż tak pozostanie, jeśli tylko będzie posłuszny rozkazom, które nadchodziły w regularnych odstępach czasu.

Ale rozkazy, a wraz z nimi pożywienie, zaczęły nadchodzić coraz rzadziej.

Niezadowolenie rosło. Pojawiło się coś na kształt myśli. Skoro esencja życia nie przychodzi do bytu, to może on pójdzie po nią?

Dokąd jednak pójść? Bytowi wydawało się, że rozkazy przychodzą z określonego miejsca.

Gdyby odnalazł to miejsce, tym samym odnalazłby pożywienie.

Ta myśl nadała kierunek poszukiwaniom. W rezultacie byt nauczył się rozpoznawać, co pochodziło z tego miejsca, a co nie.

Pani Mgieł od wielu już lat pracowała z mazołem, by doprowadzić Mgłę do tego punktu.

Kiedy jednak Mgła do niego dotarła, czarodziejka nie dostrzegła tego. Zorientowała się dopiero wówczas, gdy było już za późno.

ROZDZIAŁ XV

Gdy świt odsłonił dalekie ośnieżone szczyty, Conan ściągnął cugle. Ogarnął go dziwny niepokój. Miał przeczucie, że powinni jechać dalej i nie rozbijać tutaj obozu, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jazda za dnia może być niebezpieczna.

Zsiadł z konia i zbadał teren, szukając oznak obecności wroga. Jednak skalne podłoże było

zbyt twarde, żeby odcisnęły się na nim ślady. Ponadto w nocy wiał porywisty wiatr, dorównujący siłą burzy piaskowej, i jeśli nawet na bardziej miękkim gruncie ktoś pozostawiłby jakieś ślady, już dawno zostałyby zatarte.

W pewnej chwili dobiegły go odgłosy rozmowy. Przerwał poszukiwania i zaczął nasłuchiwać.

— ...bajania staruchy — rozpoznał głos Farada.

— Staruchy? Czy tylko to widzisz, kiedy na mnie patrzysz? — To mogła być tylko Omyela.

— Dokładnie to mam przed oczami. My, Afghuli, nie jesteśmy zwolennikami magii.

— Hm. A my, Ekinari, nazywamy takich kamiennogłowymi. Oto mam przed oczami młodego kamiennogłowego wojownika, który kocha kobietę swojego wodza.

Najwyraźniej Farad nie zdołał znaleźć celnej riposty, bo po słowach Omyeli zaległa cisza.

Przerwał ją odgłos szybkich kroków Conana, który cofał się ku pozostałym.

— Widzę, że chcecie, aby waszą dyskusję o tym, kim Bethina jest dla mnie, a ja dla niej, i kim może być Farad dla nas obojga, można było usłyszeć w samym Aghrapurze — powiedział Cymmerianin ostro.

Nie spojrział ani na Omyelę, ani na Farada, dostrzegł jednak kątem oka, że oboje wzięli sobie tę naganę do serca.

— Teraz, Omyelo, pragniesz przekazać mi to, o czym tak obelżywie wypowiadał się Farad, prawda?

Stara kobieta skinęła głową z niemal królewskim dostojeństwem.

— Masz słuszność, Cymmerianinie. Otóż moje „bajania” dotyczą tego, gdzie leży Dolina Mgieł.

Teraz nawet Farad postanowił się nie odzywać i obaj mężczyźni z wielką uwagą

wysłuchali wyjaśnień Omyeli. Conan nie czuł więcej sympatii do sztuki czarodziejskiej niż zwykle. Wiedział jednak, że parający się magią mogą być bardziej pomocą niż zawadą. Miał nadzieję, iż podobnie będzie z Omyelą.

W górach Kezankian było wiele dolin i tylko do nielicznych docierali zwykli śmiertelnicy. Wspinanie się pośród szczytów i zapuszczanie w każdą dolinę zabrałoby więcej czasu, niż mogli na to przeznaczyć. A nie chcieli dowiedzieć się, że właśnie odkryli Dolinę Mgieł, dopiero wtedy, gdy jej Władczyni wiedźma użyje przeciwko nim swojej magii.

— Powiadasz zatem, że wyczułaś coś, co jest zarazem żywe i martwe. Możesz nas do tego doprowadzić? — zapytał Conan, usiłując nakłonić w ten sposób Omyelę do zwięzłości.

— Mogę, ale jest jeden warunek — odparła. — Wśród tych, którzy wchodzą do doliny, musi być kobieta. Użyję zatem kobiecej magii.

Farad i Conan spojrzeli najpierw po sobie, a potem na Omyelę. Żaden nie potrafił sobie wyobrazić, by stara kobieta zdołała wspiąć się na szczyty Kezenkianu i zejść do dolin, w których czekali uzbrojeni wojownicy i potężne czary. Żaden też nie wątpił, że mówiąc o kobiecie, którą wyśle naprzeciw tym niebezpieczeństwom, miała na myśli Bethinę. Jednak żaden z nich nie zaprotestował. Zbyt dobrze znali Bethinę.

Chwilę później ona sama wyłoniła się zza skały, jak gdyby Omyela wyczarowała ją z powietrza. Razem wysłuchali ostatnich wyjaśnień Omyeli.

— Założę jeden amulet, a Bethina drugi. To, czego dowie się jedna z nas, będzie znane i drugiej. Mogę przekazać swą moc Bethinie, więc jeśli ona będzie z wami, to tak, jakbym była z wami ja sama.

— Mówisz, że wyczułaś Mgłę i że to pozwoli ci odnaleźć dolinę — odezwał się Conan. — Ale co się stanie, jeśli Mgła wyczuje ciebie i miejsce, gdzie jesteś?

— Mgła, sama z siebie, nie ma jeszcze takiej mocy — odparła Omyela,

Cymmerianin miał nadzieję, że Omyela nie należy do tych adeptów sztuki czarodziejkiej, którzy polegają tylko na starej wiedzy, w chwili gdy stają twarzą w twarz z nowymi wrogami. Nieraz już miał okazję się przekonać, że tacy czarodzieje nie są trudnymi przeciwnikami dla wyszkolonego wojownika.

— Władczyni Mgieł posiada tę moc — ciągnęła Omyela — ale jak dotąd nie wykryłam, żeby jej używała. Zastanawiam się, czy jej siła słabnie, czy też może zrobiła się leniwa i kiepsko strzeże siebie i swojej doliny.

— Im bardziej jest leniwa, tym lepiej dla nas — wtrącił Farad. — Wiedźma jest naszym wrogiem i chętnie dobioreę się jej do skóry, gdy tylko odwróci się do mnie plecami.

— No cóż, możesz mieć taką nadzieję — powiedziała Omyela. — Ale to nie powinno się zdarzyć. Im słabiej Władczyni pilnuje swego monstrum, tym bardziej ono samo poszukuje mocy dla siebie. A im więcej jej znajdzie, tym dalej potrafi dotrzeć. Kiedy Mgła urośnie już dostatecznie, stanie się zagładą dla wszystkich, którzy się z nią zetkną.

Zapadła cisza, przerywana tylko zawodzeniami wiatru pośród odległych szczytów i krzykami ptaków, które w uszach Conana nie brzmiały naturalnie.

Zanim zapuścili się w góry Kezankian, szukając szlaku wiodącego do Doliny Mgieł, Conan podzielił swój oddział. Czynił to niechętnie, ponieważ rozdzielanie sił tuż przed starciem z wrogiem nie było sposobem na osiągnięcie zwycięstwa. Skoro jednak nie mógł ani zabrać ze sobą starej Omyeli w wysokie góry, ani też pozostawić jej samej, nie miał innego wyjścia.

Rozkaz Conana nie spodobał się również ludziom, którym kazał zostać. Plotki o kobietach wojownikach z doliny szerzyły się jak pożar i każdy mężczyzna marzył o schwytaniu Panny. Conan brutalnie rozprawił się z tymi marzeniami.

— Kiedy ruszą na was z mieczami, użyjcie własnych. W przeciwnym razie staniecie się padliną dla sępów, a ja nie zaśpiewam wam nawet pieśni śmierci, ponieważ szkoda mi głosu dla głupców. Jeśli kobiety nie będą walczyły, staną się jeńcami, i każdy, kto chce nosić głowę na szyi, ma traktować je należycie.

Ostrzeżenie było tak ostre, że żołnierze natychmiast złożyli przysięgę, iż uczynią, jak Cymmerianin sobie życzy. Conan wątpił, by wszyscy Afghuli zrobili to z pełnym przekonaniem, był jednak pewien, że żaden nie złamie danego słowa. Pod tym względem nie przypominali Ekinari, którzy często sprzeciwiali się rozkazom swych wodzów.

O dziwo, sama Omyela nie była zadowolona z wydzielenia oddziału do jej ochrony.

— Dam sobie radę z każdym wrogiem, jakiego spotkam. Gdybym musiała zmierzyć się nawet z dziesięcioma dobrymi wojownikami, każdy będzie miał co robić, odpowiednio bowiem się nimi zajmę — prychnęła.

— Jak? — zapytał. — Czyniąc się niewidzialną?

— To leży w granicach moich możliwości — potwierdziła Omyela. — Co więcej, strażnicy nie zdołają mnie ochronić, gdyby Pani Mgieł zaatakowała za pomocą magii. Wtedy staną się dla niej tylko łatwą zdobyczą.

— No dobrze, lecz w jaki sposób mogłabyś ukrywać się przed rozbójnikami i równocześnie walczyć z Władczynią? Ile czarów potrafisz rzucić naraz?

— Dostatecznie wiele.

— Nie sądzę.

— A kimże ty jesteś, żeby mówić o ograniczeniach mojej mocy?

— Kimś, kto wyszedł żywy z bitew przeciwko wielu czarodziejom, którzy myśleli, że potrafią uczynić wszystko. Tymczasem ta jedna rzecz, jakiej zrobić nie potrafili, pozwalała mi uciekać, a czasami nawet ich zabijać, jeżeli nadarzyła się sposobność — chłodno zauważył

Conan. — Mówiłaś, że Mgła wszystkim nam przyniesie zagładę. Jeśli nie zdołasz się z nią zmierzyć, to i kolejna dziesiątka, dwudziestka czy nawet dziesięć dwudziestek żołnierzy nie pomoże nam w tych górach. Jeżeli zaś dasz radę...

Omyela uniosła rękę.

— No cóż, rozumiem, że Bethina wychwala twą mądrość nie bez powodu. Ale są jeszcze inne dotyczące ciebie sprawy. Czy myślałaś, żeby się z nią ożenić?

Sztylet wbity między zębra nie zaskoczyłby go bardziej.

— Nie.

— A powinienes, Cymmerianinie. Gdyby jej małżonkiem był wojownik taki jak ty, stronnicy Doirana szybko porzuciliby jego sztandary. Jej ojciec miałby godnego siebie syna, a z czasem Ekinari wartego ich wodza.

— Przemyślę to, Omyelo. Ale najpierw musisz nam pomóc wyjść z tych gór cało.

— O to właśnie chodzi.

Conan pozostawił Omyelę, mając nadzieję, że stara nie zapamięta tej rozmowy. Bał się jednak czego innego. Za tym, co powiedziała, stały poważne argumenty, lecz Cymmerianin miał także własne racje. Po pierwsze, dostrzegał wzajemny szacunek Farada i Bethiny. Żeniąc się z nią, odebrałby kobietę innemu mężczyźnie, a do tej pory ani ludzie, ani bogowie nie wymyślili bardziej pewnego sposobu, by uczynić z kogoś swego nieprzyjaciela. Po drugie, pamiętał, że w Turanie wyznaczono nagrodę za jego głowę. Yezdigerd nigdy nie zostawiłby w spokoju pustynnego plemienia rządzonego przez wroga Turanu. Po trzecie wreszcie, zdawał sobie sprawę, iż nie wszyscy zwolennicy Doirana przeszli na drugą stronę, a spośród reszty nie wszyscy uciekli. Gdyby zatem ożenił się z Bethiną, żadne z nich oraz nikt spośród ich krewnych nie mogliby spać spokojnie.

Nie, małżeństwo z Bethiną zdecydowanie nie wchodziło w rachubę.

Pierwszą osobą, którą Mgła wybrała i którą nakarmiła się samodzielnie, była upośledzona dziewczynka, a nie człowiek zamieniony mocą magii Pani Mgieł w ograniczoną bezmyślną istotę. Miała na tyle rozumu, by umieć posługiwać się małym nożem i unikać upadku z wysokich miejsc, często bywała więc wysyłana na zbocza doliny po chrust do kuchni.

Do tej pory tak dobrze wywiązywała się ze swych obowiązków, że całkowicie oczyściła z suchych patyków niższe partie przypadającej na nią części zbocza. Teraz musiała więc wspinać się wyżej, trzymając nóż między zębami (jej prosta sukienka nie miała paska ani kieszeni).

Zakończyła wspinaczkę na skalnej półce, gdzie rosło kilka krzaków. Odcięła wszystkie gałązki, którym jej nóż dał radę. Zanim związała je w pęk, by znieść na dół, rozejrzała się jeszcze w poszukiwaniu zarośli. W niewielkiej rozpadlinie dostrzegła kolejny krzak. Miał żółte owoce, a jego cienkie gałązki z łatwością dawały się odcinać. Jednak aby ich dotknąć, musiała sięgać bardzo głęboko. Wkrótce okazało się, że ścięcie gałązek nie będzie takie łatwe. Zastanawiając się, co robić, nadal sięgała, w głąb szczeliny, gdy nagle dotknęła czegoś zimnego jak lód czy źródłana woda. Poczwała, jakby wiatr dmuchał na jej palce. To bolało, z każdą chwilą coraz bardziej. Zaczęła krzyczeć. Próbowwała wyciągnąć rękę, żeby zobaczyć, czy palcom nic się nie stało, jednak szczelina przytrzymała już nie tylko rękę, ale całe ramię.

Zimno ogarniało ją stopniowo, ból narastał. Ciągnęła z całej siły, by się uwolnić, ale nadaremnie. Jej krzyk powtarzało echo, ale nikt na to nie zwrócił uwagi, sądząc, że to ptaki. Chwilę później Mgła odnalazła naczynie krwionośne i popędziła przez nie jak strzała wprost do mózgu dziewczynki. W oczach dziecka zgasło światło, a ciało z wolna kurczyło się i zapadało w sobie, nabierając błękitnego koloru, dopóki nie pozostało już nic prócz odrobiny

prochu, który, zdmuchnięty przez wiatr, opadł na dno doliny.

Dziewczynka była pierwsza, ale na niej się nie skończyło.

Conan i Bethina znaleźli się na czele oddziału, dość daleko z przodu. Nie dostrzegli ani śladu wody, nie mówiąc już o sadzawkach czy pokrytych mchem skałach, na których mogliby oddać się rozkoszy. Cymmerianin z podziwem patrzył na jej gibką postać, którą uwydatniały obcisłe spodnie i krótki płaszcz. Bethina nie była mu przeznaczona, podobnie jak jakakolwiek inna kobieta, przynajmniej dopóki tułał się po świecie. A to mogło znaczyć, że umrze jako kawaler, nawet gdyby miał żyć dostatecznie długo, aby towarzysze jego dziecięcych zabaw zostali siwobrodymi dziadkami. Istniały jednak kobiety, z którymi mógł żyć w zgodzie, jakiej mogliby oczekiwać małżonkowie, i Bethina należała właśnie do nich.

Nagły dźwięk, którego Conan nie potrafił rozpoznać, sprawił, że Cymmerianin zatrzymał się i uniósł rękę, nakazując ciszę. Bethina była dobrym zwiadowcą, nie gorszym niż żołnierze regularnej armii. Błyskawicznie reagowała na wszelkie sygnały i z każdym dniem coraz lepiej umiała się maskować. Jej szarobrązowe ubranie tak zlewało się ze skałami, że jeśli leżała nieruchomo, trzeba było prawie na nią nadepnąć, by ją dostrzec.

Dźwięk rozległ się powtórnie. Był to odgłos uderzenia metalu o kamień — w każdym górach nienaturalny. Oddział Conana znajdował się tuż przy granicy terytorium, na którym przebywali khorajańscy sprzymierzeńcy Doliny Mgieł i ich najemni bandyci. Gdyby bitwa miała się odbyć teraz, to mogłaby ostrzec obronę, której wtedy nie potrafiłby przełamać ani miecz Cymmerianina, ani magia Omyeli.

Conan nastawił uszu, próbując ustalić kierunek, z którego dobiegł dźwięk. Zdawało się, że dochodzi z tyłu, ale to było nieprawdopodobne. Bezpośrednio za nim byli Afghuli, poruszający się po skalistych zboczach z kocią zręcznością; lepiej nawet niż on sam.

Postanowił przycisnąć się i poczekać, by odkryć sprawcę hałasu. Jeśli to jakiś wróg próbował prześlizgnąć się przez szeregi Afghuli, byłyby to ostatnie chwile jego życia.

Cymmerianin nie musiałby nawet dobywać miecza — jego ludzie zajęliby się tym człowiekiem.

Nad górami zapadła cisza. Conan przysięgłby, że umilkły nawet ptaki i wiatr. Słyszał tylko oddech Bethiny. Nieznajomy najmniejszym hałasem nie zdradzał swojej obecności.

Nagle gdzieś wysoko rozległ się hałas. Conan zmienił pozycję i spojrzał w górę. Zobaczył gromadę objuczonych zwierząt idących w poprzek zbocza. Naliczył dwanaście mułów i sześciu pieszych strażników. Wszyscy mieli łuki i zwykłe miecze; broń, jaką najemnik może nabyć na bazarach pięćdziesięciu różnych miast. Ale nie nosili strojów wskazujących na przynależność plemienną, co w tej części gór automatycznie czyniło ich wrogami.

Conan oparł się o skałę i prostując nogi, powoli unosił się, nie będąc widoczny z góry. Nie mógł jednak nic poradzić na to, że w ten sposób staje się widoczny z dołu.

Właśnie podniósł ręce, sygnalizując bezruch i ciszę, kiedy po prawej stronie zza skały wyskoczył mężczyzna. Cymmerianin w jednej chwili rozpoznał w nim człowieka, którego ukarał za opieszałość przy składaniu przysięgi posłuszeństwa.

Mężczyzna z obnażonym sztyletem w ręku rzucił się na niego i Conan został zmuszony do walki o życie. Napastnik był szczuplejszy i niższy, ale miał siłę i zwinność leoparda, co czyniło zeń groźnego przeciwnika nawet dla kogoś o umiejętnościach Cymmerianina.

Naparł z takim impetem, że Conan uderzył głową o skałę. Na wpół ogłuszony, dobył miecza, ale w tej samej chwili napastnik ciął go w nadgarstek. Barbarzyńca wypuścił miecz i zwinął dłoń w pięść. Wycelowawszy w twarz mężczyzny, uderzył jak młotem. Napastnik odchylił głowę i cios trafił w bark. To wystarczyło, by go odepchnąć, ale powtórnie skoczył jak dziecięca zabawka na sprężynie.

Nagle z lewej strony wyłoniła się Bethina. Conan gwałtownymi gestami starał się dać jej do zrozumienia, by trzymała się z daleka. Nie chciał krzyżeć, choć obawiał się, że strażnicy karawany musieliby być głusi, by do tej pory nie usłyszeć odgłosów walki.

Tymczasem napastnik nastąpił na broń Conana i obróciwszy się na jednej nodze, drugą kopnął go w krocze. Cymmerianin uchylił się przed kopnięciem, przyjmując je na biodro, i wyszarpnął miecz spod stopy mężczyzny. Jednak zanim zdążył uderzyć, napastnik z okrzykiem „Doiran jest wodzem!” skoczył ku Bethinie.

Błysnął sztylet, ale nie sięgnął celu, Bethina bowiem padła na ziemię i stoczyła się poniżej linii cięcia. W tym momencie plecy mężczyzny przeszło inne ostrze. Napastnik zachwiał się, a z jego ust buchnęła krew. Po chwili upadł tuż obok Bethiny.

Zza skał wyszedł Farad. Jego ponura twarz spochmurniała jeszcze bardziej, gdy zobaczył leżącą i pochłapaną krwią kobietę. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo Bethina zerwała się na równe nogi i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Czy obmyśliłeś to przedstawienie, aby olśnić tę młodą damę? — spytał Conan, szczerząc zęby w uśmiechu.

Farad spojrział na niego wzrokiem dziecka, które właśnie dostało klapsa, a Bethina, zwróciwszy głowę w stronę Cymmerianina, rzekła:

— Nie wiedziałam, że jest tu jeszcze ktoś prócz ciebie i mnie. Wybacz mi, Conanie. Nie sądziłam, by pośród nas mogli się znaleźć szpiedzy mojego brata.

— A ja się tego spodziewałem — oznajmił Farad, odzyskawszy głos — ale nie byłem pewny. Gdyby jednak ten człowiek po prostu znikł którejs nocy, jego współplemieńcy mogliby to bardzo źle przyjąć. Musiałem więc zaufać moim umiejętnościom tropiciela i śledzić go, dopóki nie popełni jakiegoś błędu.

— Nic by ci się nie stało, gdybyś tropiąc go, posuwał się ciut bliżej za nim — powiedział

Conan i uniósł w górę zakrwawiony nadgarstek. — Mogłeś go zatrzymać, zanim to uczynił.

Albo jeszcze wcześniej, nim narobił hałasu. Wyżej szła karawana i jestem Stygijczykiem, jeśli ich nie zaalarmowaliśmy.

Farad, skruszony, natychmiast poszedł zobaczyć, co się stało z karawaną. Przyniesiona przez niego wiadomość nie zdziwiła Conana. Karawana popędziła naprzód, ku zachodowi, i ledwie było ją już widać. Co najmniej dwa spośród dwunastu mułów zsunęły się z górskiej ścieżki i spadły w dół na skały.

— Mogli mieć rozkazy, by pilnować mułów i nie wdawać się w walkę — orzekł Conan. — Inaczej ich strzały świstałyby nam koło uszu. Ale alarm z pewnością podniesie wszystkich na nogi.

— Czy mam iść i obejrzeć muły? To mogłoby nam coś powiedzieć — zaproponował Farad.

— Cóż takiego mogłoby ci powiedzieć? A jeśli pozostawili za sobą łucznika, żeby naszpikował strzałami kogoś zbyt ciekawskiego? Nie możemy cię stracić, Faradzie. Jesteś potrzebny, by objąć dowództwo, gdy jakiś skrytobójca lepiej skieruje swe ostrze.

Farad i Bethina spojrzeli po sobie.

— A może by tak — rzekł Afghuli — udać, że ostrze sięgnęło celu. Jeżeli nie zobaczą cię po walce, to jak się dowiedzą, że żyjesz?

— Nijak — dodała Bethina. — Możemy cię uczcić wielką żałobą i udać, że sypiemy kopiec.

— Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział Conan. — Przynajmniej dopóty, dopóki nie zechcecie naprawdę umieścić mnie pod kopcem. Ale, ale... Może mi się zdaje, ale wietrzę w tym jakiś podstęp.

Farad skinął głową.

— Sam powiedziałaś, że podniesiono już alarm. Jeżeli nasi przeciwnicy będą myśleć, że jesteśmy pokonani i pogrążeni w żałobie, i niewiele brakuje, byśmy się wycofali, to staną się mniej czujni. Mogą nawet zejść w dół — , żeby nas zaatakować na naszym własnym terenie.

— Faradzie — oznajmił uroczyście Conan — kiedy już skończymy z Władczynią Mgieł i doliną, wrócimy do Afghulistanu. Tam ja ci pomogę, abys mógł zostać wodzem swojego plemienia!

— Jeśli tak zrobicie, będziecie podróżować sami — wtrąciła niespodziewanie Bethina. — Nie będę skakać po górach jak małpa!

— I ty mówisz tak o Afghulistanie? — oburzył się Farad. — Ty, której lud wlecze się po pustyni od studni do studni, nie spędzając pod tym samym dachem choćby trzech kolejnych nocy?

— To i tak lepsze niż mieszkać pod dachem, który w każdej chwili może się na ciebie zawalić.

Conan nie słuchał dalej, ponieważ nie chciał być świadkiem pierwszej kłótni zakochanych.

Dlaczego jednak, na wszystkich bogów, Bethina wybrała właśnie jego na swego pierwszego mężczyznę? Conan nie miał nic przeciwko przygodzie z piękną kobietą, wolałby jednak nie narażać się na gniew Farada. A może dziewczyna jest po prostu rozsądna?

Afghuli był doświadczonym wojownikiem, dostatecznie dojrzałym, by Bethina musiała przyznać, że wie więcej od niej. Mogła wybrać gorzej. I w istocie wybrałaby gorzej, gdyby swoje uczucia ulokowała w Cymmerianinie.

Wszystko zatem nabierało sensu, chyba że ktoś nie mógłby zaakceptować oczywistej prawdy, iż postępowanie kobiet o wiele trudniej przewidzieć niż postępowanie bogów.

Muhbaras ćwiczył szermierkę, gdy przybył goniec. Słuchając go, przeniósł wzrok z

ciemniejących górskich zboczy na wrota doliny. Ludzie postawieni tam na straży donieśli, że Panny nie rozmawiały z nimi od wczesnego poranka. Były blade i poruszone, jakby od gorączki. Jeden z żołnierzy oznajmił, iż słyszał dobiegające zza bramy wrzaski, jakich nie mogła wydać ludzka istota, i upierał się przy tym pomimo szyderstw towarzyszy.

Kapitan żałował, że nie ma dla swoich ludzi żadnych zajęć, a przynajmniej takich, które trzymałyby ich z daleka od Pani Mgieł. Szybko jednak przestał o tym myśleć. Nie był magiem i choć dobrze wyszkolony, zdawał sobie sprawę, iż kilka mieczy nie będzie wielką pomocą tam, gdzie zawiodła magia. Ponadto zdawał sobie sprawę, że dumna Pani nie byłaby mu wdzięczna, gdyby widział ją w chwili słabości.

Co więcej, jeśli goniec mówił prawdę, to on sam, wraz ze wszystkimi swymi ludźmi, był teraz o wiele bardziej potrzebny na zewnątrz doliny.

— Jeśli pojedziemy konno do połowy ścieżki, to zobaczysz, gdzie sypią stos. Zamierzają tam złożyć ciało wodza, razem z jego osobistymi rzeczami i mieczem. Chcą zebrać i spiętrzyć dość kamienia, by powstrzymać lwy, nie mówiąc już o wilkach. Zapewne złożą ciało o świcie, a kopiec usypią w ciągu dnia. Taki właśnie jest zwyczaj pustynnych plemion, przynajmniej tych, które znam — zakończył posłaniec.

Goniec był doświadczonym wojownikiem, który zdążył zapomnieć o tych górach więcej, niż wiedział Muhbaras, gdy pierwszy raz tu przybył. Kapitan mógł więc przyjąć, iż jego raport jest w pełni wiarygodny.

— Dobrze się spisałeś — powiedział. — Otrzymasz za swoje wysiłki właściwą nagrodę, i to wkrótce.

— Wolałbym, żeby to było dziś wieczór, kapitanie. Może nie będę żył dość długo, by się nią nacieszyć.

Muhbaras zastanawiał się, czy żołnierz słyszał opowiadania o czymś strasznym w głębi

doliny, ale nie ośmielił się go zapytać. Wtedy mężczyzna uśmiechnął się szeroko i powiedział:

— Liczę na to, że zabierzesz nas, byśmy oczyścili góry z tych barbarzyńców. W ciemnościach robota jest dość ryzykowna, nawet jeśli utracili swego wodza. Jest Panna, której ze względu na jej życzliwość wobec mnie chciałbym dać upominek. Chyba nie będziesz kłócił się z człowiekiem, który pragnie to zrobić, nieprawdaż?

Muhbaras roześmiał się i wyciągnął z sakiewki dwie srebrne monety.

— Nie będę, a oto twoja nagroda. Jednak zachowaj mimo wszystko trochę sił przed walką.

— Tak jest, kapitanie. Tak właśnie zrobię, a i ty sam zastosuj się do tej rady.

Pozostawiony sam sobie, Muhbaras rozważał różne koncepcje. Zdawał sobie sprawę, iż nie ma wiele czasu. Zdecydował w końcu, że najlepszy będzie bezpośredni nocny atak, w którym wezmą udział wszyscy żołnierze, jakich uda się zgromadzić. Bandyci byli zbyt liczni, by mógł podzielić swe siły.

Oznaczało to także, iż skrzynię z pieniędzmi i inne cenne rzeczy trzeba będzie przenieść w inne miejsce. Jedynym człowiekiem, któremu mógł powierzyć to zadanie, był Ermik, co właściwie wyglądało tak, jakby powierzyć mysz opiece węża. Pozostawała nadzieja, że wąż, w przeciwieństwie do zbliżających się jeźdźców, jest syty.

Potem Muhbaras napisał trzy krótkie listy. Jeden był przeznaczony dla jego zwierzchników w Khorai. Przyjmował w nim na siebie winę, o ile taka była, i uwalniał od niej swoich ludzi.

Następny, którego nie zapieczętował, przeznaczony był dla Panien. Nawet Ermik powinien odczytać wiadomość, że Panny muszą być czujne w dwójnasób tego wieczoru, a także przez parę następnych nocy, ponieważ wrogowie znaleźli się blisko doliny, co nie zdarzyło się od wielu lat.

Ostatni opieczętował tak gęsto, jak tylko mógł. Nie był to list, jakie w przyszłości będą w

szkołach recytować dzieci, ani taki, który zapamiętałby dłużej ktoś inny prócz adresatki. Był to list od mężczyzny, który wyrusza na bitwę i ma nadzieję na szczęśliwy powrót, ale prosi swą kobietę, by zapamiętała go, jeśli zabraknie mu szczęścia.

Pani Mgieł przebudziła się w położonej najgłębiej komnacie, do której dostępu nie miały nawet Panny. Gdy odgarnęła okrywające ją koce, w lustrze pojawiło się odbicie jej nagiego ciała. Przez chwilę zapragnęła, by lustro stało się oczami Muhbarasa — tak cudownie było widzieć pożądanie, jakie w nich czytała, tak bardzo różne od tego, jakiego spodziewała się ze strony mężczyzny. Sama myśl o Muhbarasie pobudziła ją prawie tak, jak jego pieszczoty. Włożyła na siebie szatę i przetarła twarz, odpędzając sen. Potem usiadła przy szklanym stole. Nie robiła tego już od jakiegoś czasu, choć znaki, jakie umieściła na blacie, winny być wystarczającym zabezpieczeniem i ostrzec ją, gdyby cokolwiek zaczęło iść źle. Co prawda nigdy tak się nie działo, może tylko wtedy, gdy sądziła, że rządząc Pannami jak tyran, pomoże swej sprawie.

Gdy położyła dłonie na blacie, poczuła znajome klucie w palcach; kilkanaście odcieni błękitu zawirowało w szkle, póki nie zniknęły, niby w bezdennej studni lśniącej wody. Na samym dnie wyczuła Mglę, którą powołała do istnienia i którą karmiła.

Wiedziała, co Muhbaras myśli o składaniu ofiar. Wprawdzie były to zwykle darmożjady, a ich śmierć była szybka i bezbolesna...

Nie mogła zaradzić temu, co już się stało, ale mogła sprawić, by się to już więcej nie zdarzyło. Musiał istnieć jakiś sposób na zneutralizowanie Mglę, tak by była przynajmniej nieszkodliwa. Wszak nie miała dość siły, by karmić się samodzielnie. Jeden czy dwa miesiące postu nie wyrządzą Mgle krzywdy.

Czar dotknął Mglę, a stało się to wcześniej, niż Pani się spodziewała. Wzmocniła

dotknięcie i Mgła jakby ją odepchnęła, tak jak robił to nieraz Muhbaras podczas żartobliwych zapasów poprzedzających pogrążenie się w rozkoszy.

Nie był to jednak przyjazny gest. Pchnięcie zostało zadane z wielką siłą — jakby człowiek zamierzył się na muchę. W istocie była to siła większa od tej, jaką Mgła powinna mieć. Tak duża, jakby Pani karmiła Mgłę, a nie zanedbywała przez cały ten czas, który poświęciła Muhbarasowi.

Pani Mgieł wstała od stołu. Coś było nie w porządku. Zamierzała to wyjaśnić nie rzucając już więcej czarów, przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ XVI

Mgła nie odróżniała przyjaciela od wroga, ale potrafiła rozpoznać żywą istotę oraz odróżnić życie, którym mogła się karmić od tego, którym karmić się nie mogła. Od czasu, gdy po raz pierwszy nakarmiła się sama, nauczyła się także odróżniać tych, którzy jej w tym pomagali, od tych, którzy przeszkadzali. Istot tego drugiego rodzaju nie postrzegała jednak jako wrogów, lecz jako pożywienie.

Oczekiwanie na nocny atak w wysokich górach nie należy do przyjemności. Kiedy zaś ma się za sobą cały dzień marszu i czuje się nieprzyjemne pulsowanie krwi w zranionej dłoni — staje się uciążliwe nawet dla najbardziej zahartowanego cymmeriańskiego wojownika. Jednak Conan pamiętał, że nie znalazł się tu dla przyjemności. Przybył w góry Kezankian, by odnaleźć Władczynię Mgieł, której magia stanowiła poważne zagrożenie. Ale czy owa władczyni istniała naprawdę, czy też żyła jedynie w opowieściach? Dotarli do jej gór. Według Omyeli, mówiącej za pośrednictwem Bethiny, byli już tak blisko doliny, że odległość tę

mogłoby do południa przebyć idące spacerem dziecko. Jak dotąd, widzieli tylko ludzi, zupełnie niegroźnych. Nawet Omyela nie potrafiła z całą pewnością stwierdzić, czy magia Władczyni wciąż jest silna. Conan jednak wiedział, że pewne rodzaje czarów bardzo trudno wykryć. Były to niebezpieczne moce, jakimi władali potężni czarodzieje — a Władczyni Mgieł, jeśli w ogóle istniała, należała od ich grona.

Cymmerianin rozluźnił zeszywniałe mięśnie. Długo leżał na marach, odgrywając rolę martwego wodza. Gdy tylko zrobiło się ciemno, ześlizgnął się, żeby nieco odpocząć. W tym czasie, gdy jego miejsce zajął Farad, zjadł trochę mięsa i placek z fasolą. Potem znów musiał udawać zwłoki.

Wokół mar przemaszerował sznur żałobników, lamentując, jak nakazywał obyczaj. Conan miał nadzieję, że nie przeszkodzi to strażom wychwycić odgłosów towarzyszących zbliżającemu się atakowi.

Gdy lamenty ustały i zapanowała cisza, dobiegł go dźwięk zbliżających się cichych kroków. Po chwili rozpoznał chód Bethiny. Była tu już przedtem razem z Faradem, ale teraz przysła sama. Po chwili Conan usłyszał cichy oddech i poczuł zapach i ciepło kobiety, a potem spadające mu na twarz łzy.

— Nie płacz, dziewczyno — szepnął — jeszcze żyję.

— Wiem, ale opłakiwałabym cię, gdybyś nie żył.

— Nawet jeśli zamierzasz poślubić Farada?

— Nawet wtedy.

— Cóż, w takim razie jestem pewien, że opowie ci o swoich trzech żonach i siedemnaściorgu dzieciach, które pozostawił w Afghulistanie. On także...

Poczuł na gardle dotyk zimnego ostrza.

— Żartujesz, Conanie, prawda?

Okazało się, że musi włożyć nieco wysiłku, by zapanować nad głosem.

— Tak. Farad nie ma żony i nic go specjalnie nie ciągnie do Afghulistanu. Możesz wierzyć w to, co mówi.

Cofnęła sztylet. Ciepłe ramiona oplotły jego szyję.

— Boję się. Kiedy oni przyjadą?

— Spokojnie, Bethino. Wiem, że niełatwo czekać na wroga, który czai się gdzieś w pobliżu, gotów uderzyć w każdej chwili. Ale my jesteśmy u siebie, a oni wloką się w ciemnościach, zastanawiając się, czy coś ich ustrzeże przed wpadnięciem w pułapkę. Uwierz mi, doświadczyłem jednego i drugiego, i to my dzisiejszej nocy jesteśmy w lepszym położeniu.

— Niemal ci wierzę. Uwierzę do końca, jeśli mnie obejmiesz.

— A Farad?

— Powiedziałałam mu, dokąd idę, kiedy szedł na linię posterunków. Życzył mi powodzenia.

— A mnie nie? — zakpił Conan. — Niewdzięczny pies. Zabrałem go z zapchlonego szałasów i zaprowadziłem w ramiona...

— Tss! — przerwała mu szeptem Bethina.

Conan objął ją jedną ręką, ale milczał. Teraz oboje usłyszeli. Brzmiało to jak przejmujący płacz porzuconego dziecka, ale było wielokroć za głośnie i zdawało się wydobywać jednocześnie ze skał, z gór i z gwiazd na niebie.

Muhbaras również usłyszał ten dźwięk. W pierwszej chwili sądził, że to któryś ze strażników dmie w piszczałkę na alarm. Dźwięk jednak narastał i stawał się niemal bolesny dla uszu. Kapitan był pewien, że nie jest to naturalny odgłos. Pomyślał z lękiem, że dzisiejszej nocy krąży po dolinie magia, nad którą Pani Mgieł nie sprawuje kontroli. Nie wiedział, do

którego z bogów powinien się pomodlić w intencji zwycięstwa tej, która zgłębiała tajemnice przez bogów zakazane. Zastanawiał się, czy mógłby pomodlić się o własne zwycięstwo.

Wszak w tym, co zakazane, połączyła go z nią najstarsza z więzi, jakie łączyły ludzi.

Ponieważ nie wiedział, jak się modlić, nie pomodlił się wcale. Zamiast tego, prowadząc swych ludzi na dół przez usiane kamykami zbocze, całą uwagę poświęcił utrzymaniu się na nogach. Potrącony czyjąś stopą kamień mógłby uczynić o wiele więcej zła, niż tylko podnieść alarm. Gdyby wywrócił idącego człowieka, ten staczając się, ściąłby z nóg innych, i w rezultacie cały oddział osunąłby się dół jak żywa lawina, prosto pod noże wroga.

Choć Muhbaras nie widział w nocy szczególnie dobrze, jego oczy zdążyły przyzwyczać się do ciemności. Zobaczył, że biegnie prosto na mary zmarłego wodza, a niektórzy żołnierze na flankach są już sporo przed nim.

Niemal z wdzięcznością myślał o rym potwornym krzyku. Musiał on w tej chwili przyciągać całą uwagę wroga i całkowicie zagłuszać kroki biegnących ludzi. Dzięki temu uderzą z zaskoczenia i samo to może im dać przewagę.

Muhbaras wyrzucił ze swego umysłu myśl, że dla nieokiełznanej mocy różnica między wrogiem a zwycięzcą będzie bez znaczenia. Taka myśl była nielojalna wobec Pani Mgieł i mogła być też po prostu fałszywa.

Conan do ostatniej chwili wyczekiwał nadejścia atakujących. Otrzymał mnóstwo ostrzeżeń nie tylko od wartowników — którzy oddali teren ławie napastników bez walki — ale także od „żałobników” zgromadzonych wokół niego. Pośród tych ostatnich znajdowała się Bethina, której niepokój był jedynie odbiciem obawy, że coś może przytrafić się Faradowi na najbardziej zagrożonej linii straży. Jęczała i kwiliła zupełnie przekonująco, a pomiędzy jękami podawała Conanowi liczbę wrogów. Gdy ta doszła do pięćdziesięciu i nie rosła już

dalej, Cymmerianin wydał z siebie potężne westchnienie.

Proporcje były nie większe niż dwa do jednego, a to zwiastowało nie masakrę, lecz bitwę.

Conan wierzył w swoich ludzi; gdy bitwa się skończy, niewiele będzie ich już dzielić od Doliny Mgieł. To znaczy, niewielu ludzkich przeciwników.

Widział już wartowników. Przebiegali przez linię łuczników, którzy chyżo wspinali się na stopy kamieni, by ponad głowami towarzyszy zapewnić sobie czyste pole ostrzału.

Z ciemności nocy wyłonił się pierwszy napastnik. Żyłasty mężczyzna w obszarpanych szatach przeskoczył lekko przez leżącego na marach Conana. Ledwo to uczynił, w jego piersi zanurzył się po rękojeść sztylet Bethiny, a przedśmiertny krzyk sprawił, że wszelkie inne hałasy wydawały się milczeniem. Cymmerianin zerwał się na równe nogi, wyciągając równocześnie sztylet i szeroki miecz. Dobyte ostrza napotkały żywe ciała i nim Conan zdążył dać trzy kroki, dwaj kolejni napastnicy padli zgięci wpół. Trzeci napastnik gapił się na Cymmerianina, jazgocząc jak użądlna przez pszczołę małpa.

— Przepraszam cię za mój powrót z zaświatów, ale miałem tu jeszcze coś do zrobienia — uprzejmie wyjaśnił Conan.

Jego miecz musnął kark mężczyzny i na podciętej szyi bezwładnie zwisała głowa. Upadł pod nogi czwartego, który, choć zdołał uskoczyć na bok, nie zdążył uciec przed zadaniem od dołu po łuku cięciem. Został zraniony w lewe ramię, ale w prawej dłoni dzierzył handzar.

Conan zamarkował uderzenie sztyletem i wywabił mężczyznę na linię kolejnego cięcia.

Napastnik zrobił unik, ale równocześnie na chwilę stracił równowagę. Znalazł się w zasięgu miecza i to rozstrzygnęło pojedynek — ostrze doszło aż do serca, tnąc przez połowę żeber i płuco.

Cymmerianin zabił już czterech ludzi, a wziął nie więcej niż cztery oddechy. Wbrew temu, na co miał nadzieję, jego „zmartwychwstanie” nie przstraszyło i nie otumaniło wielu

wrogów.

Teraz zbliżył się do niego mocno zbudowany mężczyzna o szpakowatej brodzie.

Zasięgiem ramion prawie dorównywał barbarzyńcy, niewiele też ustępował mu siłą, lecz nie był tak szybki. Na nierównym podłożu, w obliczu czyhających zewsząd wrogów, Conan nie mógł wykorzystać w pełni swych sprawnych rąk, nóg i bystrych oczu. Walczyli przez dłuższą chwilę i nikt im nie przeszkadzał. Żaden rozsądny człowiek, widząc jak tkają wokół siebie stalową pajęczynę, nie ośmielił się podejść bliżej.

Brodaty mężczyzna dwukrotnie drasnął Cymmerianina, lecz w końcu poprowadził z dołu cięcie, które było zbyt łatwe do przewidzenia. Conan sparował uderzenie sztyletu, po czym zadał decydujący cios mieczem.

Uderzał płazem, bowiem chciał wziąć jeńca. Zbyt wiele dzisiejszej nocy ich zaskoczyło, a brodacz z pewnością dużo wiedział. Ponadto okazał się zbyt dobrym przeciwnikiem, by zabić go bez poważnej przyczyny.

Cios uszkodził hełm i oszołomił mężczyznę, lecz nie ogłuszył. Napastnik obrócił się na plecy, odsłaniając broń i sięgnął za pas po krótki nóż, jaki zwykle nosi się w górach.

Cymmerianin wtłoczył mu kolano między nogi i trzasnął w szczękę ręką miecza.

Mężczyzna zamierzył się jeszcze na Conana nożem i prawie dotknął jego pokrytej szramami piersi, ale zaraz zatoczył się i upadł, wypuszczając stal ze słabnących rąk.

Cymmerianin odszedł od powalonego przeciwnika i rozejrzał się dokoła.

Łucznicy stojący na stosach kamieni nie próżnowali. Conan w zasięgu rzutu włóczni naliczył ponad pół tuzina zwijających się z bólu lub leżących nieruchomo na ziemi postaci.

Teraz należało zająć się jeńcem. Cymmerianin miał nadzieję, że nikt go nie stratował ani też nie próbował zabić. Schwycił mężczyznę za kostki nóg, gdy przesywający noc krzyk stał się dwukrotnie głośniejszy i wciąż przybierał na sile, aż w końcu zdawało się, że w całym

świecie jest tylko ten jeden przeraźliwy skowyt — znak śmierci bogów, a może i samego świata.

Tymczasem w dolinie Pani Mgieł biegła po raz pierwszy od wielu lat. Ucieszyło ją odkrycie, że jej płuca i nogi są wciąż dostatecznie sprawne. Być może swą szybkość zawdzięczała rozsądnemu wyborowi ubrania, na które składały się pożyczone od służącej mocne buty, tunika i spodnie. Nie najlepiej to wszystko na nią pasowało, ale pozwalało uchronić skórę przed lodowatym wiatrem, a bose stopy przed leżącymi na ścieżkach kamieniami.

Oczywiście dobrze byłoby zrzucić z siebie całe ubranie, jak zawsze gdy nadchodziła pora zajęcia się magią. Teraz jednak nikt nie wzięłby jej za Panią Mgieł, a nawet za kobietę, ubranie bowiem było na tyle obszerne, że ukrywało jej sylwetkę. W nienaturalnym świetle rozsiewanym przez wlewającą się w dolinę Mglę nawet magiczna laska wyglądała jak kij pasterza albo posłańca.

Ponadto myśl, że Pani Mgieł mogłaby pędzić dokądś tak nędznie ubrana, zrodzić się mogła jedynie w przenikliwym i spokojnym umyśle. Czarodziejka nie wątpiła, że wśród ludzi w dolinie znajdują się ludzie obdarzeni takim umysłem — nie wszyscy byli z natury głupcami i nie wszystkich nimi uczyniła — wątpiła jednak, czy nawet oni zdołają się uchronić.

Gdy podążała ścieżką wiodącą do jaskini Oka, recytowała wersy starych zaklęć, by się uspokoić. Mgła zaczęła się żywić wedle własnego uznania i jej przerażające niebieskie światło napełniające dolinę, budziło we wszystkich strach, obojętnie, czy wiedzieli, co ono oznacza, czy też nie. Im bardziej się bali mieszkańcy doliny, w tym większy wpadali popłoch. Uciekając, po prostu kręcili się w kółko, jak indyk z odciętą głową.

Gdyby nawet mieli więcej zimnej krwi, niewiele by im to pomogło. A przynajmniej

większości z nich. Pani Mgieł wiedziała, że tej nocy umrą liczni mężczyźni i kobiety, a każda śmierć nakarmi Mglę esencją życia. Mgła stanie się silniejsza i łatwiej przyjdzie jej wyszukiwanie kolejnych zdobyczy (czarodziejka nie użyłaby już słów: „ofiara poświęcona Mgle”, zaczęła myśleć, że nigdy nie powinna była tak mówić).

Mieszkańcy mogli jednak uciekać do wrót doliny. Mgła, ograniczona wciąż obecną w skałach prastarą magią Acheronu, nie mogła opuścić doliny, póki nie pochłonie o wiele więcej esencji życia niż do tej pory. Pani Mgieł była tu po to, by ją powstrzymać.

To, co jej magia wypaczyła, ta sama magia mogła naprawić. Zapewne nie złagodziłoby to sądu, jaki mieli o niej inni, może oprócz Muhbarasa, który był taki... taki... po prostu taki, jaki był. Nie próbowała szukać słów, by to określić. Nie była poetką. Z czasem, gdy zamieszkają gdzieś razem — ona jako towarzyszka żołnierza Khorai — być może jedno z nich odnajdzie właściwe słowa. Tej nocy jednak ów czas jeszcze nie nadszedł.

Przyśpieszyła kroku, by znaleźć się jak najbliżej Oka Mgieł — odpowiednie zaklęcia należy rzucać z odpowiednią siłą z właściwiej odległości. Gdy szła, wołała do umysłów wszystkich mijanych po drodze ludzi, mając nadzieję, że dotrze również do tych, których nie widzi: „Uciekajciez doliny! Uciekajciez doliny! W dolinie jest śmierć! Jedyna nadzieja w ucieczce na zewnątrz!”

Powtarzała ostrzeżenie, a jeden czy dwu ludzi na ścieżce obróciło się i rozejrzało wokoło, jakby w poszukiwaniu źródła wiadomości, która dotarła do ich umysłów, nie przechodząc przy tym przez uszy. Pani prawie się roześmiała — był to jeszcze inny sposób, by pozostać w ukryciu; wołanie wprost do umysłu oznaczało, że nie musiała używać własnego, aż za dobrze znanego głosu.

Conan oparł się plecami o stos kamieni, by móc swobodnie walczyć z napastnikami, jacy

pojawią się z przodu i z boków. Łucznicy, którzy jeszcze żyli, siali spustoszenie w szeregach przeciwnika. Teraz zbliżyli się do Conana i pozostałych obrońców. Ledwie połowa oddziału pozostała zdolna do walki.

Bethina przykucnęła między Conanem i Faradem, a chociaż jej ręce mocno trzymały sztylet, to oczy nie widziały niczego. Od kiedy zaczęła się bitwa, dziewczyna nie przekazała żadnej wiadomości od Omyeli. Cymmerianin miał nadzieję, że nikt nie postrzeże Bethiny jako słabego punktu obrońców i nie rzuci się na nią. To skończyłoby się krwawą łaźnią dla atakujących, ale mogłoby również przynieść zgubę dziewczynie. Poza tym Conan był przeświadczony, że byt, który wyrwał się w dolinę na wolność, zgładzi wszystkich, o ile Omyela im nie pomoże.

Większość mieszkańców Doliny Mgieł uciekła, zanim Pani Mgieł im to nakazała. Tylko jeden człowiek zawzięcie maszerował drobnymi kroczkami, udając się w tym samym co ona kierunku.

Był to Ermik, który nie mógłby się poruszać tak szybko jak teraz, gdyby wciąż niósł złoto, jakie powierzył mu Muhbaras. Pozostawił je w bezpiecznym, nie znanym nawet Pannom miejscu. Jeśli zaś chodzi o same Panny, to należało się spodziewać, że wkrótce będą uciekać tak szybko jak reszta. Zbyt szybko, by przeszukać różne pieczary i jamy.

W podążaniu śladami Pani Mgieł kryło się jednak pewne niebezpieczeństwo, nawet jeśli nie kierowała się ona ku nieokiełznanej mocy. Niemniej na tej drodze musiał leżeć jej skarbiec, zasilany drobnymi sumami wychodzącymi ze skrzynki płatnika. Ponadto na tej drodze Ermik mógł dowiedzieć się więcej o magii Pani, niż dowiedział się Muhbaras przez ten czas, jaki z nią spędził.

Dzięki złotu Ermik mógłby kupić sobie prawo do swobodnego opuszczenia Khorai, a

dzięki wiedzy — wyższe stanowisko w khorajańskiej służbie. Wtedy dano by wiarę jego raportom o Dolinie Mgieł, a nie słowom kapitana. Jego pozycja wzrosłaby dostatecznie, by nigdy więcej nie musiał być posłuszny takim najmitom jak Muhbaras. Tymczasem idąc, dotykał rękojeści sztyletu, w którą był wprawiony kamień chaosu — a w każdym razie coś, co sprzedano mu za cenę tak wygórowaną, że wytoczyłby z kupca krew, gdyby nie okazało się prawdą, że sztylet z kamieniem ciśnięty w stronę czarodzieja rzucającego dowolne zaklęcie może zakłócić jego działanie.

Nadszedł atak, którego obawiał się Conan. Zaczął się gradem strzał padających z siłą nadaną im przez łuki godne turańskich. Na szczęście źle je wymierzono. Jedna przeszła przez włosy Bethiny, inna ugodziła Farada w ramię. Wojownik roztarł ranę, jakby ukąsił go komar, i potrząsnął groźnie handzarem.

— No dalej, chodźcie tutaj. Spotkajcie się z Faradem, Conanem i ich towarzyszami.

Wyleczymy waszą głupotę! — zaryczał.

Dorzucił jeszcze parę wyzwisk w języku iranistańskim. Ci, którzy nie zrozumieli słów, pojęli dobrze ich ton, i po chwili wydawało się, że na obrońców Bethiny wysypuje się z głębi nocy gromada wyjących szaleńców.

W samym sercu Mgieł zaczęło formować się i rosnać coś, co można by nazwać wola.

Wola ta pragnęła poszukać ścieżek w skałach, idąc po śladach starej magii, którą teraz mogła sama wyczuć. Gdyby jej się to powiodło, nie potrzebowałaby esencji życia, by się wzmocnić.

Mgła nie była już istotą eteryczną, stała się monstrum z głębin ziemi. Równocześnie w środku świecącego błękitu, tam, gdzie znajdowało się Oko Mgieł, zaczęło rosnać szkarłatne jądro.

Atak na Bethinę i jej obrońców wkrótce przerodził się w bijatykę. Zbyt wielu ludzi tłoczyło się w ciasnym miejscu, by ktokolwiek zaprezentował w walce poziom jeśli nie sztuki, to bodaj rzemiosła.

To dało przewagę obrońcom. Conan, choć nie używał miecza ani sztyletu, radził sobie znakomicie. Nigdy nie uczył się pochodzącej z Khitaju sztuki walki gołymi rękoma i nogami, więc może jeden z jej mistrzów byłby dla Cymmerianina godnym przeciwnikiem. Jednak nawet Khitajczyk potrzebowałby zarówno szczęścia, jak i umiejętności, i tylko naprawdę najwięksi mistrzowie mieliby szansę ująć przed burzą ciosów. Pierwszego napastnika uderzył kantem dłoni w szyję. Drugiego walnął pięścią w kark łamiąc mu żebra. Jeszcze innego chwycił za podbródek i szarpnął tak mocno, że szyja trzasnęła jak sucha gałąź.

Farad i pozostali obrońcy radzili sobie nie gorzej i wkrótce ziemia pokryła się zabitymi i rannymi napastnikami. Ci ostatni jęczeli z bólu.

Wkrótce Conan zobaczył, że atakujący wycofują się w górę zbocza w daleko mniejszej liczbie niż przyszli. Zanim całkiem zniknęli mu z oczu, stracili jeszcze trochę ludzi od strzał łuczników. Teraz dopiero Cymmerianin rozejrzał się dokoła, szukając Bethiny.

Ujrzał ją chwilę później, rozciągniętą na leżącym twarzą do ziemi jeńcu, którego wziął wcześniej. Skoczył ku niej. Powitała go soczystym przekleństwem, gdyż przypadkowo nadepnął na jej wyciągniętą nogę.

— Proszę o wybaczenie, pani.

— No, ja myślę — wydyszała Bethina i po chwili rzekła: — Nadziałam jednego na swój sztylet, ale ten człowiek miał tak twarde mięśnie, że nie dałam rady wyciągnąć ostrza. Więc kiedy ten brodaty zaczął dochodzić do siebie, wszystko, co mogłam zrobić, to skoczyć mu na plecy.

Skok był nader udany — nos mężczyzny po gwałtownym zetknięciu się z kamienistym

podłożem został rozbity na krwawą masę. Ale mężczyzna nadal oddychał, a gdy Conan zdjął z niego Bethinę, zaczął jęczeć.

— Zabiorę na górę paru ludzi i pogonimy ich — zaproponował Farad.

Cymmerianin potrząsnął głową.

— Nie będziemy dzielić naszych sił w nieznanym terenie. Ci ludzie mogą jeszcze wziąć się w garść i poszatkować cię na plasterki. Ponadto musimy chronić Bethinę. Kiedy po raz ostatni były jakieś wiadomości od Omyeli?

Twarz Bethiny utraciła swój zwykły wyraz. Dziewczyna zwolniła oddech i przygotowała się do otwarcia umysłu na wiadomość wysłaną przez drugą kobietę.

Pani Mgieł podeszła do Oka najbliżej jak mogła. Gdyby zrobiła jeszcze jeden krok ziemia pod jej stopami mogłaby zmienić się w pył, ponieważ tak jak robaki żywią się kośćmi padłych zwierząt, tak Mgła karmiła się śladami zaklęć dawno temu zmarłych achemońskich magów.

To właśnie magia Acheronu powołała Mgłę do życia. Teraz ta sama magia zapędzi ją do podziemnych czeluści, w których panuje wieczna noc. Wtedy Dolina Mgieł stanie się bezpiecznym i zdrowym siedliskiem dla zwykłych kobiet i mężczyzn.

Czarodziejka chciała opuścić to miejsce i modliła się, by odejść stąd razem z Muhbarasem.

Nie mogła jednak pozostawić doliny, zanim nie przywróci jej do poprzedniego stanu.

Nie potrafiła wrócić życia umarłym. Nie zamierzała ich nawet prosić o przebaczenie, ponieważ tego, co zrobiła, nie można było przebaczyć. Pragnęła tylko zaznać trochę szczęścia jeszcze w tym, doczesnym życiu, zanim będzie musiała stawić czoło gniewowi swych ofiar w przyszłym. Tymczasem zrobi wszystko, co możliwe, by nie było już więcej zabitych.

Kiedyś już stworzyła i obezwładniła zaklęciami byt wywodzący się z samego jądra

mrocznej magii Acheronu. Tamten jednak mógł pochłonąć tylko pojedyncze ludzkie życie, był słaby i łatwy do kontrolowania. Teraz potrzebowała potężnego zaklęcia, które miałyby w sobie dość esencji śmierci, aby zabić Mgłę. Żywioł śmierci wchłonąłby Mgłę i sam zginął.

Pani Mgieł zrzuciła ubranie i stanęła nago, by jak najlepiej przygotować się do użycia potężnej magii. Trudno jej było wyobrazić sobie, by ktoś mógł zaatakować ją tak blisko Mgieł, nawet gdyby ją zobaczył i rozpoznał.

Trzy sylaby w tajemnej mowie Acheronu pojawiły się w jej umyśle i spłynęły z warg, gdy wzniosła nad głową laskę.

Muhbaras zebrał właśnie ludzi, jacy mu pozostali, gdy z tyłu wpadła między nich kobieta o zdziwałym wzroku.

Była to Panna. Pokrwawiona, okryta jedynie strzępami ubrania, półprzytomna z bólu, wyczerpania i przerażona, wyglądała, jakby wróciła z samego piekła.

— To szaleńcy — wykrztusiła — szaleńcy. Mgła ogarnia dolinę, a oni wszyscy powariowali, próbując się stąd wydostać. Mówią, że Pani im tak rozkazała, ale nie wiemy, gdzie ona jest.

— Nie znacie jakiegoś sposobu, żeby do niej dotrzeć?

— Nie. Ja...naprawdę nie znamy.

Muhbaras próbował uspokoić kobietę, a przynajmniej pomóc jej zebrać myśli.

— Jeśli pójdziemy tam i pomożemy, to czy zdołacie utrzymać porządek? — zapytał.

— Mężczyźni w dolinie?! To niemożliwe!

— Mężczyźni nie tylko byli w dolinie, ale odwiedzali Panny, a nawet samą Panią Mgieł — ryknął Muhbaras.

Gdyby w pobliżu pozostały jeszcze jakieś luźne skały, to jego głos spowodowałby lawinę.

Panna skrzywiła się, ale po chwili skinęła głową.

— Dobrze — zakończył Muhbaras. — Kiedy zdołamy opanować sytuację, pomożecie nam w walce z rabusiami, którzy są naszym wspólnym wrogiem.

Miał nadzieję, nie przecenił przydatności Panien w prawdziwej bitwie. Nie chciał ich niepotrzebnie narażać — Pani Mgieł nie byłaby mu za to wdzięczna. Jednak tej nocy potrzebował wszelkiej pomocy, jaką tylko zechcą mu zesłać bogowie.

Niebo nabrało barw płonącej purpury, gdy różowoszarłatny odcień rozjaśnił się i zaczął stapiać z błękitem.

— To wygląda jak ogromna rabata fiołków, które zmarniały i stanęły w ogniu — wymamrotała Bethina.

A może to była Omyela? Obie kobiety powtórnie rozmawiały ze sobą przez wzgórza.

Conan dałby skrzynię srebra, żeby dowiedzieć się, o czym właśnie mówią, nic jednak nie docierało do uszu zwykłych śmiertelników.

Farad zrobił taką minę, jakby miał zwymiotować.

Bethina spojrzała na niego z ironicznym uśmiechem.

— Mężczyźni mają takie delikatne żołądki — powiedziała. — Jak dobrze, że to kobiety rodzą dzieci. Mężczyźni poumieraliby z powodu porannych mdłości, zanim dziecko mogłoby przyjść na świat.

Farad zawiesił spojrzenie na Bethinie.

— Chyba nie jesteś... — zaczął z pasją.

— Niech cię zaraza — przerwała mu. — Nie, nie jestem. Możesz się nie obawiać o pochodzenie synów, których mogę ci dać.

— Nie miałbym nic przeciwko synowi z cymmeriańskiej krwi — odpowiedział Farad po

chwili namysłu. — Oczywiście, musiałbym przedtem zabić Conana.

— Och! — jęknął, kiedy Bethina boleśnie kopnęła go w goleń.

Nagle zeszywniała, a gdy przemówiła, jej głos stał się ciężki i niski, jak głos Omyeli.

— Musicie iść w górę, do wrót doliny. Podążajcie za ludźmi, których pokonaliście.

Poprowadzą was. Nie będą waszymi wrogami, ponieważ to, co szaleje w dolinie, jest wrogiem wszystkich.

Farad spojrział na Cymmerianina.

— Przecież to mogłoby pojąć pięcioletnie dziecko — odezwał się. — Ale byłoby zbyt młode, by się wystraszyć i stracić głowę.

— Cóż to, Afghuli się boi? Wojownik ludu, który używa ostrych kamieni...

— Cymmerianinie, może zabiję cię, gdy to się skończy, nawet jeśli wszyscy moi synowie będą moimi potomkami. Lepiej zajmij się wspinaczką, zamiast marnować siły na czczą gadaninę.

Ermik napotkał Panią Mgieł dość niespodziewanie. Nic go nie ostrzegło przed niebezpieczeństwem, a ona żadnym znakiem nie pokazała, że go widzi lub słyszy. W istocie wydawało się nieprawdopodobne, by mogła wyczuć cokolwiek pochodzącego z tego świata. Ubrana była odpowiednio do rzucania czarów, czyli nie miała na sobie nic, jej laska jarzyła się, jeśli to w ogóle możliwe, czarnym światłem, a oczy świeciły złotym blaskiem.

Mimo iż tak przerażająca, była również bardzo piękna. Ermik nie dziwił się już, dlaczego Muhbaras jej pożądał, i raczej żałował, że musi skończyć swoją sprawę z Panią Mgieł, nie nacieszywszy się jej pięknnością.

Mądry człowiek powinien wszak uderzyć szybko, gdy ma do czynienia z wiedźmą. Ermik ruszył naprzód, dobył sztylet z kamieniem chaosu i obróciwszy go w powietrzu, chwycił za

ostrze i cisnął. Rzucił prosto w czarodziejkę, licząc na to, że jeśli kamień nie spełni swego zadania, to sam sztylet zrani kobietę na tyle, by złamać jej koncentrację.

Zdarza się, że nawet najpotężniejsze zaklęcie, rzucone przez najbiedniejszych w sztuce czarodziejów, może doprowadzić do katastrofy, jeżeli w nieodpowiednim momencie kichnie dziecko. Kamień chaosu, choć niewart nawet dziesiątej części zapłaconej przez Ermika ceny, był silniejszy od kichnięcia dziecka i wtargnął w krąg zaklęcia w najgorszej możliwej chwili. Ostrze sztyletu ugodziło Panią Mgieł i doszło do płuc. Kombinacja chaosu, przerwanej koncentracji i bólu zerwała kontrolę nad żywiołem śmierci. Wrzeszczał teraz i skrzeczał w jej umyśle, ściskając go bezcielesnymi mackami, co powodowało potworny i całkiem cielesny ból.

Pani Mgieł umierała w strasznych mękach. Gdy życie z niej uszło, żywioł uwolnił się spod wszelkiej kontroli. Zanim wyskoczył, jego aura ogłuszyła Ermika, który padł na ziemię bez zmysłów. Żywioł mógłby go pomylić z kimś już zmarłym, jednak śpieszył się, by opuścić obszar, w którym działała jeszcze magia Pani. Wywierała na niego podobny wpływ, jak wypełniony dymem pokój na człowieka o delikatnych płucach.

Gdy uciekł, zawył triumfalnie, a to wycie dotarło do uszu ludzi i tak już na wpół głuchych od dobiegającego z doliny ryku Mgieł.

Jeżeli w dolinie były jeszcze jakieś miejsca, których dotąd nie ogarnęła panika, to zapanowała tam teraz.

ROZDZIAŁ XVII

Conan zawsze podejrzliwie odnosił się do magii, toteż z niechęcią myślał o wspinaniu się na stok. Niestety do sekretów Doliny Mgieł wiodła tylko ta jedna, w tej chwili nie broniona

droga.

Nie wyruszyli jednak od razu. Ci, którzy wyszli cało z bitwy, opatrywali rannych, a ocaleli łucznicy zajęli się zbieraniem strzał, wyciągając je z kołczanów poległych wrogów i przyjaciół. Sam Conan odszedł na bok, by porozmawiać z jeńcem, który przedstawił się jako Bamshir.

— Czy pójdziesz z nami jako przewodnik, jeśli cię nie zwiążę?

Widać było, że Bamshir ma ochotę splunąć w odpowiedzi. W końcu wzruszył ramionami.

— Tak czy owak, moje życie jest jak zakład w grze w kości — burknął niechętnie.

— Niekoniecznie. Być może twoi ludzie będą cię potrzebować, byś nimi pokierował. My zaś potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy przeciwko temu, co szaleje w dolinie. I niech mnie wykastrują, jeśli to coś nie jest w tej chwili naszym największym wrogiem!

— Może naprawdę masz rację? — Bamshir zmarszczył brwi.

— Mam rację. Dostatecznie długo przebywałeś oko w oko z magią Pani Mgieł, bym nie musiał cię o tym upewniać!

Ostatecznie Bamshir zgodził się i Conan nawet chciał mu oddać nóż. Trzymał jednak swego przewodnika z dala od Bethiny, widać było bowiem, że jeńiec tracił zimną krew, ilekroć się zbliżała. Raz nawet, gdy sądził, że Conan nie patrzy, wykonał pod jej adresem jednoznaczny nieprzyjazny gest.

Bethina była pogrążona w transie. Szła w ciemnościach niby lunatyczka, niepewnie stawiając nogi, i chyba tylko cudem nie upadła. Jej ciało poruszało się bez świadomości połączonego z Omyelą umysłu. Było jasne, że dopóki nie zakończy się bitwa na czary, dziewczyna nie będzie w stanie z nikim walczyć. Na szczęście wiadomo było, że Farad zrobi wszystko, co leży w ludzkiej mocy, by ją uchronić.

Ludzie Muhbarasa dotarli do wrót doliny zziajani i zasapani, ale w niezłym porządku.

Kapitan przypuszczał, że część uciekła, jednak spośród tych, którzy z nim pozostali, żaden nie porzucił broni.

Dwaj strażnicy pośpiesznie otworzyli bramę. Na ich gładkich jak u eunuchów twarzach malowało się skrajne przerażenie. Obok stała Panna. Ona również, mimo całego wysiłku woli, nie potrafiła ukryć strachu.

Muhbaras nie winił za to nikogo z tej trójki. On sam znalazł się tu ze względu na swą Panią, swych ludzi i własny honor — w tej właśnie kolejności. Khoraja była tylko pustym słowem, które nie powstrzymałoby go przed ucieczką.

Minał bramę, a za nim podążali gęsiego żołnierze. Niektórzy posyłali Pannom sprośne pozdrowienia, inni rozglądali się po zakazanym niegdyś dla nich miejscu.

Ich dobre samopoczucie zniknęło w chwili, gdy ujrzeni odległy kraniec skalnej rozpadliny — tam, gdzie kończył się korytarz prowadzący do doliny, płonęło, niby palenisko kuźni szalonego kowala bogów, purpurowe światło. Co gorsza, Muhbaras dostrzegł na niebie czarne niczym noc pasma, które karmiły się światłem (przynajmniej tak mu się zdawało, bał się zapytać kogoś, czy widzi to samo). Miał nadzieję, że jest to przejaw magii, którą Pani chce podporządkować sobie Mglę. Pozostała mu tylko ta nadzieja, i może modlitwa.

— Ustawcie się parami! — zawołał. — Zostaniecie tutaj. Nie pozwólcie nikomu przejść przez wasze szeregi! Jeśli pojawią się jakieś Panny, to, o ile będą uzbrojone, włączcie je do szeregu. Jeżeli nadejdzie ktoś inny — rozbróćcie go.

— A co potem? — zawołał ktoś. — Mamy takiego gdzieś odesłać czy zatrzymać tutaj?

— Jeśli nie zechce zostać, odeślijcie go z powrotem. Kiedy w dolinie zapanuje spokój, zabierzemy ludzi na dół, żeby poszukać wody i schronienia, dopóki Pani nie weźmie spraw w swoje ręce.

Żołnierze roześmieli się. Jak dotąd, pozostawali w pełni lojalni wobec swego kapitana.

Pani, zaklinam cię, pomyślał Muhbaras napraw to, zanim moi ludzie uciekną jak twoi.

*

Gdy rozpoczęli wspinaczkę, Conan musiał hamować swych ludzi.

— Jeśli będziecie w takim tempie wbiegać pod górę, to zapewne padniecie na twarz — wołał. — A wtedy albo ktoś nadzieje was na szpikulec, zanim wstaniecie, albo stoczycie się w dół i straciecie to, co macie w głowach zamiast mózgu!

Farad dodał do tych drwin swoją część i wkrótce wszyscy szli równym krokiem w zwartym szyku, z łucznikami na flankach, skąd było dobre pole ostrzału. Do tej pory nie natrafili jednak na żaden cel i Conan był zadowolony, że udało się uniknąć walki na stromiźnie. Wprawdzie Afghuli czuli się tutaj jak w domu, ale współplemieńcy Bethiny przywykli do bardziej płaskich terenów. Niemniej dotrzymywali kroku Cymmerianinowi. Bethina nie była już pogrążona w transie łączącym ją magiczną więzią z Omyelą, ale kroczyła w milczeniu, nie patrząc na boki. Odezwała się dopiero, gdy Conan zarządził krótki postój, żeby przeformować szyk i umożliwić wszystkim wzięcie paru spokojnych oddechów.

— Rozmawiałam z Omyelą — rzekła.

— Tak właśnie myślałem — odparł Conan. — Czy możemy pomówić o tym, co ci przekazała?

— Możemy, w każdym razie tak sędzę. Ale nie będzie ci się chciało tego wszystkiego słuchać. Omyelą nie potrafi powiedzieć paru istotnych słów, nie dodając kilkakrotnie więcej zbędnych. Jak to stara kobieta. Albo czarodziejka.

Conan skrzywił się w grymasie udawanego przerażenia.

— Ona jest przecież starą czarownicą! Czy w ogóle zdarza jej się mówić jasno?

— Nieczęsto — przyznała Bethina. — Ale mogę ci powiedzieć, co miała na myśli. Ona twierdzi, że w dolinie jest śmierć i życie, które toczą ze sobą bitwę.

— W jaki sposób odróżnia to dolinę od innych miejsc, w których istnieje życie? Śmierć przychodzi po każdą żywą istotę, tak mi się przynajmniej wydaje.

— Tak, ale... Jakby to powiedzieć...

— Prosto i krótko. Niebawem musimy ruszać dalej.

— Czyżbyś zamierzał się ze mną ożenić, by móc mi rozkazywać?

— A czy chciałabyś mieć dwóch mężów?

— Gdybyście to byli ty i Farad...

— Pochlebia mi to. Ale pośpieszmy się. Mów.

— Śmierć i życie są... bytami. Pozostawione same sobie odrębnie, zniszczą dolinę, a potem ruszą szerzyć spustoszenie dalej. Jednak połączone, zniszczą się nawzajem.

— Czyli wszystko, czego nam potrzeba, to postawić je obok siebie i trzymać się z daleka?

— Tak przypuszczam. Omyła jeszcze tego nie wyjaśniła.

— Lepiej, żeby nie robiła tego tak długo, jak zwykle, bo w końcu nie pozostanie przy życiu nikt, kto mógłby słuchać jej wyjaśnień.

Bethina przyjęła tę uwagę bez mrugnięcia okiem, czego nie dało się powiedzieć o niektórych mężczyznach.

Żołnierze Muhbarasa ledwo mieli czas przeformować szeregi, gdy pojawiły się przed nimi uciekające Panny. Kapitan, spojrzawszy na nie, pomyślał, że słowo „ucieczka” byłoby nietrafne. W istocie nie uciekały, tylko wycofywały się. Udało im się pozostać na czele tłumu uchodźców, utrzymać przyzwoity szyk i zachować broń.

Inną sprawą był podążający za nimi tłum. W chwilach gdy zdawało się, że niebo ożyło i wyje głosem szaleńca, Muhbaras chciał zatkać uszy rękoma. Nie usłyszałby uchodźców, nawet gdyby krzyczeli mu prosto do ucha, uważał jednak, by zanadto się do nich nie zbliżyć.

Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, małe dzieci i siwobrodzi starcy, a nawet spora grupka młodych eunuchów. Wyruszyli, pozostawiając cały swój dobytek, ubrani tylko w to, co mieli na sobie w chwili, gdy nadeszło wezwanie do ucieczki. Nielicznym udało się wziąć coś więcej niż skąpy przyodziewek — najwyżej bochenek chleba lub pęczek cebuli.

Nakarmienie tej gromady nie będzie łatwym zadaniem, moja Pani — pomyślał Muhbaras. — Lecz to twoi ludzie i ze względu na ciebie zrobię to, co muszę.

Gdziekolwiek można było dostrzec zniekształconych półludzi, których Pani Mgieł przemieniła czarami i skazała na kaleki żywot, by wykonywali najcięższe prace, dopóki nie nadszedł czas, by oddali swą esencję życia. Było jasne, że nie przeżyją tej nocy; albo dopędzi ich Mgła, albo zabiją sąsiedzi, albo wreszcie powali ich własna słabość. Muhbaras nie potrafił im współczuć. Miał tylko nadzieję, że śmierć okaże się dla nich łaskawa.

Bardziej niepokojący był widok paru grup dobrze uzbrojonych i silnych mężczyzn czy może eunuchów. Ci prezentowali się groźnie i kapitan wiedział, że przy najbliższej okazji będą polować na uchodźców jak szakale. Spotykał takich już wcześniej. Jedyne, co mogło ich powstrzymać, to ostre rozkazy, wzmocnione jeszcze ostrzejszą stalą. Podszedł bliżej, wychodząc na spotkanie trzem pierwszym mężczyznom.

— Stać! Złóżcie broń! — zażądał, podnosząc głos na tyle, by przekrzyczeć zgiełk.

W tej samej chwili rozwrzeszczało się niebo i musiał powtórzyć rozkaz.

— A kimże jesteś, by wydawać rozkazy? — gniewnie zapytał najwyższy z nich.

— Kapitan Muhbaras, w służbie Khorai — padła odpowiedź.

Mężczyzna sięgnął po miecz, ale Muhbaras był szybszy. Ostrze spoczęło na gardle

mężczyzny, zanim zdołał unieść swą broń. Ten przyjrzał się mieczowi niemal przecinającemu mu skórę i głośno przełknął ślinę.

— Och... Czy będę mógł dostać swój miecz z powrotem? — wystękał.

— Kiedy tylko...

Rozległo się kolejne wycie i coś dużego i czarnego przeleciało im nisko nad głowami, niby rycząca jak szalony smok chmura.

— To miecz Panny! — rozległ się krzyk za plecami Muhbarasa. Obrócił się, odrywając wzrok od mężczyzny, który poderwał miecz i ciął nim tuż przy twarzy kapitana.

Muhbaras próbował równocześnie walczyć z mężczyzną i powstrzymać Pannę o szalonym spojrzeniu, która była zdecydowana pomścić swą towarzyszkę. Tymczasem uchodźcy zerwali się do biegu. Uzbrojeni i nie uzbrojeni ludzie przepływali obok rwącym strumieniem i potracali walczących, nie zważając na przecinające powietrze ostrza.

W tym zamieszaniu Panna usiłowała równocześnie pilnować Muhbarasa, mężczyzny i swych tyłów. Nie mogło jej się to udać i mężczyzna dzikim cięciem rozplatał jej szyję, by po chwili paść obok niej, gdy Muhbaras przebił mu sztyłem gardło.

Kapitan spojrzał na martwą Pannę. Przeklął wszystko, prócz samej Pani Mgieł, choć pozwolił sobie przy tym na kilka nieżyczliwych wobec niej myśli. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej koszmarnej nocy i nawet gdy będą leżeć objęci, ta noc będzie spoczywać między nimi.

Nagle z doliny dobiegł potworny krzyk, jakby same góry, gwiazdy, powietrze, woda i każda żywa istota, która znalazła się w zasięgu nieokiełznanej magicznej mocy, konała w śmiertelnej męce. Był to głos czystego szaleństwa i Muhbaras, choć Panny i jego ludzie stali tak daleko, zobaczył je na ich twarzach.

Zamknął oczy, by uwolnić się od tego koszmaru. Żył nadal, gdy je otworzył, tylko echa

wrzasku wciąż rozbrzmiewały w dolinie.

Nie myślał teraz o nikim, prócz Pani Mgieł. Chciał iść do niej, wziąć ją na ręce i wynieść z tego przedsionka piekieł. Miał przy tym dziwne uczucie, że w nim także tkwi jakieś szaleństwo, w każdym razie przysłała mu do głowy taka myśl.

Jego ludzie wciąż jeszcze żyli, podobnie jak Panny i uchodźcy. Dla nich mógł zrobić więcej niż dla Pani Mgieł, o ile nadal żyła.

O ile żyła. Myśl o jej śmierci owładnęła nim całkowicie. Jeżeli Pani umarła, on pierwszy musi odnaleźć jej ciało.

Z mieczem w dłoni kapitan Muhbaras przedzierał się w głąb Doliny Mgieł ścieżką, którą chwilę wcześniej podążała Pani Mgieł.

Wrota doliny stały otworem, gdy Conan w końcu doprowadził do nich swych towarzyszy.

Z bramy wylewał się strumień ludzi o przerażonych oczach. Niektórzy byli ranni, a wszyscy skrajnie wyczerpani i półprzytomni ze strachu.

Cymmerianin nie próbował powstrzymać tej fali i właściwie nawet nie chciał. Jeżeli

Władczyni Mgieł wkrótce stanie się królową bez poddanych, tym łatwiej będzie ją pokonać.

Conan był dumny ze zwycięstw, jakie odniósł dzięki swej sile i umiejętnościom, ale nie na tyle, by odmawiać przyjęcia triumfu, który ofiarował mu los.

Pomiędzy uciekającymi dostrzegł uzbrojonych mężczyzn i kobiety. Niektórzy wyglądali na ludzi, którzy podnieśli porzuconą broń z zamiarem wykrojenia sobie lepszego losu z nędzy pozostałych. Pozostali, łącznie z kobietami, sprawiali wrażenie wycofujących się żołnierzy.

— Kobiety to Panny Pani Mgieł — wyjaśnił cicho Bamshir. — A mężczyźni to ludzie Muhbarasa. Znam niektórych.

— Widzisz go gdzieś?

— Jeszcze go nie zauważyłem, ale byłby ostatnim z uciekających. Nawet gdyby porzucili go żołnierze, on popędziłby do przodu szukać Pani Mgieł. Wszyscy wiedzą, że ją kochał, i myślę, że ona też go kochała — dodał jeszcze ciszej.

Conan spojrział na Bamshira z niedowierzaniem. Myśl, że ktokolwiek mógłby kochać czarodziejkę, zmroziła go do szpiku kości. A myśl, że czarodziejka mogłaby kogoś pokochać... On sam był obiektem uczuć wielu dziwnych, niebezpiecznych kobiet, ale mężczyzna, który bawił się w miłosne gierki z wiedźmą, musiał kochać niebezpieczeństwo jeszcze bardziej od niego.

— Poszukajmy więc twojego kapitana, a gdy się znajdzie, to może razem z nim znajdziemy też Panią Mgieł — powiedział w końcu.

Ruszył pierwszy, a Farad, Bethina i Bamshir podążyli za nim przez bramę ramię przy ramieniu.

Muhbaras był świadom faktu, że ziemia pod nogami zaczyna się trząść. Nie zwolnił jednak ani nie zmylił kroku. Biegł z taką determinacją, iż zdawało się, że nawet gdy rozstąpi się pod nim ziemia, nie ustanie, lecz będzie poruszał się w powietrzu.

Nie myślał o niczym, co pozostawił za sobą, owładnięty jednym tylko pragnieniem — znaleźć ją, wziąć w ramiona, ukołysać.

Czy jeszcze żyjesz? Daj mi jakiś znak!, powtarzał w duchu.

Powoli dotarło do niego, że niebo jakby stężało i zaczyna wirować. Zauważył dwie duże spirale. Wyglądały jak ogromne trąby powietrzne. Jedna była purpurowa, drugą tworzyła ciemność, która tłumiła i pochłaniała światło.

Wiry wystrzeliły do góry ku niebu z dwu różnych punktów doliny, wsparły się o siebie, niby w jakimś szaleńczym tańcu, a potem cofnęły się, zachybotały i zaczęły powtarzać swój

pląs od początku.

Było cicho, w każdym razie do uszu Muhbarasa nie docierał żaden dźwięk. Dopiero — gdy ziemia przed nim rozstała się na tyle szeroko, że musiał skoczyć, by nie pochłonęła go szczelina, usłyszał przenikliwy zgrzyt rozdieranej skały.

Potem słyszał już tylko swój urywany oddech.

Conan ujrzał na niebie dwie spirale — jedną świecącą purpurowo i drugą czarną niczym koszmar ze snu demona. Zrozumiał, że moce osiągają maksymalną siłę. Nie potrzebował nawet wyjaśnień Bethiny, która, odgięta w tył tak bardzo, że musiało to być prawdziwą męką dla jej pleców, wpatrywała się w niebo szeroko otwartymi oczyma.

W pewnej chwili potrzęsła głową, aż włosy rozsypały się chmurą wokół głowy, uniosła ręce i złączyła dłonie. Te zaczęły się jarzyć dziwnym światłem, w którym były może wszystkie barwy, a może tylko jedna. Cymmerianin nie mógł znieść tego widoku, ale nie zdobył się również na to, by odwrócić głowę i spojrzeć gdzie indziej. Farad mamrotał pod nosem przekleństwa w ojczystym języku, a Bamshir padł na kolana i wykrzykiwał coś, co przypominało modlitwę do Mitry.

Wierzyć w boga, który odpowiada na modlitwy, albo przynajmniej mówi swym kapłanom, że na nie odpowie — było to pokrzepienie, jakiego na zawsze Conanowi odmówiono.

Zamiast się modlić, wyciągnął miecz. Zawsze pragnął umrzeć z bronią w ręku i nie chciał, by stało się inaczej.

Blask bijący z rąk Bethiny nabrał wyraźnie zielonej barwy. W tym samym momencie Cymmerianin poczuł, że ziemia zaczyna mu się trząść pod nogami, i zobaczył, że ściany doliny chwieją się jak drzewa na wietrze.

Chwilę potem ziemia się rozstała i dolina zapadła się, pochłaniając wszystko, co było w

jej wnętrzu. Conan pomyślał, że przynajmniej część mieszkańców doliny zdołała się uratować. Zaraz jednak uświadomił sobie, iż niełatwo im będzie przetrwać w niegościnnych górach, wśród nagich skał smaganych lodowatym wiatrem.

Tymczasem poświata wokół rąk Bethiny stała się włócznieią ognia, który strzelił do góry. Uderzył w czarną spiralę i opasał ją zielonym blaskiem. Miriady iskier spadały na ziemię niczym deszcz zielonych gwiazd. Zieleń gwałtownie zepchnęła czarną spiralę w tył, aż ta dotknęła purpurowego wiru.

Dolinę napełnił dźwięk, jakiego Conan nigdy wcześniej nie słyszał i miał nadzieję, że nie usłyszy nigdy więcej. Pomyślał, że wolałby być głuchy jak pień przez resztę swych dni, gdyby miał wybierać między tym a usłyszeniem tego potwornego głosu jeszcze raz. Dźwięk nie oślepił jednak jego oczu. Nigdy potem nie mówił, co wtedy zobaczył; nawet gdy opowiadał kompanom od kielicha swe najbardziej egzotyczne przygody, a ci musieli słuchać króla Aquilonii. Nie uwierzył w to, co ujrzał, i wątpił, czy ktokolwiek inny mógłby uwierzyć. Zobaczył przechylające się i padające na siebie klify, które chwilę później cofnęły się, niby odepchnięte rękami giganta. Ujrzał otwierające się i zamykające szczeliny dostatecznie duże, by pochłonąć dom, wypełniające się parą i bulgoczącą wodą; głazy wielkości konia wyrzucane wysoko w niebo i spływające w dół z lekkością mydlanych baniek; całe pasma ziemi porosłej kwiatami i wysoką trawą trzęsące się jak trzepany dywan.

Widział o wiele więcej, lecz to zabierze ze sobą do grobu, podobnie jak jego towarzysze, z których większość będzie milczeć tak samo jak on.

A potem już niczego nie dostrzegał — z doliny pierzchnęło całe światło, a także wszelki dźwięk, choć może to tylko ogłuszone uszy nie potrafiły wychwycić odgłosów delikatniejszych od tych, jakie zwykle towarzyszą upadkowi gór lub — powstawaniu nowego życia.

Z czasem Conan usłyszał szmer nowych strumieni, grzechot ostatnich luźnych kamieni osadzających się na nowych miejscach i poczuł tchnienie zwykłego wiatru. Doszedł go nawet daleki ryk osła, któremu jakoś udało się przetrwać katastrofę.

Roześmiał się.

— Bamshirze, zamierzałem cię prosić, byś nas poprowadził, ale sądzę, że do świtu możemy poczekać tutaj. Twojemu kapitanowi i jego pani niewiele to pomoże, jeśli roztrzaskamy się o skały w tych ciemnościach.

— Bogowie stworzyli cię zbyt wrażliwym jak na bohatera — zakpił Farad.

— Czasami zastanawiam się, co właściwie chcieli osiągnąć — odpowiedział Conan. —

Jeśli kiedyś powiedzą mi to, szepnę ci słówko. Tymczasem, przyjacielu, zajmij się Bethiną i rozstaw strażę. A my poczekamy.

Muhbaras dotarł do Pani Mgieł w chwili, gdy grunt pod nogami zaczął nabierać konsystencji galarety. Jego ostatni skok ku miejscu, gdzie leżała, zmienił się w nieporadny upadek na jej twarz. Posiniaczony i zakurzony, wstał i zobaczył Ermika, który na czworakach cofał się w kierunku klifu. Jego twarz miała barwę brudnej kredy i nie była to wyłącznie sprawa pyłu.

— Ja... Ja chciałem ją powstrzymać — wyjąkał Ermik. — Próbowałem ją powstrzymać.

Usiłowała... rzucała zaklęcia... użyłem swojego sztyletu, tego z kamieniem chaosu. To powinno było ją powstrzymać. Chciałem...

Muhbaras nie mógł słuchać tego skomlenia. Podeszedł do ciała Pani Mgieł. Gdyby nie zastygły na ustach grymas bólu i ziejąca na plecach rana, wydawałoby się, że czarodziejka śpi. Ostrze musiało dotrzeć do płuc, bo na ustach nie było śladów krwi. Kapitan przyklęknął i wyciągnął sztylet. Należał do Ermika — rozpoznał jego srebrną rękojeść i kamień chaosu.

Muhbaras cisnął broń ostrzem w ziemię. Utkwiła tam drżąc. Potem powoli podszedł do szpiega. Nie spodziewał się, by po długim biegu pozostało mu dużo sił, ale teraz poczuł, że wlewają się w niego strumieniem, jakby były z samej ziemi, a może były darem ducha Pani Mgieł.

Ermik nie wiedział, że za chwilę umrze, dopóki kapitan nie złapał go za gardło. W następnej chwili nie wiedział już niczego, ponieważ Muhbaras roztrzaskał jego czaszkę o skały. Nie był to jednak koniec — kapitan dalej uderzał głową Ermika o ścianę klifu i dusił go, póki nie usłyszał odgłosu spadających głazów. Trzy pierwsze minęły go, czwarty zmiażdżył mu żebra. Muhbaras stracił przytomność.

Nie słyszał odgłosów toczonej przy użyciu zakłęb bitwy. Przez dłuższy czas nie słyszał niczego.

Conan i jego ludzie pełnili straż przez całą noc. Tylko Farad czuwał przy Bethinie.

Dziewczyna albo nie żyła, albo była pogrążona we śnie przypominającym śmierć i pozbawiona zmysłów, nie można więc było spytać Omyeli o to, co się stało.

Gdy wraz z nadejściem świtu ocknęła się, ciszę poranka zakłóciły triumfalne okrzyki Afghuli. Dołączył do nich Bamshir, i jego żołnierze wiedzieli, że zawdzięczają życie obu kobietom i Cimmerianinowi.

Potem wszyscy zeszli w głąb doliny, gdzie już można było poruszać się bezpiecznie.

Nawet Panny, które spędziły tu długi czas, nie wierzyły własnym oczom. Zatrzymywały się i rozglądały tak długo, że Conan musiał użyć stanowczych słów, by ruszyły dalej.

Panią Mgieł odnaleźli dopiero w południe. Znaleźli też Muhbarasa. Leżał obok i obejmował ją ramieniem. Wyrte w ziemi bruzdy wskazywały, że Khorajańczyk doczołgał się do niej z miejsca, w którym upadł przygnieciony głazem. Conan wątpił, by sami bogowie

wiedzieli, jak zdołał to zrobić, odniósłszy śmiertelne rany.

Przyklęknął obok mężczyzny i zwilżył gąbką jego pokryte zakrzepłą krwią wargi.

Muhbaras ocknął się i wyszeptał z trudem:

— Ja... Ermik ją zabił. To... co uciekło... To, z czym walczyliście... Czy ludzie są bezpieczni?

— Wszyscy, którzy dotarli do bramy, wciąż żyją, kapitanie — odpowiedział Bamshir.

— To dobrze... — urwał i zamilkł.

Conan pomyślał, że kapitan już nie żyje. Nagle jednak Muhbaras obrócił się, jęcząc z bólu i wysiłku, i złożył głowę na piersi Pani Mgieł.

— Spójrz na nią — wyszeptał. — Spójrz na te oczy. Czy widziałeś kiedyś takie piękne złote oczy?

To były jego ostatnie słowa; Muhbaras umarł. Conan spojrzał na twarz czarodziejki.

Złote oczy? Oczy Pani Mgieł były bursztynowo-brązowe, nakrapiane plamkami zieleni.

Miały barwę leśnego stawu, pełnego i głębokiego, w którym mógłby utonąć człowiek. W każdym razie utonął w nich ten mężczyzna i czuł się szczęśliwy.

Teraz Cymmerianin zrozumiał, jak zwykły człowiek może pokochać czarodziejkę. Tak naprawdę Muhbaras pokochał nie czarodziejkę, ale kobietę, którą w niej odkrył.

Conan wstał. Panny rozproszyły się, zawodząc i oplakując swą Panią. Widząc, w jaki sposób przyglądają się im niektórzy żołnierze, zastanowił się, czy są Pannami tylko z nazwy, a jeśli nie, to czy długo nimi pozostaną.

Odwrócił się do Bamshira.

— Pochowamy ich razem, jeśli nie uznasz tego za niewłaściwe — zaproponował.

— Cokolwiek innego uraziłoby ducha kapitana — usłyszał w odpowiedzi. — A także ducha Pani. Myślę, że dla doliny będzie lepiej, jeśli jej duch będzie spał szczęśliwy.

EPILOG

Conan znów jechał na zachód, ale teraz podróżował samotnie. Spojrzawszy na wschód, gdzie na horyzoncie majaczyły najwyższe szczyty Kezankianu, raz jeszcze powrócił myślami do przeżytych tam przygód. Wspomnienie ostatnich dwu przywołało na jego twarz uśmiech szerszy niż zazwyczaj.

Przypomniał sobie decydującą rozmowę z Bethiną. Doszedłszy do wniosku, że ani nie chce, ani nie może powrócić do swojego plemienia, dziewczyna ślubowała pozostać w Dolinie Mgieł jako wódz nowego plemienia.

Jak dziwną zbieraniną było to plemię — niedobitki khorajańskich żołnierzy, koczownicy, Afghuli, Panny, chłopci. Jednak wszyscy oni dowiedli, że są twardzi i przemyślni i potrafią walczyć, jeśli trzeba.

„Dobrze się stało, że zaprosiłam cię, byś pozostał — mówiła Bethina. — Nie potrafię jednak wyobrazić sobie, że moglibyśmy cię potrzebować. Zresztą nie byłbyś tu szczęśliwy. Właśnie dlatego wybrałam Farada, mimo iż to ty byłeś moim pierwszym mężczyzną. W głębi duszy jesteś włóczęgą, chociaż bardzo uczciwym”.

Roześmiał się wtedy i odparł: „Spytaj o mnie kiedy w Zambuoli, a powiedzą ci coś o tym, jak uczciwy jest Conan z Cymmerii. Nie zdradź się tylko, że jesteś moją przyjaciółką, bo mogą cię aresztować, mając nadzieję na odzyskanie skradzionych przedmiotów!”

Następnie była noc, kiedy wykorzystał złodziejskie umiejętności, aby odzyskać swoje klejnoty od Khezala. Uważał, że mimo wszystko ma prawo do niewielkiej nagrody za usługi oddane Turanowi w bądź co bądź niebezpiecznej misji.

Do turańskiego obozu zdążyły już przybyć posiłki, dowodzone przez gromadę eleganckich

młodych kapitanów, którzy ciskali przekleństwa dowiedziawszy się, że zwycięstwo osiągnięto bez ich pomocy. Khezal nawet nie ośmielił się z nim spotkać, a dłuższy pobyt w obozie byłby dla Cymmerianina wielce ryzykowny. Niemniej sierżant Barak powiedział mu, który namiot zajmuje teraz Khezal. Gdy Conan wślizgnął się tam nocą, okazało się, że namiot praktycznie nie jest strzeżony. Sakiewka zawierała prawie wszystkie klejnoty, a ponadto garść złotych monet i zdobiony srebrem sztylet, których nie było tam wcześniej.

Khezal nadal wiedział, do czego zmierza, i Conan miał nadzieję, że mu się uda. Dopóki Yezdigerdowi służyli ludzie tak mądrzy jak kapitan, mógł być budzącym grozę przeciwnikiem, ale gdyby ich zabrakło, stałby się tylko szalejącym potworem, takim samym jak Mgła.

Conan raz jeszcze wybuchnął śmiechem na myśl, że on sam może życzyć Yezdigerdowi szczęścia, po czym przynaglił konia do kłusu. Był już najwyższy czas, by ruszyć w drogę do Koth, na spotkanie losu, jaki zgotuje mu tocząca się tam wojna.